



AUTOR „OKRUCHÓW PAMIĘCI”

RICHARD  
**NEELY**

**Niewinni  
o brudnych rękach**

CS



### KRYMINAŁ Z GÓRNEJ PÓŁKI!

Gloria Worthington wyszła za Lloyd'a chyba tylko dla pieniędzy i jego wystawnego stylu życia. I mogło tak nawet zostać, gdyby mąż nie uznał, że z kalifornijskiej Laguny wyjadą na zawsze – na Hawaje, bo jedynie tam można łowić prawdziwe ryby. To przeważyło szalę. Teraz Gloria chce tylko jednego: śmierci męża. A „warunki” do tego są – zwłaszcza po pierwszym zawale Lloyd'a.

Wystarczyło teraz z pomocą kochanka upozorować wypadek, a wścibskiej sąsiadce „dać możliwość” zapewnienia im alibi... I wszystko poszło jak z płatka.

Tyle że Gregg Flanders wolał pieniądze Lloyd'a od miłości Glorii i zwyczajnie uciekł z całą fortuną w tysiąc dolarowych banknotach. A porucznik Dillon z miejscowej policji należy do tych dociekliwych gliniarzy i w żadne zwyczajne wypadki nie wierzy...

**Z KAŻDĄ STRONĄ MALEJE TUTAJ PEWNOŚĆ, KTO JEST WINNY,  
KTO NIE ŻYJE, KTO KOGO ZABIŁ...**

ISBN 978-83-7470-094-8



9 788374 700948

C&T

22,80 zł

RICHARD  
NEELY

Niewinni  
o brudnych rękach

Przekład:

JOANNA JĘDRZEJCZYK

CAT  
TORUŃ

Tytuł oryginału: DIRTY HANDS

First published as: „THE DAMNED INNOCENTS”.

Copyright © 1971 by Ace Books

Copyright © for the Polish edition by „C&T” Toruń 2007

Copyright © for the Polish translation by Joanna Jędrzejczyk

Opracowanie graficzne:

MAŁGORZATA WOJNOWSKA

Redaktor wydania:

PAWEŁ MARSZAŁEK

Korekta:

MAGDALENA MARSZAŁEK

Skład i łamanie:

KUP „BORGIS” Tonna,

tel. (56) 654-82-04

ISBN 978-83-7470-094-8

Wydawnictwo „C&T”

ul. Św. Józefa 79,

87-100 Toruń,

tel./fax (56) 652-90-17

Toruń 2007.

Wydanie I.

Druk i oprawa:

Wąbrzeskie Zakłady Graficzne Sp. z o.o.

ul. Mickiewicza 15

87-200 Wąbrzeźno.

# 1.

Tego upalnego, piątkowego popołudnia pod koniec października weekendowi turyści zjeżdżali tłumnie kalifornijską autostradą South Coast Highway do Laguny. Większość z nich tu zostawała, inni pędzili dalej do Tijuany czy Ensenady. Przybywali w zakurzonych kabrioletach, załadowanych sprzętem plażowym; w zdezelowanych gruchotach, ciągnących przyczepy z łódkami; w poobijanych furgonetkach z deskami surfingowymi na dachu. Drgające opary gorąca i spalin unosiły się nad powierzchnią rozprażonych słońcem chodników, gdzie ponętym krokiem przechadzały się tęgie kobiety, przepasane pareo, łysiejący mężczyźni w kolorowych, hawajskich koszulach – a do tego mrowie szczupłych dziewcząt w bikini i umięśnionych młodzieńców w spodenkach do surfingów.

Gloria Worthington, stojąc w cieniu płóciennej markizy supermarketu, obserwowała z niesmakiem całe to widowisko, czekając, aż na przejściu zapali się zielone światło. Lekkim ruchem głowy potrząsnęła jasnymi, sięgającymi ramion włosami, pozwalając, by powiew wiatru uniósł je lekko, odsłaniając spoconą szyję. Wydatne usta Glorii miały gromy na upał i te tłumy. Brązowa, papierowa torba przyciśnięta do piersi podkreśliła ich jędrny kształt pod luźną, żółtą bluzeczką. Nagły ruch spowodował ostre brzęknięcie szkła o szkło i odgłos cichego chlupotu. Kobieta zeszywniała, tknięta nerwowym poczuciem winy. Zerknęła w dół, na bochenek chleba i główkę sałaty (ani jedno, ani drugie nie było jej potrzebne), umieszczone na samym wierzchu i odetchnęła z ulgą. Nikt by się nie domyślił, że tak niewinne produkty kryją pod sobą cztery butelki najmocniejszego bourbona.

Mogła, rzecz jasna, uniknąć tych chwil paniki, udając, że ot tak, kupiła aż tyle przez przypadek. Było to jednak niebezpieczne: Lloyd, jej mąż,

mógł się zorientować, jak dużo zostało już wyżłopane. Ten sposób był lepszy – Lloyd nigdy nie wiedział, czy kupiła dwie, czy sześć butelek. Po prostu zawsze stały w kuchennym kredensie. To nic, że musiała tak często robić zakupy na przemian w kilku różnych sklepach, by uniknąć kłopotliwej sytuacji. Było to warte dodatkowego zachodu, byle tylko utrzymać Lloyda w błogiej ignorancji.

Rozbłysło zielone światło i Gloria ruszyła przez ulicę, rozstawiając zaczepnie łokcie wobec prącego na ślepo tłumu. Po drugiej stronie poczuła, jak przenikliwy żar nawierzchni przypieka jej stopy przez cienkie podeszwy złotych sandałów, więc niemal przebiegła w podskokach jakieś dwadzieścia dalszych jardów, po czym skręciła i przemknęła przez asfaltowy podjazd, zeskakując na równoległą do niego ścieżkę. Natychmiast odniosła cudowne wrażenie, że znalazła się w chłodnym, tropikalnym lesie. Rosnące w kępach palmy, gigantyczne paprocie i aralie okalały alejkę i ciągnęły się w dal, rzucając na bujne poszycie ciemne zarysy cieni. Gdy szła w stronę morza, uliczny zgiełk stopniowo cichł, aż ustał zupełnie, gdy dotarła do kolistego placyku przed dwumiejscowym garażem, zajmowanym jedynie przez ich wysłużonego austina-healy. Przed nią, w objęciach rozkołysanych dębów i łuskowatych platanów, stał dom – piętrowa, asymetryczna budowla, o ścianach deskowanych drewnem z sekwoi i nakryta solidnym dachem z gontów. Ominąwszy główne wejście poszła w stronę drzwi od kuchni, mającej kształt litery L i weszła do środka. Ogarnął ją spokój, gdy usłyszała łoskot fal, rozbijających się w dole o brzeg.

Wewnątrz wielookiennej kuchni ostrożnie postawiła torbę na brzegu zlewu i głęboko odetchnęła. Odłożyła na bok chleb i sałatę i skupiła uwagę na czterech, wypełnionych trunkiem butelkach. Powoli wwindowała je do kredensowej serwantki nad żółtym, terakotowym blatem, mierząc każdą ambiwalentnym, wyczekującym, lecz niemal trwożliwym spojrzeniem. Zamknąwszy drzwiczki serwantki odeszła do zlewu, odkręciła kurek i puściła strumień zimnej wody na nadgarstki dłoni. Popatrzyła leniwie na wąski gospodarczy pas podwórza na zapleczu, rejestrując dwie puste butelki po whisky i kartonowe pudło za kubłem na śmieci. Musi pamiętać, żeby wrzucić je do śmietnika, pomyślała mgliście. Odwróciła się na pięcie i ruszyła żwawo do przyległego salonu, szeroko rozsunęła oszklone drzwi i wybiegła na wyłożony kamiennymi płytami taras, przystając na krótko

pod parasolem, osadzonym pośrodku misternego, metalowego stolika. Rozległy widok Pacyfiku przypomniawszy jej żartobliwy komentarz, rzucony któregoś dnia przez Lloyda: „Jak słowo daję, chyba widzę Hawaje!”. Głorię przebiegł dreszcz.

Spacerkiem podeszła do kamiennego, sięgającego do wysokości piersi obmurowania na krawędzi urwiska, oparła dłonie na jego szorstkiej powierzchni i wychyliła się, patrząc prosto w dół na biały pas ich plaży. Zatrzymała wzrok na małej, prywatnej przystani, a potem na drewnianych schodach, wznoszących się zygzakiem po ścianie zbocza i wychodzących zaledwie o kilka jardów od miejsca, gdzie stała. Jej spokój prysnął, zburzony gwałtownym łomotem serca.

Prostując się gwałtownie, Gloria przestłoniła oczy ręką i spojrzała dalej, poza wał bijących fal. Po chwili dostrzegła białą łódź motorową męża, oddaloną może o milę, rosnącą z sekundy na sekundę, w miarę jak sunęła do brzegu. Zerknęła na zegarek. Druga dwadzieścia pięć. Lloyd był punktualny, jak zawsze.

Wróciła do jadalni, nalała sobie szklanek coli i ponownie wyszła na taras, żeby zaczekać. Usiadła na płóciennym krzeselku, jej długie, jasne włosy spływały za metalowe oparcie, zaś duże, błękitne oczy błędziły po wodzie, śledząc ją spod długich, zmrużonych rzęs.

Na północ od Newport Beach całe lasy żagli odbijały się na tle szafirowego nieba. Na południu rozciągał się długi, biały półksiężyc piasku, w którego centrum królował stary, różowy hotel. Ruchliwych kropek na plaży przybywało, w miarę jak zbliżał się weekend. Gloria zwróciła spojrzenie na prawo od przystani, zachowując na koniec to, co najlepsze. W tym miejscu, ćwierć mili od linii brzegowej, pływali surferzy.

Było ich może trzydziestu czy czterdziestu – wszyscy, siedząc okrzakiem na deskach, z głowami zwróconymi w stronę pełnego morza, czekali. Tam potężna fala zaczynała wypiętrzać się ku niebu, szczerbiąc spienionym grzbietem linię horyzontu. Prawie jednocześnie (jak na komendę, pomyślała) surferzy wspięli się na deski, wszyscy wyglądali niemal identycznie: smukli, gibcy i opaleni, o włosach rozświetlonych słońcem. Myślała też niemal identycznie, dumawszy Gloria, że może właśnie to ta idealna fala, jedyna, nieustannie poszukiwana przez całe lato.

Gdy fala wzniosła się i spieniła, kobieta zerwała się z oczyma wbitymi w sylwetkę, która oddzieliła się od reszty. Ciemnoblonde włosy i układ pochylonego ciała były jedyne w swoim rodzaju. Gregg Flanders. Pędził nisko i lekko na desce z rozłożonymi na boki rękami, przecinając w poprzek grzebień fali. Jego ślad znaczył lśniący pióropusz piany, gdy znikał w wodnym tunelu. Gloria uśmiechnęła się i objęła mimowolnie ramionami. Gregg chyba podpisał pakt z diabłem – w jednej chwili wynurzył się równie nonszalancki i opanowany jak w momencie, gdy wjeżdżał w nurt przypiływu.

Przebiegł ją rozkoszny dreszcz. Dziś wieczorem Gregg będzie z nią tutaj, na tarasie. A później...

Wstrząsnęła ramionami, zmuszając się do powrotu do rzeczywistości, i sięgnęła wzrokiem poza linię fal, bijących o brzeg. Lloyd był teraz mniej więcej pół mili od przystani. Zmarszczyła brwi, prawie bezwiednie, przygotowując swoją reakcję na to, co mogłoby się prawdopodobnie wydarzyć, kiedy jej mąż zacznie ciężko człapać na górę po drewnianych schodach. Przerazenie – jeśli ujrzy go z ręką agonalnie przyciśniętą do piersi. Krzyk trwogi – kiedy stoczy się na plażę. Szloch rozpaczy – jeśli padnie tu, przed nią, bez słowa, ze śmiertelnie bladym obliczem.

Dopóki nie upewni się, że on naprawdę nie żyje.

Nie powinno być żadnych trudności z udawaniem właściwych reakcji.

Rok temu, pewnego niedzielnego popołudnia w ich własnym salonie przeszła wstrząsającą próbę generalną w ciągu zaledwie kilku sekund. Lloyd, który dopiero co wrócił z wędkowania, stał się nagle biały jak ściana i padł na sofę. Przywołała na twarz wyraz szoku i poczucia bezradności, gdy jak oszalała wezwwała doktora, a później karetkę. Długo czekała w szpitalu, gdy lekarze i sanitariusze poddawali Lloydowi szczegółowym badaniom. Wieńcowy atak serca – tak powiedział jej później i choć w jego oczach widniał strach, silił się na uspokajający ton. Były wszelkie przesłanki, by spodziewać się całkowitego powrotu do zdrowia.

Wtedy dom w Lagunie służył jeszcze tylko jako weekendowa dacza. Nalegała, by Lloyd dał sobie spokój – tyle schodów, na które trzeba się wspinać... to mogło go zabić. Lecz mąż nawet nie chciał o tym słyszeć. Przeniósł się tylko do małego pokoju na parterze, gdzie niegdyś mieściła



się kuchnia. Na piętro wchodziło się stamtąd wąskimi, drewnianymi schodami, z których Lloyd w czasie rekonwalescencji nigdy nie korzystał, podobnie jak nie używał stopni, wiodących na dół, na plażę. Jego stan uległ znaczącej poprawie, lecz Gloria naciskała, by uzyskał zgodę doktora, żeby tam pozostać. I Lloyd tę zgodę uzyskał.

Po czym postanowił odpocząć od interesów. Miał pięćdziesiąt osiem lat i posiadał wystarczające oszczędności, by zapewnić im więcej niż wygodne życie. Przebudował dom i wolał kupić trzydziestostopową, kabinową łódź motorową, niż wynająć, jak to robili od lat. Pół roku od ataku serca znów nocował na górze, ale nie z Głorią. Wybrał sobie pokój na końcu korytarza, aby – jak powiadał – mieć pełen komfort wypoczynku. Zdawał się nie zauważać, że może jej coś odbiera, a może był zdania, że w wieku trzydziestu ośmiu lat stała się całkiem oziębła. Bynajmniej, pomyślała złośliwie. Lloyd nawet jej nie rozgrzał. Przez ponad piętnaście lat małżeńskiego pożycia pozwalała mu tylko cieszyć się swoim ciałem, lecz tak naprawdę nigdy mu się nie oddała. Była to w pewnym sensie forma seksualnej filantropii, w zamian za spokojną i bezpieczną egzystencję.

Wkrótce Lloyd znów zaczął codziennie rano wypływać swoją łodzią, powracając przed zmierzchem. Czasem mu towarzyszyła, lecz długie godziny na wodzie nużyły ją, a poza tym brzydziła się tym całym wstrętnym zajęciem, jakim było łowienie ryb. Żyła odtąd prawie jak odludek, snując się po domu o poranku, próżnując popołudniami na ich pasie wybrzeża, popijając wieczorami sam na sam z Lloydem. Zmagała się z nudą i frustracją aż do utraty zmysłów.

I wtedy, któregoś gorącego, kwietniowego popołudnia, gdy leżała, rozwalona na plecach, odpoczywając na plaży i czytając dość sprośną powiastkę, dotychczasowa monotonia jej życia została nagle, nieodwołalnie odmieniona przez beczelnego boga w postaci młodzieńca, który przypląnął na brzuchu na desce surfingowej do brzegu. Opanowany, wyprostował się, ze stopami zagłębionymi w mokrym piasku i obejmując postawioną deskę ramieniem.

– Proszę o wybaczenie – rzucił bynajmniej nie pokornym tonem. – Nie wyrobiłem wokół nabrzeża... za duży prąd. – Obrzucił ją pełnym podziwu spojrzeniem zuchwałych, lodowato niebieskich oczu, ocienionych

gęstymi rzęsami, które, zlepione wodą, wyglądały jak igiełki.

Glorię owładnęło przedziwne uczucie, że on natychmiast wiedział, czego od niej chce, i nie miał najmniejszych wątpliwości, że to dostanie. Obronnie osłoniła książką nagi brzuch.

– Czyżby? – mruknęła, z udawaną obojętnością.

Wolną, opaloną i umięśnioną ręką machnął w kierunku urwiska na północy. – Tam mieszkam. Jestem Gregg Flanders. Jeden z pani sąsiadów. Pomyślałem, że skrócę sobie drogę przez pani posiadłość.

Przypomniała sobie mgliście, że jej najbliższa sąsiadka, Winifreda Colby, wspominała coś o młodym człowieku – pisarzu – przyjeżdżającym do pewnej pobliskiej rudery.

– Ach tak, rozumiem. – Obdarzyła go przyjaznym uśmiechem.

Odpowiedział tym samym, a jego zęby błysnęły w opalonej twarzy. – Nie obrażę się, jeśli poczęstujesz mnie drinkiem...

Na tarasie, gdy już opróżnili szklanki, stanęła naprzeciw niego, czekając, aż się pożegna. Natomiast on niespiesznie zamknął ją w objęciach i pocałował, niemal miażdżąc jej wargi i przyciskając twardą, muskularną klatkę piersiową do jej piersi.

Odskoczyła, dysząc szeroko otwartymi ustami i z rozmachem uderzyła go w policzek. W odpowiedzi przyciągnął ją i pocałował znowu, jeszcze mocniej. I tym razem to on oderwał się pierwszy i stanął wyprostowany, mierząc ją trzeźwym wzrokiem.

– Wrócę później, żeby odebrać deskę – rzucił, po czym obrócił się na pięcie i zszedł po schodach z tarasu. Rozszerzonymi źrenicami wpatrywała się w jego plecy z zapartym tchem.

Powrócił tego samego wieczora, przystojny i trochę dziwny, jak młody korsarz, w koszulce w kolorze indygo, białych, drelichowych spodniach z szerokim, skórzanym pasem z mosiężną klamrą. Lloyd kupił jakby od razu, lecz Gloria ofiarowała mu tylko kilka zimnych, pełnych rezerwy słów.

Został na dwa drinki, prowadząc z Lloydem pełną szacunku dla niego rozmowę, natomiast ją ignorując zupełnie, po czym odszedł ze swoją deską.

Powrócił dwa dni później, wieczorem, w czasie wlokącym się dla niej godzina za godziną, podczas gdy Lloyd chrapał już w swoim łóżku na górze.

Wtedy Gregg zdarł z Glorii całe ubranie i pociągnął ją na dywan w salonie, przyprawiając o szczyt tak szaleńczej rozkoszy, że przez nieskończoność sekund była jakby na innej planecie.

Teraz nie miało najmniejszego znaczenia, że jest on tylko nadmorskim playboym, żyjącym z marnego spadku, jaki mu pozostał po ciotce. Ani jego nieudolne, sporadyczne próby pisarskie, kiedy każdą powieść zarzucał po kilku rozdziałach. Od tej chwili nie liczyło się nic prócz tego, że musi mu ofiarować swoje ciało, opierające się tak długo, bez względu na wszystko, nie pragnąc w zamian nic prócz rozkoszy...

– *Pani Worthington?*

Odwróciła się, wystraszona. Mężczyzna o topornych rysach, w czapce z daszkiem i brunatnym kombinezonie wyszedł zza węgła domu i ociężale zmierzał w jej stronę. Uśmiechał się bezmyślnie, jakby do siebie, i ocierał czoło szerokim, poplamionym rękawem.

– Jestem panią Worthington, słucham – odparła wyniośle. Absurdalnie doznała uczucia, jakby ten człowiek podglądał jej myśli.

Obcy uśmiechnął się teraz od ucha do ucha. – Dostarczyłem tu pani samochód.

– Mój samochód? – Uniosła brwi w zdumieniu. O czym on gada? Przecież dopiero co przeszła obok swojego austina-healy.

Szeroki uśmiech zniknął, a mężczyzna przybrał teraz tajemniczy wyraz twarzy. – Może lepiej sama pani zobaczy...

Zaciekawiona, ruszyła za nim z powrotem w stronę kolistego podjazdu. Na samym środku, jak na wystawie, pysznił się lśniący, czarny jaguar X-KE. Zaparło jej dech w piersi.

– Jest pan pewien, że to nie jakaś pomyłka? – zapytała, jednocześnie przypominając sobie, że sama znalazła ogłoszenie o takim aucie i pokazała Lloydowi.

– Nie ma żadnej pomyłki – zapewnił mężczyzna, znów rozpromieniony uśmiechem. – Pan Worthington właśnie kazał dostarczyć go swojej żonie. Dzisiaj. Jestem trochę później, niż chciał. Lepiej mu nie mówić.

Oczy Glorii lśniły z zachwytu. Przyskoczyła do samochodu i przesunęła opuszkami palców po lśniącej karoserii. Otworzyła drzwi od strony kierowcy i zatrzasnęła z powrotem, uradowana solidnym szczęknięciem zamka. Otworzyła je ponownie i wślizgnęła się na fotel, delektując się

miękkim dotykiem prawdziwej skóry. „Zupełnie jak dziecko”, pomyślała, roześmiana, faktycznie czując się jak dzieciak, próbujący na gapę wejść do kina. Z pasją przez chwilę manewrowała drążkiem zmiany biegów, po czym odwróciła się i uśmiechnęła do mężczyzny w kombinezonie. Oczywiście odpowiedział tym samym, wręczył jej komplet zapasowych kluczyków i odszedł.

Gloria wysiadła z jaguara i jeszcze raz przyjrzała mu się z uwielbieniem. Wtedy nieoczekiwanie jej pełne usta zacisnęły się z oburzenia. Cały Lloyd! Obdarowuje ją tak kosztownym prezentem akurat w momencie, gdy ona życzy mu śmierci! Okręciła się na pięcie i wróciła na taras.

Usiadła na brzegu kamiennego obmurowania i obserwowała męża w czerwonej bluzie, siedzącego za sterem i z wprawą wprowadzającego łódź do doku. Podniósł się z miejsca sternika, żeby na nią spojrzeć, podczas gdy sterował jedną ręką, a drugą do niej machał. Jego zęby białeły, kontrastując z opaloną twarzą. Usta Glorii rozciągnęły się w uśmiechu i również pokiwała mu dłonią, słysząc znajome szorowanie kadłuba o pale. Dzień w dzień ta sama ceremonia powitalna. I dzień w dzień to samo szaleńcze wyczekiwanie, kiedy jego wysoka, kanciasta sylwetka wyjdzie przez burtę i rozważnie zbliży się do drewnianych schodów. Jej oddech przyspieszył.

Co każde cztery, pięć stopni Lloyd przystawał i odpoczywał przez moment, ściskając poręcz i unosząc głowę, by ujrzyć twarz żony w polu widzenia i posłać jej niemal skruszony uśmiech. W czarnej, żeglarskiej czapeczce, założonej tył na przód, z gładko napiętą skórą na wysokich kościach policzkowych, płaskim brzuchem, (co prawda teraz wydatnym z powodu pasa z pieniędzmi, który zawsze zabierał ze sobą) wyglądał co najmniej o dziesięć lat młodziej. Gdyby nie jego znużony krok, kiedy wchodził po skrzypiących schodach, sprawiałby wrażenie jurnego jak byk, pomyślała Gloria. Gdybyż to tylko była prawda!

W końcu, spocony i wypompowany z wysiłku, dźwignął się na ostatni schodek i sztywno przemaszerował przez taras. Pocałował Głorię w policzek i z udawaną, naiwną niedbałością zapytał: – I jak tam, co nowego?

Głęboko odetchnęła, a siedząca w niej aktorka obdarzyła go olśniewającym uśmiechem. – Ach, Lloyd – ten wóz! To szaleństwo!

Kąciki jego ust uniosły się z uciechy, lecz machnął ręką z pozornym lekceważeniem.

– Tak myślałem, że ci się spodoba – rzekł swoim głębokim, miękkim głosem.

– *Myślałeś!* Ty wiedziałeś, że oddałabym prawie wszystko za taki samochód!

Potań dłońią lekko zarośnięty podbródek i zmierzył ją badawczym spojrzeniem. – Cóż, zatem weź go sobie i baw się dobrze.

Znała to spojrzenie. Mówiło: *Ona nigdy nie dorosnie*. A niby dlaczego miałyby dorosnąć? Nigdy nie miała prawdziwego dzieciństwa.

– Nie teraz. Za duży ruch. Pobawię się nim, kiedy utniesz sobie drzemkę. – Poklepała go po ramieniu, czując sploty mięśni pod skórą. – Dziękuję ci, Lloyd.

– Zasłużyłaś na to auto – dodał pobłaźliwie – lecz powinnaś się nim przed kimś pochwalić. Co powiesz na Gregga? Zaprosz go później na drinka i wtedy damy mu pokaz.

Wzdrygnęła się, słysząc to imię.

– Cóż, może... Zobaczę. – Ogarnęło ją poczucie winy na wspomnienie liściku, napisanego na maszynie, który Gregg zostawił pod frontowymi drzwiami dziś wcześniej rano: „Do zobaczenia na koktajlach. G.”. Zawsze zostawiał dla niej wiadomość, gdy Lloyd wypływał na ryby. Ryzykanctwo, pomyślała.

– Albo możesz dziś po południu zaprosić Winifredę Colby – ciągnął Lloyd z łobuzerskim błyskiem w oku. – Znienawidzi nas.

– Hmm... Ale to pozbawi ją przyjemności wściubiania nosa w nie swoje sprawy – i jestem pewna, że wcale jej się nie spodoba!

– Tym lepiej.

Winifreda Colby, podstarzała wdowa, mieszkała samotnie jakieś sto jardów na północ od nich. Była znana wszem i wobec nie tylko jako jedna z najwcześniejszych mieszkańek Laguny, ale także przez to, że posiadała jakiś niebywały dar, dzięki któremu wiedziała wszystko o wszystkich, mimo iż prawie wcale nie wychodziła z domu. Ta mała, pękata osóbką, o czym Gloria doskonale wiedziała, niezmiennie wstawiała przed świtem, często obserwując z oddali Lloyda, który człapał w ciemnościach do swojej łodzi. Wtedy wpadała z powrotem do kuchni, by sprawdzić czas na starym, ściennym zegarze – zawsze była punktualnie piąta rano. Gloria

zdobyła tę informację z pierwszej ręki któregoś ranka, kiedy Lloyd poczuł się gorzej i został w łóżku. Wtedy Winifreda Colby przygnała zaraz, w nadziei, że znajdzie sąsiada co najmniej bliższego śmierci – nie wiadomo skąd dowiedziała się o jego wcześniejszym ataku serca.

– O ile znam Winifredę Colby – mruknęła Gloria – wiedziała o tym aucie wcześniej niż ja.

Lloyd, ciężko dysząc, klapnął na krzesło pod parasolem, mrugając zafławionymi, piwnymi oczami. – Może lepiej chłapnę sobie jednego, zanim wejde...

Gloria poszła do kuchni, zdjęła jedną z butelek bourbona i odkorkowała. Jej tętno przyspieszyło, gdy obserwowała, jak trunek spływa z bulgotem do szklanki. Gdy wróciła na taras i podawała mężowi drinka, jej ręka lekko zdrząła. Lloyd opróżnił szklankę jednym haustem, otarł usta czerwonym rękawem bluzy i zaczął się wachlować czarną czapeczką. Prawie od razu jego oddech odzyskał normalny rytm. Oczy przestały być wilgotne i szkliste.

– Ho, ho... – stęknął. – Gorąco, jak na październik. A na Hawajach właśnie teraz jest chłodniej. Zmienne wiatry...

Poczuła skurcz trwogi w sercu.

– Mam nadzieję, nie myślisz znów o *tym*?

– Przeciwnie. Myślę przez cały czas. – Uprzejmie pozbawił ją złudzeń. – Prawdę mówiąc, już rozmawiałem z pewnym bardzo dobrym pośrednikiem, nawet przeglądałem fotografie domów. Jeden w szczególności przypadł mi do gustu, akurat na Kona Coast. O nieba, tam dopiero był połów! Pamiętasz?

Gloria pamiętała aż za dobrze te dwa tygodnie, które spędzili w Kona, na Big Island. Z przyjemnością wspominała jedynie elegancki hotel Kamehameha, ale cała reszta – nic, tylko wędkowanie, wędkowanie i wędkowanie... Wtedy zniechęciła je zupełnie.

– Cóż, możemy się tam znów kiedyś wybrać – odparła. – Lecz nie ma potrzeby wynajmować *domu*.

Spojrzał na nią zaskoczony. – Wynajmować? Ja chcę kupić dom. I tam zamieszkać.

Poczuła, że traci oddech, i opadła na krzesło.

– Och, nie, Lloyd!

– Och, *tak* – uciął z uśmiechem, lecz tonem nie znoszącym sprzeciwu. – To jedno z niewielu miejsc, gdzie człowiek może się jeszcze trochę

odprężyć. A tutaj? – Machnął ręką w tył, w kierunku szosy. – Tutaj te obłeśne typy zaczynają nas zalewać. Ale Kona... Boże, co za połowy!

Zadrgał w niej impuls trwogi. Gdy Lloyd wspominał wcześniej o Hawajach, Gloria bagatelizowała to, traktując jako czcze mrzonki. Jednak teraz jego słowa zabrzmiały tak, jakby był gotów chwycić pióro i od ręki podpisać umowę kupna. Kona... Tysiące mil od Gregga Flandersa. Mogą być i miliony, bo on nigdy by za nią nie pojechał. A może tak? Mimo wszystko, co go tutaj trzyma? Z pewnością nie ta nora, w której nocuje. Poza nią istniały dla niego tylko dwie pasje: surfing i pisanie. A gdzie jest lepsze miejsce do surfingu niż na Hawajach? Co do pisania – może to robić wszędzie. Pisarz, zwłaszcza jeszcze nigdzie nie publikowany, może zamieszkać, gdziekolwiek zapragnie.

Może Gregg pojechałby za nią, gdyby kiedykolwiek doszło co do czego. Jeśli Lloyd mówił serio i zdecydował się na przeprowadzkę do Kona, Gloria wiedziała, że nie będzie mogła pozostać tutaj. Zostawiłby ją bez centa – tu oczyma wyobraźni ujrzała też jaguara – co nawet nie mieściło jej się w głowie.

– Porozmawiamy o tym później – powiedziała głośno. – Kiedy już odpoczniesz.

Zauważyła, że uniósł bluzę i właśnie odpinał pas na pieniądze, umieszczony tuż nad talią.

– Grzeje jak cholera – warknął i zerwał go szarpnięciem. – Zastanawiam się, czemu nie robią tego z jedwabiu.

Gloria wyciągnęła rękę po pas i nie umknęło jej uwadze, że jest grubszy niż zwykle.

– Zaniosę go do środka – zaproponowała.

Zrobił unik i nakrył czapką gęste włosy, pokryte siwizną.

– Nie, zabiorę go ze sobą. – wybuchnął śmiechem, siląc się na nieszczerzy żart. – *Wiesz, że nigdy nie lubię być z dala od moich pieniędzy.*

Oczy Glorii zwięziły się, gdy obserwowała, jak Lloyd przechodzi przez salon i z ostrożnością wstępuje na schody, wiodące na piętro. Myślała jak zwykle to samo: *No, już! Dlaczego nie umrze teraz?*

## 2.

Gloria Worthington stała sztywno przy blacie w kuchni i wlewała resztę bourbona z butelki do szklanki Lloyd'a. Wpatrywała się bacznie w brązowy płyn, aż osiągnął poziom mniej więcej cala od dna naczynia. Wytrząsnęła go do ostatniej kropli, zakręciła pustą butelkę i wrzuciła do plastikowego kubła pod zlewem. Sięgnęła do serwantki na górze, zdjęła następną butelkę, otworzyła i dołała do jednej trzeciej wysokości szklanki. Oceniała ją wzrokiem, wrzuciła dwie kostki lodu z chromowanego wiaderka i dołała wody z kranu na trzy palce.

To było jak ładowanie rewolweru, pomyślała. Lecz Lloyd nie powinien zdać sobie sprawy, do jakiego stopnia doładowała mu drinka. Do tej pory, nieświadomie, wypił już prawie całą butelkę. Po trzecim drinku nigdy nie zauważał wzrastającej mocy następnych.

Zsuwając trzy szklanki razem, (dwa średnie drinki dla siebie i dla Gregga i mocny Lloyd'a) objęła je dłońmi i przyjmując nonszalancką postawę, swobodnie wyszła na taras. Gregg i Lloyd siedzieli na reżyserskich krzesłach przy stoliku z parasolem – jej mąż, z brodą opadającą na pierś, zaś Gregg, lekko pochylony w przód, mówił do niego jak do całkowicie trzeźwego człowieka.

Spojrzała w stronę oceanu, gdzie słońce już zaszło, a wstęgi purpurowych obłoków wciąż lśniły szkarłatną poświatą. Lloydowi już wiele nie trzeba – pomyślała, czując pulsowanie w dołku.

Gregg wyprostował się i zwinnie podniósł z miejsca, gdy podeszła, jednocześnie badając szklanki wzrokiem i wybierając jedną dla siebie. Pogardliwie skrzywił się kącikiem ust, kiedy popatrzył na Lloyd'a, który ani drgnął. Potem znów spojrzał na Glorię i jego intensywnie błękitne oczy przesunęły się z uznaniem po jej sylwetce, od góry, aż po sam dół jej obcisłej, zielonej sukni, zatrzymując się na jędrnym zarysie biustu, łuku bioder i smukłej linii ud. Bez słowa wznosił toast, obdarzając ją równocześnie leniwym, znaczącym uśmiechem. Odwrócił się z powrotem i usiadł, niedbale przeczesując dłońią swoją ciemnoblonde czuprynę.

Wciąż stojąc nieruchomo jak manekin, w czasie gdy taksował ją wzrokiem, Gloria czuła, jak po jej ustach błąka się lekki uśmieszek, dumna, że



jej ciało jest jeszcze godne podziwu. Beztriosko obeszła Lloyda, postawiła swoją szklankę na stole, zaś ostatnią podsunęła bezwładnej postaci.

– Zdrówko, Lloyd – rzuciła, nie mogąc powstrzymać sardonicznego grymasu.

Lloyd anemicznie kiwnął głową i wydał gardłowe chrząknięcie.

Podniosła mu rękę i zacisnęła jego palce wokół szklanki. Zauważyła, że ją chwycił, bo znów słabo kiwnął głową. Odchylił się w fotelu, zmuszając brodę i patrząc na nią niewidzącym wzrokiem spod półprzymkniętych powiek.

– Wypij to, Lloyd – nalegał Gregg, niemal kpiąco.

Lloyd podniósł szklankę ociężałe i wlał prawie połowę drinka pomiędzy obwisłe wargi, choć nieco płynu ściekło mu po brodzie. Gloria, wsparta biodrem o stół i Gregg, lekko pochylony w przód, obserwowali go z napięciem. Głowa Worthingtona znów zwiśla na pierś. Ręka ciężko opadła na oparcie fotela, lecz zeszywniałe palce wciąż trzymały szklankę. Potem uścisk zelżał i naczynie wolno wyslizgnęło się z dłoni i roztrzaskało na różowym kamieniu, a strumyczki trunku spłynęły w szpary między płytami tarasu.

Gloria i Gregg trwali w bezruchu, nie odzywając się ani jednym słowem. Musi minąć minuta lub dwie, pomyślała ona, wtedy zyskają pewność, że stracił świadomość – gdy jego oddech stanie się ciężki.

Gregg zajął jej w twarz i ponownie ujrzała w jego oczach ten sam bezwzględny wyraz, który ją zmroził tamtej nocy, kiedy postanowili stopniowo zabijać Lloyda.

Choć pomagali mu się zabijać na długo przedtem, wzmacniając jego samobójcze drinki. Lecz wtedy kierowało nimi jedynie niewypowiedziane pragnienie, aby doprowadzić go do nieprzytomności i żeby mogli się kochać w salonie.

– Takie słabe serce... – Przypomniała sobie słowa Gregga wypowiedziane w zadumie tamtego wieczoru, kiedy już wwindował Lloyda na górę. – A do tego takie ilości gorzały... W końcu sam się zabije.

– Wiem. Właśnie tego się obawiałam.

I wtedy Gregg posłał jej to twarde, wyrachowane spojrzenie.

– Powinnaś się raczej obawiać, że nie nastąpi to dostatecznie szybko – rzucił szorstkim głosem.

– Jak to?

– Dopóki jesteś jeszcze dość młoda. – Wstał, a Gloria również się podniosła, gdy do niej podszedł. – Dopóki możesz jeszcze cieszyć się jego pieniędzmi. – Górował nad nią, patrząc niemal gniewnie w jej twarz. – Dopóki możesz jeszcze mieć *mnie*.

Podtekst był oczywisty. Przyłgnęła do niego całym ciałem.

– Och, Gregg... Nie możemy, nie wolno nam!

– *On* to robi, nie *my*. *My* po prostu troszkę mu w tym pomagamy. – Odsunął się z nikłym, niewesołym uśmiechem. – *My* będziemy całkowicie czysti. Jedynym, którego będzie mogła oskarżyć policja, będzie Jasio Wędrowniczek.

Po tej rozmowie wspólnie wprowadzili w czyn systematyczny plan doprowadzania Lloyda do śmierci nadmiarem alkoholu. Siadali w trójkę na tarasie, Lloyd bezustannie paplał o wędkowaniu i był coraz bardziej i bardziej pijany, w miarę jak Gloria zwiększała zabójczą dawkę. Potem następował rytuał holowania Lloyda na górę, do łóżka. A wreszcie chwila rozkoszowania się Greggiem!

Gregg nie zawsze przychodził późnym popołudniem (zbyt częste wizyty mogłyby wzbudzić podejrzenia Lloyda, ostrzegał) i sama musiała się uporać ze swym mężem, pchając go, ciągnąc i taszcząc do łóżka. Wtedy to było nawet lepiej. Jej kochanek zjawiał się późno w nocy, przekradając się cicho ścieżką wśród palm, gdzie przy ścianie domu, porośniętej bugenwillą, czekała na niego Gloria. Wtedy, bez uprzedniego widoku ogłupiałego pijaczyny, ich pocałunki były bardziej żarliwe, zaś miłość na dywanie miała moc żywiołu.

Przeprowadzali plan bezwzględnie przez co najmniej sześć miesięcy, a w Greggu narastała coraz większa niecierpliwość, gdy każdego ranka Lloydowi udawało się jakoś zwlec z łóżka i wyptywać łodzią na morze. W końcu, oświadczając, że ich położenie stało się nie do zniesienia, kochanek przedstawił Glorii zawiły plan, oparty na zdecydowanym działaniu, taki, w którym użycie alkoholu jako środka było jedynie przygrywką do przemocy. Była wstrząśnięta i z oczyma pełnymi łez błagała, by od tego odstąpił.

On uparcie trwał przy swoim, wspominając o tym przy każdej okazji, lecz Gloria zawsze potrafiła jakoś odwlec ostateczną decyzję. Utrzymała, że Lloyd nie wytrwa już dłużej, po prostu nie da rady. Żaden *zdrowy*

mężczyzna by nie wytrzymał codziennego katowania się taką ilością alkoholu, a co dopiero człowiek po poważnym zawale.

Dopiero w zeszłym tygodniu, gdy Lloyd już został zaniesiony na górę do łóżka, wybuchła między nimi o tę sprawę okropna awantura. Gregg wypadł na zewnątrz, odsyłając ją do wszystkich diabłów. Nie pokazał się następnej nocy. Cała w nerwach, poszła do niego następnego ranka. Drzwi były otwarte, lecz Gregga nie było. Gloria zamartwiała się, siedząc na jego zapadniętej kanapie całe dwie godziny, zanim dała sobie z nim spokój. Następnego wieczora pojawił się na ich tarasie jak gdyby nigdy nic, tłumacząc, że musiał wyjechać do Meksyku w towarzystwie kilku zaprzyjaźnionych surferów. Próbowала tego nie zgłębiać, lecz dobrze wiedziała, dlaczego wyjechał. Żeby trochę zmiękała.

Teraz Gregg Flanders zerknął na odłamki szkła na kamieniu, po czym spojrzał jej w oczy równie kamiennym spojrzeniem.

– Dokładnie o tej, co zawsze – podsumował z nutą znudzenia.

Gloria położyła palec na ustach i bezgłośnie opadła na fotel. Lloyd wyglądał jak nieprzytomny: oczy zamknięte, kędzior przetykanych siwizną włosów, zwieszający się na brwi, podbródek oparty na piersi – lecz chciała mieć całkowitą pewność. Wkrótce rozległ się znękany oddech, przypominający raczej gardłowe chrapanie. Mrugnęła i skinęła głową na Gregga.

Młody mężczyzna wstał, z wprawą chwycił Lloyda pod pachy i podniósł go do pionu. Potem schylił się i wstając, zarzucił go na ramię, jak bezwładny tobół.

Gloria patrzyła za nim, gdy zniknął za rozsuwanymi drzwiami salonu, a widząc luźno majtającą się głowę Lloyda, nie mogła powstrzymać porównania: „Zupełnie jak wieprzowa półtusza...”. Zsunęła się z fotela, przykucnęła i uważnie pozbierała kawałki potłuczonej szklanki. Potem ostrożnie zaniósła je do kuchni i wrzuciła do plastikowego kubła. Umyła i osuszyła ręce, a następnie powróciła na taras.

Gregg siedział już w swoim fotelu i wyprostowawszy nogi, patrzył w ciemność z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Gdy Gloria usiadła, nie odzywał się przez kilka chwil, po czym rzekł z niesmakiem:

– Dobra, już go tu nie ma. Ale możemy się założyć – będzie żył, aż napluje na nasze groby. Ten facet jest niezniszczalny.

Gloria wybuchnęła krótkim, nerwowym śmiechem.

– A przynajmniej myśli, że jest – odparła. – Przy tym, ile wypija... I wspinając się po tych wszystkich schodach... – Przesiadła się na fotel obok Gregga i położyła mu dłoń na ramionach. – Bardzo to nam na rękę. – Bez słowa wzięła go pod brodę, a jej oczy wyrażały nieme zaproszenie.

Gregg wyrwał się. – Zaczekajmy trochę. Miejmy pewność, że padł na amen. Tymczasem chcę z tobą coś omówić.

– Wiem, co chcesz omówić – szepnęła, zraniona odtrąceniem.

Brwi zbiegły się jej z niepokoju. Szybko rozmasowała czoło opuszkami palców.

Gregg niecierpliwie potrząsnął głową. – To jasne, jak cholera, że w ten sposób daleko nie zajdziemy. Co wieczór Lloyd zalewa się na umór, a potem...

– A potem się kochamy – wtrąciła z wymuszonym śmiechem. – Powiedziałabym, że taka codzienna rutyna jest całkiem podniecająca.

– Lecz jest tylko tym, czym jest – zwykłą rutyną. Do diabła, to jego serce może wytrzymać takie chłanie przez długie lata. Sam się przechwala, że ten pokiereszowany ochłap jest silniejszy niż przed zawałem!

– Nie wierzę. Gdybyś go dzisiaj widział, jak wchodzi po tych wszystkich schodach... – Znów roześmiała się nerwowo. – Już się zastanawiałam, którą czarną suknię mam wybrać.

Nagle obrócił się ku niej z oskarżycielskim wyrazem twarzy. – Co do cholery ma znaczyć ten: „kawalek Kona”? Dziś wieczorem mówił tylko o tym. Dopóki jeszcze mógł mówić.

Gloria poruszyła się z zakłopotaniem na fotelu. – Wiem. Słyszę o tym od tygodni. Ale...

– Ale nigdy mi o tym nie wspomniałaś. Dlaczego?

– No cóż... – W samoobronie lekko podniosła głos. – Ponieważ sądziłam, że to tylko gadanie.

– A co o tym myślisz *teraz*? – Naciskał ją, jak prokurator.

– Teraz *nie sądzę*, że to tylko gadanie – rzuciła jednym tchem.

– Sądzę, że mówi poważnie.

– A czemu zmieniłaś zdanie?

– Bo... – Zastanowiła się przez chwilę. Dlaczego nie wyłożyć kawy na ławę? Była już wykończona tą ciągłą szarpaniną. – Po pierwsze, on faktycznie rozmawiał z człowiekiem, który sprzedaje nieruchomości na Hawajach. Nawet przeglądał ofertę ze zdjęciami domów. – Powaliła ją inna myśl, granicząca z paniką. – Po drugie, mniej więcej tydzień temu, Lloyd sprowadził tu rzeczoznawcę, żeby wycenił ten dom. Potem powiedział, że chciał mieć jakieś pojęcie o wartości budynku – z przyczyn podatkowych.

– Na litość boską!

Gloria poczuła mściwe zadowolenie na widok jego niepokoju, za te wszystkie chwile trwogi, których jej przysporzył.

– I jeszcze jedno – ciągnęła. – Myślę, że Lloyd wymienił większą część swoich akcji na gotówkę. On nie ma pojęcia, że ja o tym wiem, bo widziałam plik dokumentów w szufladzie jego biurka, kiedy sprzątałam. Brakowało na nich tylko podpisu. I wszystkie opiewały na jego nazwisko.

– Może po prostu sprawdza, ile są warte.

– Może. Ale to Bill Torrance, jego makler, mógłby mu powiedzieć przez telefon. Albo Lloyd dowiedziałby się tego w banku, gdzie trzyma dokumenty. – Przerwała, czując perwersyjną przyjemność w przytaczaniu tych faktów. – To jeszcze nie wszystko. Tak się złożyło, że dziś po południu podniosłam jego pas na pieniądze. Był o wiele cięższy niż zwykle.

Ujrzała, jak błysnęły białka w rozszerzonych oczach Gregga.

– Może potrzebował tych pieniędzy, żeby kupić ci jaguara?

– To było po tym, jak go dostarczono. – Gloria wiedziała, że zapędza w kąt zarówno Gregga, jak i siebie, ale nie dbała o to. Trzeba było podjąć jakąś decyzję, lecz ona nie była pewna, jaką.

– Chcesz przez to powiedzieć, że wymienia wszystko na gotówkę?

– Och, w to wątpię. Lecz znasz Lloyda. Lubi szybkie ruchy. Forsa na stół. Sądząc, że tak zrobi lepszy interes.

– Chryste! A więc mówił na *poważnie!* – Oczy Gregga zmrużyły się pod gęstymi rzęsami. Wbił wzrok w Glorię, jakby to ona była wszystkiemu winna.

Wtedy poczuła, jak coś się w niej załamuje, i spojrzała na niego błagalnie.

- Pojechałbyś na Hawaje, Gregg?
- Boże, nie. Gdybym się tam pokazał, Lloyd zgadłby, co się święci, i zostawiłby cię bez centa. Zupełnie splukaną.
- Obawiałam się, że tak powiesz – szepnęła Gloria załamującym się głosem.

Flanders milczał co najmniej przez minutę. Potem wstał i podszedł do kamiennego muru. Obrócił głowę i popatrzył na długi ciąg schodów, wiodący na biały pas plaży, a potem skupił uwagę na zacumowanej w doku motorówce Lloyda. Śledziła jego wzrok, czując mrowienie, biegnące wzdłuż kręgosłupa, jak mały pajęczek strachu. Oczy Gregga znów spozcęły na niej, przyszpilając do miejsca i jakby przewiercając na wylot.

- Cóż, przypuszczam, że tym razem musimy zrobić swoje – rzekł wreszcie szorstkim tonem. I dodał stanowczo: – Albo z nami koniec.

To wszystko następowało po sobie zbyt szybko.

- Gregg, chyba nie jesteś... chyba nie jesteś mną zmęczony? – desperacko wykrztusiła Gloria.

Zignorował pytanie. Podszedł powoli, oparł dłonie na poręczach jej fotela, przysunął twarz do twarzy Glorii i wyzywająco spojrzął jej w oczy. Akcentując każde słowo, oświadczył:

- To jedyny sposób, żebyśmy dostali to, czego chcemy. Dopóki jesteśmy wystarczająco młodzi, by się tym cieszyć.

*Wystarczająco młodzi...* dotknął czułej struny i dobrze o tym wiedział. Gregg nie miał jeszcze trzydziestki, zaś Gloria była trzydziestoosmioletnią kobietą. Jeszcze nie starą, lecz – z czego zdawała sobie sprawę – jej karnawał młodości miał się prawie ku końcowi. Nie pozostało zbyt wiele lat, by ofiarować Greggowi ciało, które przyniesie mu tak doskonałą satysfakcję. Potem, być może znalazłaby inny sposób, żeby go przy sobie zatrzymać. Pieniądze Lloyda. Z drugiej strony wtedy byłby bardziej dojrzały i ustatkowany, mniej skłonny do uganiania się za kochankami.

- Jego głos, stłumiony, lecz rozkazujący, przenikał przez każdą jej myśl:
- Nie ma innego wyjścia *Musimy* to zrobić.

Gloria opuściła głowę i przycisnęła zgięte palce do twarzy.

- O Boże... – jęknęła.
- Zrobimy to pojutrze. W niedzielę w nocy. Plaża z pewnością wtedy już opustoszeje.

Glorii wydało się, że dostrzega wesołą nutę w jego głosie, zupełnie jakby proponował miłą wycieczkę.

– O Boże... – powtórzyła, tym razem beznadziejnym tonem.

Gregg wyprostował się, oderwał jej od oczu lodowate dłonie i mocno je ścisnął. – Zgoda?

Wykręcała się z jego uścisku z całych sił, aż kostki jej przegubów wyglądały, jakby miały przebić skórę.

– Dobrze – rzekła w końcu bezradnie, a jej twarz przybrała popielatą barwę. – Zrobimy to nocą, w niedzielę.

Gdy uwolnił jej ręce, Gloria zerwała się, wpadła do kuchni i przyniosła z powrotem napoczętą butelkę bourbona i dwie szklanki.

– Zapamiętaj – zaczął Gregg, zgarbiony przy stoliku, sącząc potem drinka. – Musisz... – Zawahał się. – Ty musisz wykonać pierwszą część planu.

Odwróciła wzrok, dygocząc. – Pamiętam. Ale... czy nie możemy tego zmienić? To było zupełnie co innego, gdy tylko o tym rozmawialiśmy. Ale teraz... Teraz podjęliśmy decyzję. Och, Gregg, myślę, że nie dam rady!

– To nic takiego. Będzie nieprzytomny. Nigdy nie dowie się, co się stało.

Spojrzała mu w oczy i szepnęła błagalnie: – Naprawdę nie możesz wtedy ze mną być?

– Nie. Gdyby ktoś wpadł akurat w takiej chwili i zobaczył nas razem, byłoby to morderstwo. Jeśli będziesz sama, zawsze możesz powiedzieć, że działałaś w samoobronie przed pijanym brutalem, który tobą poniewierał. Wcześniej ja tylko zaniósę Lloyda na górę.

Chwyciła się ostatniej deski ratunku.

– Dlaczego nie możemy tego zrobić, kiedy wrócisz – rano?

– Nie – odparł, rozdrażniony. – Trzeba to zrobić dość wcześnie, żeby mieć pewność, że jest wciąż nieprzytomny. Pamiętasz, jak obudził się pierwszej nocy, którą spędziliśmy razem? I kilka razy, już podczas następnych? A jednocześnie musi być wystarczająco późno, żeby nikt nie wpadł z wizytą i nam nie przeszkodził. Zrób to punktualnie o jedenastej trzydzieści. Jedenasta trzydzieści. Zapamiętasz?

– Powinam – odparła żałośnie. – Przerabialiśmy to wystarczająco

wiele razy. – Nalała sobie następnego bourbona. Ręka jej się trzęsła, gdy podnosiła szklankę do ust. – Ale będę z nim sam na sam całą długą noc. Czy musisz wracać aż tak późno?

– Do diabła, przecież wiesz, że tak. Musimy mieć w odwodzie tę wścibską Colby jako alibi. Nie może być żadnych podejrzeń, że jesteśmy wspólnie w to zamieszani. – Przerwał na moment. – I wiesz, że jest jeszcze coś jeszcze ważniejszego...

– Masz na myśli przeniesienie go na łódź?

– Mam na myśli *zgranie* tego w czasie – wyjaśnił, jak niedorozwiniętemu dziecku.

Glorię ogarnęła trwoga – i żal nad sobą.

– Ale to ja muszę zrobić to, co wcześniej ustaliliśmy – wykrztusiła. – Nie ty – *ja!*

– Nie zapominaj, co *ja* muszę zrobić – rzucił posępnie. – To jest o całe niebo gorsze

### 3.

**G**loria Worthington, oparta plecami o kamienne obmurowanie tarasu, zaciągała się głęboko papierosem. Patrzyła nieruchomo przez drzwi, prowadzące do salonu, obserwując słabo oświetlone wnętrze. Widziała głowę i ramiona Lloyda, kołyszące się miarowo na wyprężonych plecach wchodzącego na schody Gregga. Tym razem doprowadzenie jej męża do takiego stanu zajęło im o wiele więcej czasu. Jak podejrzewała, prawdopodobnie stało się tak dlatego, że prawie całą niedzielę Lloyd spędził, stojąc tam, gdzie ona teraz – gestykulując i wymachując szklanką, gdy zalewał ich istnym potokiem słów zachwytu nad urokami Hawajów. W końcu padł ciężko na płócienne krzeselko i bez słowa wypił duszkiem dwa następne drinki, zanim uległ kompletnemu zamroczeniu przez alkohol.

Gloria zgasiła niedopałek papierosa w wilgotnej ziemi, w obszernej donicy z karłowatym drzewkiem pomarańczowym i podkrađła się przez taras do rozsuniętych drzwi. Wchodząc do środka, zauważyła, że Gregg dotarł już na piętro i przystanął na podeście, żeby poprawić sobie Lloyda



na ramieniu. Potem z wolna odszedł korytarzem, prowadzącym do jego sypialni. Gloria na paluszkach podbiegła do podnóża schodów i opierając spoconą dłoń na lakierowanym filarze, podniosła głowę i nastawiła uszu. Usłyszała chróbot przekręcanej gałki, trzask otwieranych kopnięciem drzwi, jęk sprężyn w łóżku, gdy na materac rzucono ciężkie brzemie, i wreszcie szuranie podeszew butów po podłodze. Potem zapadła absolutna cisza.

Gloria błyskawicznie wymknęła się cichaczem na taras, znów podbiegła do kamiennego muru, lecz tym razem skierowała wzrok na otwarte morze, oddychając głęboko, by ukoić skołatane serce. Za plecami usłyszała lekkie kroki, więc odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Greggiem. Gdy podszedł jeszcze bliżej, zauważyła jego nienaturalnie błyszczące oczy i zacięty wyraz ust.

Rozpiął kołnierzyk swojej koszulki polo i otarł dłonią pot z karku.

– Dobra, staruszek poszedł lulu – rzucił zdawkowo.

Gloria poczuła na plecach lodowate ciarki i cała zdrętwiała.

– Gregg, błagam... – szepnęła łamiącym się głosem. – Zostań trochę dłużej.

– Nie! – odparł kategorycznie. – I tak jesteśmy już spóźnieni. – Przy-sunął się i ścisnął ją za ramiona, wytrzymując jej udręczone spojrzenie bez zmrużenia powiek. – Tylko pamiętaj – przez co najmniej kilka następnych dni nie możemy się do siebie zbliżać. Ani telefonować. Dopóki nie stwierdzą oficjalnie, że to był wypadek. A nawet wtedy musimy być ostrożni. Może nawet wyjadę z miasta na kilka dni. Jeśli to zrobię, jakoś dam ci znać. – Stanął obok, otaczając ją ramieniem, lecz patrząc gdzieś w dal. – Fatalnie, że dziś w nocy musimy zrezygnować z naszych igraszek.

Sama myśl o tym wydała się Glorii potworna. Zrobiła krok w tył, wbi-jając wzrok w tarczę zegarka.

– O jedenastej trzydzieści – mruknęła. – Za dwie godziny... od teraz. Czy o czymś nie zapomnieliśmy?

– *Na razie* nie ma o czym zapominać. – Obrócił się w stronę domu, unosząc głowę, żeby zerknąć na piętro. Potem znów spojrzął na nią. – Jest twój. *Na razie*. To ja już pójdę.

Odchodząc, nawet jej nie pocałował. Szła za nim aż do rogu domu, obser-wując później, jak znika pod sklepieniem dębów, zmierzając w stronę

alei, obsadzonej palmami. Po powrocie na taras Gloria usiadła przy stoliku pod parasolem i, cała roztrzęsiona, zapaliła papierosa, podczas, gdy w jej głowie szalała burza. Dobry Boże, jakim cudem do tego doszło? Kiedy się to wszystko zaczęło? Jasne, odkąd zakochała się do szaleństwa w Greggu Flandersie... Ale wcześniej, dawno temu – czyż nie robiła okropnych rzeczy, usiłując na próżno zdobyć to, czego chciała?

Wyglądało na to, że przez większość życia los wiódł ją nieuchronnie właśnie do tej chwili – od czasu, gdy będąc naiwną, rozmarzoną nastolatką, mieszkała na prowincji w Północnej Karolinie.

Zawsze pragnęła tak wiele... Miał tego pracowała w składzie tytoniowym. Była głównym żywicielem rodziny, utrzymując ojca nieudacznika, matkę – heterę i trzech braci – wałkoni. Karmiła swoje romantyczne fantazje treścią każdego obejrzanego filmu i tanich sensacji z plotkarskich magazynów, kupowanych za ostatnie oszczędności.

I wtedy stał się cud. Konkurs na Tytoniową Królową: pierwsza nagroda. Kontrakt w Hollywood. Lecz jak szybko rozwiały się jej złudzenia. Cały rok próżnowania (z wyjątkiem czasu poświęconego na powierzchowne kursy gry aktorskiej i wymowy), zanim dostała pierwszą, małą rolę, do tego w niskobudżetowej produkcji klasy B. Równocześnie pojawił się Grant Kelley, pomocnik operatora, mężczyzna o długiej, wiecznie skwaszonej twarzy, z oczyma jak czarne oliwki i głębokim głosem Humphreya Bogarta. Wzdrygnęła się na wspomnienie ich pierwszej randki – na ogromnym, hałaśliwym przyjęciu w rezydencji dobrze znanego producenta. Wypiła za dużo i odleciała w sypialni na górze. Ocknęła się później, ledwie zdając sobie sprawę z nacisku czegoś twardego, wdzierającego się boleśnie w jej ciało. Została zgwałcona przez Granta Kelleya... Skurwiel – tak go wtedy nazwała. Lecz tydzień później pojawił się w jej maleńkim mieszkanku i nie wiadomo dlaczego go wpuściła. Od tej pory sypiał z nią dwa razy w tygodniu, w środy i w soboty. Wytrzymała to przez pół roku, czerpiąc przyjemność z samego aktu, lecz gardząc Kelleyem. I gardząc sobą. W końcu powiedziała mu, żeby spadał.

Wkrótce potem zaczęli do niej wydzwaniać inni mężczyźni, znajomi Granta, szukając łatwej panienki. Odmówiła im wszystkim. Wtedy telefony z propozycjami ról całkiem się urwały i w ciągu niecałego roku nie miała już w czym wybierać. Była bezrobotna, do tego bez grosza.

Lecz się nie poddała. W końcu była w show-biznesie. *Show-biznes!* Pozowanie nago do kalendarzy i magazynów dla panów. Wreszcie, beznadziejnie splukana, wystąpiła wraz z inną dziewczyną w erotycznym filmie, grając w scenach, przedstawiających niedwuznacznie miłość lesbijską. Gdy ujrzała efekty swego „aktorstwa”, pojęła, że musi z tym skończyć, jeśli nie chce spaść na samo dno. Lecz wciąż się nie poddawała – wszystko, tylko nie to żalosne zadupie w Północnej Karolinie. Obsługa parkingów. Sortowanie części w zakładach lotniczych Lockheeda. Praca w kasie supermarketu. Później pewna odmiana, niezbyt wielka, ale zawsze odmiana. Mała rólka w filmie niezależnej wytwórni.

Gdy pierwszy raz zjawiła się na planie, poznała Lloyda Worthingtona, dobrze zbudowanego, energicznego mężczyznę dopiero co po czterdziestce, którego przenikliwe, piwne oczy patrzyły życzliwie z dobroduszej, lecz zdecydowanej twarzy. Był przedstawicielem firmy impresaryjnej, która sponsorowała połowę kosztów produkcji. Lloyd przybył tu, by się upewnić, że producenci filmu są ze swojej strony w pełni wypłacalni. Potraktował Głorię z nieoczekiwanymi względami, a nawet szacunkiem – i nie zmieniło się to również po ich ślubie. Nie darzyła go miłością – taką, o jakiej czytała – a on był delikatny i taktowny, darzył ją atencją na wzór filmowych bohaterów. Po tym, co przeszła, nie było zbyt druzgocącym rozczarowaniem, że Lloyd ma w łóżku bardzo mało do zaoferowania.

W każdym razie wydawało się to bez znaczenia. Miała bezpieczeństwo i komfort. Lloyd wydawał pieniądze lekką ręką i nieraz Głorię bulwersował widok niesłychanej ilości gotówki, którą stale nosił przy sobie. („To mój znak firmowy. Robi o wiele większe wrażenie niż czeki” – mawiał). A także nieprawdopodobnie dużo pił, lecz czynił to z klasą, jak džentelmen. I w końcu się doigrał – miał atak serca, a później...

Później Gloria poznała Gregga Flandersa. Ku swej zgubie.

Gdyby tylko Lloyd nie wyskoczył ze swoją zwiariowaną chęcią zamieszkania na wyśnionym Kona, mogłaby odsuwać plan Gregga w nieskończoność. Lecz teraz musiała przez to przejść – Gregg był wszystkim na świecie, czego pragnęła. Nie, nie wszystkim... Gdyby to była prawda, po prostu opuściłaby Lloyda – raczej pogodziłby się z rozwodem – i poślubiła Gregga. Lecz najprawdopodobniej nie chciałaby żyć w takich warunkach, w jakich dotychczas żył jej kochanek, a i on również, gdyby

tylko miał wybór. O, nie – potrzebowała pieniędzy Lloyda. Była coraz starsza. *Musiła* je mieć. Tak samo, jak Gregg. A istniała tylko jedna droga, by je uzyskać.

Gloria, ociągając się, wstała z krzesła przy stoliku z parasolem i zerknęła na zegarek. Dwadzieścia po dziesiątej – ma jeszcze ponad godzinę. Weszła do domu i wspięła się cicho po schodach do pokoju Lloyda, otworzyła drzwi i weszła do środka. Zamrugła, próbując przyzwyczać wzrok do panujących tam ciemności. Po omacku przesuwiała stopy po podłodze, aż natrafiła na krawędź łóżka. Gregg podciągnął koce, okrywając Lloyda prawie po czubek głowy, lecz wciąż widziała gęste włosy męża, teraz niemal zupełnie srebrne w przyćmionym świetle księżycy. Koce wznosiły się i opadały w rytm ciężkiego oddechu i Gloria wiedziała, że Lloyd jest pogrążony w głębokim zamroczeniu. Uspokojona, prześliznęła się przez drzwi, zamknęła je bezgłośnie za sobą i zeszła na dół.

W salonie wyjrzała przez północne okno, dostrzegając poprzez sylwetki palm błyski światła w szybach kuchni pani Winifredy Colby. Gregg pewnie w tej chwili pisał na maszynie przy otwartym oknie z podniesionymi, oblażącymi z farby żaluzjami, żeby Winifreda mogła go widzieć i słyszeć. Nim upłynie godzina, powinien przerwać, spojrzeć na zegarek i ze wzrastającym napięciem odliczać upływające minuty. Następnie, o jedenastej trzydzieści, zacznie dopingować Glorię, gdy ujrzy ją oczyma wyobraźni, jak zabiera się do dzieła.

Glorii zrobiło się niedobrze, z trudem hamowała odruch wymiotny. Przyciskając dłoń do ust, wbiegła do kuchni i ściągnęła z półki w oszklonej szafce butelkę bourbona i szklankę. Usiadła przy kuchennym stole, naląła sobie porządnego drinka i powoli go wysączyła. Po upływie pół godziny dołąła jeszcze trochę i odstawiła butelkę na miejsce. Nie wolno jej ulec pokusie. Musi zachować całkowitą jasność umysłu.

Następną godzinę spędziła, siedząc sztywno przy stole i pociągając od czasu do czasu maleńki łyček ze szklanki. Co kilka minut rzucała okiem na zegarek, a jej umysł wypełniał obraz głowy Lloyda, wtulonej w poduszkę.

O jedenastej dwadzieścia pięć poczuła, jak jej nadgarstek drętwieje pod paskiem zegarka i bieleją kostki palców, kurczowo zaciskających się

w pięść. Patrzyła, jak zahipnotyzowana, na dużą wskazówkę, która z wolna nasunęła się na punkt, oznaczający wpół do dwunastej. Minęły trzy minuty...

Wstała. Nogi dygotały pod nią jak galareta, a w ustach miała sucho, jakby wepchnięto jej w gardło tampon z gazy. Przeszła jak lunatyczka przez kuchenne drzwi, skręciła w prawo i wdrapała się, noga za nogą, po wyłożonych dywanem schodach. Na podeście przystanęła, chwytając rozcapierzoną dłonią balustradę, a drugą masując wilgotny kark. Wzięła spazmatyczny, głęboki oddech i szurając stopami, ruszyła korytarzem do pokoju męża. Zaciskając obie ręce na gałce od drzwi, przekreśliła ją bezgłośnie.

Wśliznęła się do środka, ostrożnie domykając drzwi z drugiej strony, dopóki nie usłyszała cichego kliknięcia zamka, przypominającego szczęk odwodzonego kurka rewolweru. Z drugiego końca pokoju dobiegł słaby jęk Lloyda i Gloria usłyszała lekki szelest pościeli. Zamarła, po żebrach spływał jej zimny pot. Przez chwilę trwała w grobowej ciszy, aż jej ucho ponownie wychwyciło nierówny rytm chrapliwego oddechu męża, a wtedy jednym skokiem dopadła jego masywnego biurka.

Ręką ułożoną na płask przesunęła nad powierzchnią blatu w poszukiwaniu tego, co miało posłużyć za broń, i znalazła to na zwykłym miejscu. Dłoń Glorii zamknęła się ściśle na uchwycie ciężkiego, metalowego przedmiotu. Była to żeglarska knaga, jedna z pamiątek Lloyda, służąca obecnie jako przycisk do papieru.

Chwyciła mocno za trzpień narzędzia, spłaszczonego u dołu i ograniczonego u góry poprzecznym bolcem, i przyciskając je mocno do uda, przeszła na palcach po dywanie, by stanąć u wezłowania łóżka. Księżyc wzeszedł już wysoko na niebie i jego mdły blask wydobywał z ciemności zarysy skulonej postaci, nakrytej po głowę zmietym, białym prześcieradłem. Zrobiła jeszcze krok w przód, zaciskając kurczowo powieki i wznosząc wysoko obciążoną rękę, która zastygła w górze, jak sparaliżowana, odmawiając posłuszeństwa. Gloria wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby i powoli opuściła bezwładne ramię. *O Boże, jak mocno trzeba go uderzyć?* Przecież nie chciała go zabić – to już nie należało do niej. Lecz musiała go przynajmniej ogłuszyć – na tyle mocno, by mieć pewność, że się nie ocknie przez dłuższy czas.

Powolnie dźwignęła knagę do wysokości ucha, przytrzymała i wzięła następny, głęboki wdech. Po czym, z rozswartymi, wytrzeszczonymi oczami, spuściła ciężki metal na czaszkę Lloyda.

Odgłos przypominał trzaśnięcie stalowych drzwi o drewniany kloc. Głowa podskoczyła na poduszce. Oddech zamarł. Przez jedną, straszliwą chwilę myślała, że go zabiła. Upuściła knagę, rzuciła się w przód i przypadła do łóżka, chcąc odrzucić prześcieradło i sprawdzić puls. Lecz właśnie wtedy rozległ się stłumiony jęk i szept oddechu, z trudem chwytanego przez usta i nos. Gloria wyprostowała się, czując rwanie w stawach, i przeszła na drugi koniec łóżka. Lloyd wciąż oddychał. Podniosła knagę, wypadła na korytarz i zbiegła po schodach na dół, do łazienki. Tam znalazła szczoteczkę do paznokci, którą dokładnie wyszorowała metalowe narzędzie. Potem osuszyła je, owinęła grubym ręcznikiem i – powróciwszy do pokoju Lloyda – postawiła z powrotem na biurku. Słyszała, jak powietrze ze świstem uchodzi mu z płuc podczas nierównych, chrapliwych wydechów. Pobiegła do swojego pokoju i z samego dna podręcznego schowka wyciągnęła wielki, oliwkowozielony śpiwór, który Gregg przywiózł kiedyś z wojska. Zaniosiła go do pokoju Lloyda i rzuciła go tuż za progiem. Przystanęła na moment, Jeszcze raz wsłuchując się w oddech męża. Potem zamknęła drzwi i chwiejnie zeszła na dół, nie zadając sobie trudu stąpieniem na paluszkach.

Jej zadanie było prawie zakończone. Do zrobienia miała już tylko jedno. Ale na to przyjdzie czas później.

## 4.

**J**ak ktoś, kto próbuje chodzić na protezach, Gloria drętwo dowlokła się do sofy i padła jak ścięta. Teraz, gdy było po wszystkim, poczuła się krańcowo wyczerpana, jakby każdy nerw z osobna emanował bólem. Gdyby tylko mogła wziąć pigułkę nasenną i wyciągnąć się wygodnie na miękkich poduszkach... Lecz nie odważyła się zaryzykować w obawie, że zaśpi. Musiała bezsennie czuwać przez co najmniej sześć czy siedem następnych godzin.

Wprost marzyła o mocnym drinku, ale bała się ewentualnych skutków

zamroczenia. A jednak *musiała* się napić! Wszystkie mięśnie jakby wymknęły się jej spod kontroli i zaczęły szaleńczo dygotać, jak awionetka przed odlotem. Gloria dźwignęła się na nogi i pokuśtykała do kuchni. Chwyliła butelkę, wlała do kubka bourbona na ponad cal i wypła go duszkiem, stojąc przy zlewie. Prawie od razu poczuła się lepiej.

Trzask uderzenia nadal rozbrzmiewał w jej głowie, lecz teraz o wiele ciszej. Miała wciąż przed oczami przerażający obraz zastygłej krwi, zmywanej ze splamionej nia, metalowej knagi. Mglicie przypomniła sobie, że kiedyś proponowała, by użyć chloroformu, lecz Gregg obawiał się pozostałości charakterystycznego zapachu. Wtedy zaczęła go namawiać, żeby zastosować mocny środek nasenny, ale odrzucił również ten pomysł. Jak powiedział, w ciele nie może znajdować się nawet ślad jakichkolwiek odurzających substancji, bo wykaże je sekcja. Tak – pomyślała z goryczą – nic nie wchodziło w rachubę, z wyjątkiem tego, co w końcu zrobiła.

Krótko po północy weszła do pokoju na piętrze i podeszła do łóżka, wsłuchując się w rżący oddech Lloyd'a. Spłynęła na nią ulga – już się przestraszyła, że będzie musiała mu jeszcze raz przyłożyć, a szczerze wątpiła, czy byłaby w stanie to zrobić.

Zeszła i pogasiła na dole wszystkie światła. Potem, z latarką w rękę, weszła do kuchni. Zalała wrzątkiem kawę w dużym imbryku i, siedząc na wysokim taborecie, obserwowała, jak się parzy. Wypiła jedną filiżankę w kuchni, a drugą wzięła do mrocznego salonu. Obróciła krzesło, usiadła i znów wyjrzała przez północne okno. Zaskakujące, ale w domu Winifredy Colby wciąż świeciło się światło. Była prawie pierwsza po północy, a Winifreda przecież zawsze wstawiała o piątej rano. Może, jak pomyślała Gloria, sąsiadka ucięła sobie drzemkę po południu. Ona sama została więc na stanowisku przy oknie, niecierpliwie kiwając się na krawędzi krzesła i paląc papierosa za papierosem, dopóki światła w domu Winifredy Colby nie zgasły, o wpół do drugiej.

Upływające potem godziny zmieniły się w istny koszmar. Gloria wypła morze kawy, paląc przy tym jak smok i przemierzając pokój od ściany do ściany, żeby tylko nie zasnąć. Narzuciwszy płaszcz spacerowała po tarasie, dopóki zimna wilgoć wstającej mgły nie zapędziła jej z powrotem do środka. Dwa razy wchodziła na górę, upewniając się, że Lloyd jest wciąż nieprzytomny.

Gdy Gloria zaczęła wrzucać sęgi drewna do kominka w salonie, usłyszała szelest stóp piętro wyżej. Machnięciem dłoni zgasła zapalną i podbiegła do schodów, nastawiając uszu. Kroki umilkły. Przez chwilę, która wydała się jej ciągnąć w nieskończoność, na górze panowała absolutna cisza. Potem rozległ się ciężki odgłos, jakby coś – prawdopodobnie stopy Lloyda, pakowanego do śpiwora – łupnęło o podłogę. Po kilku minutach Gloria usłyszała szuranie brutalnie wleczzonego ciężaru. A w końcu trzeszczenie desek i ocieranie się o ściany, gdy Gregg, taszczyący brzemię ważące chyba dwa razy więcej niż on sam ostrożnie schodził po wąskich schodach z tyłu domu.

Błyskawicznie przypadła do oszklonej ściany salonu, usiłując przeniknąć wzrokiem gęstą mgłę, kłębiącą się na tarasie. W kilka sekund zlokalizowała w dali sylwetkę Gregga, mającące widmo w żeglarskiej czapce Lloyda. Dźwigając wypchany śpiwór na jednym ramieniu, dotarł do schodów, prowadzących na plażę. Później pochłonęła go mgła.

Rozsunęła oszklone drzwi i przyskoczyła do obmurowania tarasu, wyżejając wzrok, by zobaczyć przystań. Nagły powiew rozwiął kłęby mgły i w prześwicie Gloria ujrzała Gregga, zstępującego na pokład motorowej łodzi i pochylającego się, by zsunąć ciężki śpiwór. Opary mgły powoli zasnuły jego obraz, znów nadając mu postać zjawy. A po chwili patrzyła już tylko na falującą ścianę bieli.

Drżała z zimna i przemęczenia, kiedy wreszcie usłyszała dudniący ryk zapuszczanych silników. Poczekała, aż odgłos ścichnie i przejdzie w niski, równomierny warkot, upewniając się, że łódź odpływa od przystani. Spojrzała na zegarek. Punktualnie piąta. Wróciła do salonu.

Jeszcze raz wyjrzała przez północne okno. Pomimo mgły dostrzegła blade światło, błyskające w domu Winifredy Colby Gloria włączyła lampy w salonie, rozpałała w kominku i poszła do kuchni, żeby naparzyć więcej kawy. Siedząc przy stole z filiżanką w dłoni, rozważała: „Jak na razie, znakomicie; wszystko przebiega zgodnie z planem Gregga”. Nieco się rozluźniła i oładnęło ją poczucie nierzeczywistości, jakby była jedynie obserwatorem, patrzącym na makabryczne poczynania jakiejś obcej kobiety. Prawie beznamytnie zastanawiała się, czy czaszka Lloyda pękła od uderzenia. To przypomniało jej reakcję Gregga na taką okoliczność: „To bez znaczenia. Powiedzmy, że mógł uderzyć głową o burtę łodzi. Poza tym zostanie wyrzucony tam, gdzie jest żerowisko wielkich, drapieżnych



ryb. Te potwory porządnie podgryzą go tu i ówdzie”. Gloria wstrząsnęła się. Gregg sprawiał wrażenie tak niezachwianie spokojnego – że przyjęła to do wiadomości i z zimną krwią zepchnęła na samo dno umysłu.

Dopiła kawę i wstała. Teraz była gotowa na kolejny krok.

O wpół do siódmej mgła się podniosła, przysłaniając czubki drzew. Widoczność poniżej była całkiem znośna, gdy Gloria usiadła na kamiennym murku, kierując wzrok na szare fale przyboju, rozbijające się o brzeg. Po dwudziestu minutach dostrzegła go na mgnienie oka, jak dopływał do odległego, kamienistego wybrzeża. Leżał na brzuchu, wyciągnięty na desce, ze śpiworem, (teraz złożonym i kryjącym w środku jego ubranie) ryzykownie przytroczonym na przedzie. Piana i rozbryzgi wody przysłaniały jego sylwetkę, lecz Gloria z ulgą dostrzegła, jak fala wynosi go na wilgotny piasek plaży.

Zeszła z tarasu. Nadszedł czas, by się przekonać, na ile dobre alibi może stanowić Winifreda Colby.

Winifreda wcale nie wyglądała na zaskoczoną, kiedy otworzyła drzwi przed Glorią, która właśnie podnosiła rękę, żeby zastukać.

– Widziałam, jak przedziera się pani przez tę naszą dżunglę – oznajmiła z uśmiechem.

Była to niska kobieta z szeroką twarzą, szerokimi ustami i bardzo szerokim uśmiechem. W siwiejące włosy, zaczesane z tyłu w ciasny kok, wpięła wielki, półkolisty grzebień. Jak na sześćdziesiąt lat, miała niespotykane przenikliwe, bystre jak u dziecka oczy. Była ubrana w szarą bluzę, niebieskie levisy, a na nogach miała adidasy.

Gloria przeprosiła za tak wczesną wizytę.

Winifreda Colby zbyła to machnięciem kanciastej dłoni. – Jestem na nogach już dobrą godzinę. Zapraszam na kawkę.

Poprowadziła Glorię nieskazitelnie czystym, schludnym korytarzem do kuchni, w której było zatrzęsienie garnków, rondli, porozrzucanych gazet i kłębków splątanej włóczki.

– Jak pani widzi, to moje królestwo – oświadczyła Winifreda, zapalając ogień pod naczyniem z kawą.

– Wygląda... na całkiem przytulne – odparła Gloria. – A wie pani z czym przyszedłam...? Zbliża się artystyczny pokaz plenerowy. Zaczyna się w piątek, a ja jestem w komitecie organizacyjnym. Szukamy mieszkańców chętnych do pomocy. Pomyślałam, że może pani...

Na twarzy Winifredy pojawił się grymas udawanego niezadowolenia.  
– No, nie wiem. Nie wychodzę zbyt często. – Wskazała ręką tapicerowany fotel na biegunach, ustawiony przodem do okna z widokiem na pełne morze. – Większość mojego czasu spędzam właśnie tutaj, czytając gazety i patrząc na ocean.

– Jeśli pani nie może, nic nie szkodzi. Jestem pewna, że znajdą się inni chętni.

– Cóż, więc może zacznijcie od nich. A jeżeli nadal będziecie kogoś potrzebować, w razie czego możecie na mnie liczyć.

– To cudownie.

Siedząc z nogą założoną na nogę przy kuchennym stole i popijając kawę, Winifreda dodała: – Po prostu nigdy nie mogę się napatrzeć na tę bezkresną wodę.

– Wiem. Ja też.

– A co dopiero pani mąż. On jeszcze do tego musi po niej *plywać*. Słyszałam, jak znów wychodził dziś rano.

Gloria zeszywniała. Mimowolnie osuszyła usta papierową serwetką. – Naprawdę? Ja spałam. O której godzinie?

– O której? – Winifreda zachichotała. – O tej co zawsze – o piątej. Za każdym razem, gdy słyszę zapuszczenie silnika, a mój zegar nie wskazuje piątej nad ranem, wiem, że źle chodzi. Prawdę mówiąc, dziś rano widziałam pani męża. Tylko przelotnie, bo było bardzo mgliście – wydało mi się, że jest strasznie obładowany.

Glorii załomotało serce.

– No tak... cóż, zabrakło mu prowiantu i zrobił zaopatrzenie. – Rozważała, czy Winifreda Colby mogła dostrzec Gregga, kiedy wracał, płynąc na desce. Od niechcenia zapytała: – A surferów też było sporo na morzu dziś rano?

– Wielkie nieba, nie. Nie było nawet wędkarzy. Oczywiście niespecjalnie patrzyłam – w poniedziałkowy rano nie ma się komu przyglądać. Robiłam na drutach.

– To śmieszne. A ja myślałam, że może pani coś pisała. Mogłabym przysiąc, że słyszałam odgłos maszyny do pisania, kiedy podchodziłam do drzwi pani domu.

– Zgadza się. To państwa przyjaciel z sąsiedztwa.

Tym razem serce Glorii nieomal stanęło. – *Nasz przyjaciel?*

– No tak, ten, który przychodzi od czasu do czasu odwiedzić pani męża. Pan Flanders. Jest pisarzem, prawda?

– Ojej... No tak, to pisarz. Ale, niestety, chyba niezbyt popularny.

Winifreda potrząsnęła głową i zacmokała. – Chyba miał zeszłego wieczoru natchnienie, bo pracował całą długą noc. Kiedy wstałam dziś rano, u niego ciągle paliło się światło. Pewnie jeszcze pisze. Rzućmy okiem.

Dopiła ostatni łyk kawy, unosząc swój wydatny biust znad stolika, wstała i kaczym chodem podreptała do salonu, a Gloria w ślad za nią. Winifreda zatrzymała się przed jednym z okien i obydwie, patrząc przez palmowy gąszcz, obserwowały oświetlony dom Gregga. Szerokie, drewniane żaluzje były opuszczone, lecz ustawione na ukos, ukazując częściowo wnętrze pokoju. Stukanie maszyny do pisania było doskonale słyszalne. W pewnej chwili umilkło i Gloria ujrzała zarys postaci Gregga, teraz już ubranego i przechodzącego na tle okna.

– Znów myśli – skomentowała Winifreda. – Walił w tę maszynę prawie przez całą noc. A potem, jak sędzę, pewnie przez pewien czas musiał się nad czymś namyślać. I całkiem niedawno znów zaczął tłuc w klawisze.

Gloria miała już to, po co przyszła. Powiedziała sąsiadce do widzenia, obiecując, że zajrzy do niej znowu. Gdy drzwi się za nią zamknęły, odcznęła z ulgą, całkiem pewna swego. Alibi było niemal doskonałe. Pozostawał jeszcze ten czas, kiedy „musiał się nad czymś namyślać”. Ale w zasadzie wszyscy i tak to kupią. To nie był jakiś słaby punkt.

Gdy Gloria skręciła za róg domu Winifredy Colby, przystanęła i obejmowała się tęsknie na okno Gregga, widząc zarys jego ciała, poprzecinany liniami żaluzji. Gdyby tylko mogła do niego pójść, dotknąć go, gdyby ją przytulił...

Lecz ich plan to wykluczał. Musiała czekać, dopóki sam nie da jej znać. Nagle jej oczy wypełniły się łzami. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, jak bardzo była samotna.

## 5.

Wkrótce po południu Gloria zbudziła się, psychicznie odświeżona, ze snu wspomaganego pigułkami, lecz w jej umyśle wciąż wirowały mordercze dźwięki i obrazy. Uderzenie metalową knagą. Urywany jęk. Ciało zsuwające się ze śpiwora do morza. Gdy wstała i ubrała się, jej otoczenie wydało się jej dziwnie nierealne, jakby wróciła do domu z długiej podróży i nie zastała nikogo.

Powinna poczekać co najmniej do czwartej po południu, zanim zgłosi Straży Przybrzeżnej nieobecność Lloyda. Tymczasem musi przebywać w pobliżu domu, czekając na wiadomość od Gregga, chociaż niewykluczone, że da jej znać dopiero następnego dnia. Rzecz jasna, do tej pory już opuścił swój dom. A może nie? Istniał tylko jeden, nie budzący podejrzeń sposób, żeby się co do tego upewnić. Gloria poszła do Winifredy Colby.

Winifreda sprawiała wrażenie uradowanej jej widokiem. Oczywiście, jak pomyślała Gloria z niechęcią, jej sąsiadka podziwiała młodą kobietę, która podtrzymywała dobrosąsiedzkie stosunki i najwyraźniej była całkowicie oddana swemu podstarzałemu małżonkowi.

– Zapraszam na kawkę – rzuciła od drzwi.

Gloria obdarzyła ją pełnym sympatii uśmiechem. – Ach, dziękuję bardzo, nie skorzystam. Po prostu zajrzałam, żeby pani powiedzieć, że znalazłam kogoś do pomocy na pokazie, więc proszę już nie robić sobie kłopotu.

– No to w porządku. Kamień spadł mi z serca. Już się przygotowałam psychicznie, że będę *musiała* wziąć w tym udział.

– W każdym razie dziękuję. I do zobaczenia. – Gloria odwróciła się i zatrzymała w pół kroku, żeby spojrzeć na dom Gregga. – Jak widzę, nasz pisarz w końcu postanowił dać sobie spokój.

– O, tak, ładnych parę godzin temu. Skończył wkrótce po pani wyjściu. Widziałam, jak wychodził, ale może już wrócił i poszedł spać. Tak chyba powinien.

A więc Gregg chyba wyjechał... Gdzie? Gloria poczuła niepokój zamiast spodziewanej ulgi. Wracając spacerkiem do domu, zauważyła, że

mgła już wyparowała i był środek roziskrzonego słońcem, letniego dnia, tuż przed falą popołudniowego upału. Cudowna pora na przejażdżkę samochodem. Pomyślała o swoim nowiutkim jaguarze.

Czemu nie? A jeśli Gregg spróbuje się z nią skontaktować akurat wtedy? O nie – postanowiła poczekać.

W domu wypita jeszcze jedną filiżankę kawy i wzięła środek uspokajający. Lecz wciąż czuła się rozdrażniona i uwięziona w czterech ścianach. Znow pomyślała o jaguarze. Co za różnica, że nie będzie jej dziesięć czy piętnaście minut?

Lśniącego, nowego samochodu nie było tam, gdzie go zostawiono, na półkolistym podjeździe. Zajrzała przez otwarte drzwi garażu, lecz w środku ujrzała jedynie sfatygowanego austina-healy. *Jaguar X-KE zniknął!* Co się tu dzieje? Spanikowana, wodziła nieprzytomnie wzrokiem po parku, otaczającym podjazd, jakby spodziewała się znaleźć niskie, długie auto, skryte za którymś z drzew. Pamiętała, że zostawiła kluczyki w stacyjce, ale było to w zwyczaju wśród okolicznych mieszkańców, podobnie jak zostawianie otwartych drzwi. Czyżby Gregg uciekł, zabierając samochód? Czysty absurd! Lecz przecież nie miał własnego auta i przy dojazdach i wyjazdach korzystał z uprzejmości swoich przyjaciół – surferów. A co jeśli przyszedł, kiedy spała, i zobaczył kluczyki w stacyjce i pełen bak? *Tylko nie to!*

Czy Gregg, zuchwały z natury, podjąłby takie ryzyko? Z pewnością nie był to samochód, który mógłby pozostać niezauważony, gdziekolwiek by się pojawił. I co, według Gregga, powinna teraz zrobić? Sądził, że nie zgłosi kradzieży? Policja dowie się, że był to prezent od Lloyda, więc jeśli ich o tym nie poinformuje, może to posłużyć jako pewnego rodzaju dowód obciążający.

Rozdrażniona, ogarnięta coraz większym lękiem, pobiegła z powrotem do domu. Uchyliła drzwi, gdy jej stopa kopnęła małą, białą kopertę. Poczowała przyływ ulgi. Takich kopert zawsze używał Gregg, gdy chciał przekazać jej wiadomość. A więc *wstał tu*, kiedy spała.

Rozerwała kopertę i przeczytała list, napisany na maszynie.

KOCHANIE,

WZIAŁEM JAGUARA. WIEDZIAŁEM, ŻE POWINIENEM ZOSTAĆ W MIEŚCIE, DOPÓKI NIE ZJAWI SIĘ POLICJA, LECZ PO TEJ NIESKOŃCZENIE DŁUGIEJ NOCY

ZROZUMIAŁEM, ŻE JESZCZE NIE JESTEM GOTÓW STAWIĆ IM CZOŁA. POTRZEBUJĘ TROCHĘ CZASU, ZANIM ODZYSKAM CZĘŚĆ DAWNEJ PEWNOŚCI SIEBIE. ZWRÓCĘ SAMOCHÓD ZA KILKA DNI. WYTŁUMACZ TO W NASTĘPUJĄCY SPOSÓB. TY I LLOYD WIEDZIELIŚCIE, ŻE JADĘ DO MEKSYKU PO ŹRÓDŁOWE MATERIAŁY DO POWIEŚCI. LECZ WIEDZIELIŚCIE, ŻE MAM ZA MAŁO PIENIĘDZY NA PRZEJAZD, A TAKŻE NA CODZIENNE WYDATKI. A WIĘC WCZORAJ OBYDWOJE ZACHĘCALIŚCIE MNIE, ŻEBYM POŻYCZYŁ JAGUARA. ZWŁASZCZA LLOYD BARDZO NA TO NALEGAŁ.

WSZYSTKO, DO NAJDROBNIJSZEGO SZCZEGÓŁU, POSZŁO DOKŁADNIE TAK, JAK ZAPLANOWALIŚMY. JESTEM PEWIEN, ŻE WINIFREDA COLBY BYŁA PRZEKONANA, ŻE W OGÓLE NIE WYCHODZIŁEM Z DOMU I CAŁĄ NOC PRACOWAŁEM. CHYBA SAMA WIDZIAŁAŚ?

JEŚLI CHCESZ SIĘ ZE MNĄ SKONTAKTOWAĆ, PISZ NA ADRES SKRYTKI NA POCZCIE GŁÓWNEJ W SAN DIEGO. BĘDĘ TAM JUTRO I POJUTRZE.

WRÓCĘ, ZANIM ROZPOCZNIE SIĘ JAKIEŚ FAKTYCZNE DOCHODZENIE. POZA TYM JESTEŚMY PRZECIEŻ RAZEM, WE DWOJE.

G.

List uśmierzył niepokój Glorii, lecz wcale nie zmniejszył irytacji. Bardzo ładnie sobie to wszystko obmyślił – i jeszcze do tego musiał jechać właśnie jej samochodem. Wobec tego była zostawiona sama sobie, aczkolwiek tymczasowo. Aktualna odpowiedzialność za ich wspólny los teraz spoczywała na niej samej.

Kwadrans po czwartej zatelefonowała do Straży Przybrzeżnej, zawiadamiając, że jej mąż niepokojąco się spóźnia.

– Wiem, że brzmi to cokolwiek niepoważnie. Może to nic wielkiego, lecz on jest zawsze bardzo punktualny.

– Zbadamy to, pani Worthington – odparł funkcjonariusz z lekką chrypką. – Tak czy inaczej niedługo wylatuje nasz śmigłowiec.

– Być może złapał wielką rybę. Tylko że on ostatnio ich nie łowi, to dla niego zbyt wyczerpujące.

– Sprawdzimy i oddzwonimy do pani, jak tylko się czegoś dowiemy. Dwie godziny później zadzwonił ten sam mężczyzna.

– Znaleźliśmy państwa łódź – oznajmił.

Udała, że jest przyjemnie zaskoczona. – Och, dzięki Bogu!

– Była zacumowana o milę stąd, za Point. Nasi ludzie właśnie ją tu

holują – ciągnął zachrypnięty funkcjonariusz grobowym tonem.–  
*Wasi ludzie?*

– Tak. Strasznie przykro mi to mówić, pani Worthington, ale na pokładzie nikogo nie było

– Och, nie... Nie! – Gloria poczuła błysk dumy, że tak potrafi maskować prawdziwe uczucia.

– Niestety, tak. Oczywiście istnieje jeszcze możliwość, że pani mąż wszedł na pokład innej łodzi, żeby, na przykład, odwiedzić przyjaciół. – Przerwał na chwilę. – Powiedziała pani, że on zawsze wracał o tej samej godzinie, co do minuty?

– Nigdy później niż o trzeciej.

– No tak. Teraz jest prawie szósta. Pomyśleliśmy, że lepiej zawiadomić policję. Już się o to postarałem.

Niecierpliwie ścisnęła ręką słuchawkę.

– No tak... to dobrze – rzuciła przez zaciśnięte zęby.

– O wiele szybciej odprowadzilibyśmy łódź do państwa przystani, gdyby zechciała pani tu przyjść. Czy pani wie, gdzie jest nasz posterunek? Jak powinna to teraz rozegrać?

– Tak, wiem. Ale chyba lepiej będzie, gdy zostaną tutaj. Mój mąż może zatelefonować.

– To będziemy z panią w kontakcie.

Pomimo urazy do Gregga poczuła złośliwą satysfakcję. Rzeczywiście, wyglądało na to, że zrobił wszystko dokładnie tak, jak sobie zaplanował. Popłynął do akwenu, gdzie żerowały wielkie, drapieżne ryby, wyrzucił ciało za burtę i skierował łódź do miejsca, gdzie Lloyd zwykle zarzucał kotwicę i wędkował. Stamtąd Gregg mógł już szybko i bezpiecznie dopłynąć na desce do plaży.

Nieco później, siedząc na tarasie i sącąc drinka, rozważała, czy powinna pójść na posterunek Straży Przybrzeżnej i udawać umierającą z niepokoju małżonkę, czy stwarzać pozory, że czeka, aż jej mąż zadzwoni do domu. Rozległ się dzwonek do drzwi. Odstawiła szklankę na pokryty szkłem blat stolika i przeszła przez salon, przekonana, że to ktoś ze Straży Przybrzeżnej.

Gdy otworzyła drzwi, zamiast funkcjonariusza ze Straży ujrzała dwóch mężczyzn w garniturach. Jeden był jej znajomy, zaś drugiego widziała

pierwszy raz w życiu.

Znajoma twarz należała do porucznika Rodneya Dillona z miejscowego posterunku policji. Od czasu do czasu widywała go w mieście, a kilka dni temu zamieszczono jego zdjęcie w lokalnej gazecie wraz z informacją, że ma pełnić obowiązki komendanta, zastępując dotychczasowego, który został przeniesiony. Porucznik Dillon był wysokim mężczyzną, szczupłym, lecz umięśnionym, ze szczotką ciemnych włosów na głowie i gęstymi, czarnymi brwiami, które nadawały mu marsowy wyraz.

– Dobry wieczór, pani Worthington – zaczął. – Jestem porucznik Rod...

– Wiem, rozpoznałam pana, poruczniku Dillon – Gloria wpadła mu w słowo. – Proszę do środka. Gratulacje z okazji awansu.

Dillon usiłował zbyć to lekceważącym uśmiechem, lecz jego ciemne oczy rozbłyły dumą. – Dziękuję. Jak pani wie, nie jest to jeszcze stały etat. Jak na razie.

Odcień głosu sugerował, że wkrótce będzie. Szybko przedstawił swojego towarzysza, mówiąc tonem pełnym najwyższego szacunku:

– To kapitan Abraham Friendly z policji San Francisco. Pozwoliłem sobie poprosić go, by mi towarzyszył.

– Witam – rzekła Gloria. – Z policji San Francisco?

Kapitan Friendly skłonił się lekko w grzecznościowym ukłonie.

– Zafundowałem sobie krótkie wakacje. Laguna jest jednym z moich ulubionych miejsc.

Jego głos zaskoczył Głorię. Oczekiwała, że będzie adekwatny do posiadanej władzy. Ale kto by się spodziewał tak łagodnego tonu po człowieku, którego twarz mogłaby należeć do antycznego bohatera? Łuki brwiowe, zarys kości policzkowych, linia szczęki wyglądały, jak wykute z granitu. Gęste, krótko ostrzyżone białe włosy mogłyby zdobić głowę rzymskiego patrycjusza. To twarz, która powinna zostać wykuta w skale na Mount Rushmore – pomyślała Gloria. Do tego wysoka sylwetka, która dorównywała klasycznym rysom – mocna, o szerokich ramionach i płaskim brzuchu, której nawet nie szpecił toporny, tweedowy garnitur. Niebieskie oczy Friendly'ego – zauważyła – były równie łagodne jak jego głos.

W salonie obaj policjanci usiedli, wyprostowani, na brzegu sofy, zaś Gloria zajęła miejsce naprzeciw, na różowym szezlongu. Porucznik



Dillon posłał kapitanowi Friendly'emu ukradkowe, pytające spojrzenie, a wyższy stopniem mężczyzna zachęcił go skinieniem głowy. Dillon odchrząknął i energicznie rozpoczął:

– Skontaktowała się ze mną Straż Przybrzeżna. Jak rozumiem, poinformowali panią o znalezieniu łodzi...

Gloria obrzuciła go krytycznym spojrzeniem. Narwany, młody człowiek, nadęty pychą z racji nowego, ważnego stanowiska. I jeszcze ta szeroka szczeka i dołek w brodzie – znamionujące zawziętość i upór.

– Owszem – odparła spokojnie. – Poinformowali mnie.

– Wysłali nurków, którzy przeszukiwali akwen przez kilka godzin. – Dillon przerwał i spuścił wzrok. – Bez rezultatu.

Kapitan Friendly spojrział na Glorię ze współczuciem. – To musi być dla pani bardzo trudne doświadczenie, pani Worthington.

Opuściła głowę i ścisnęła palcami skronie.

– Strasznie się martwię – odparła cichym głosem.

– Jedziemy, żeby przeszukać łódź – dodał Dillon, siląc się na oficjalny ton. – Pomyśleliśmy, że może zechciałaby pani nam towarzyszyć.

– No cóż, ja... – Gloria zwróciła udręczone oczy na kapitana Friendly'ego.

– Jak się domyślam, ma pani nadzieję, że pani mąż może skądś zatelefonować do domu – dokończył jej myśl Abe Friendly. Jego wielka dłoń bawiła się ciężkim, złotym łańcuszkiem od zegarka, zwieszającym się z kieszeni kamizelki.

– To prawda, chociaż już zaczęłam... – skryła twarz w dłoniach. – Już zaczęłam myśleć, że on może *nie jest w stanie* zadzwonić. – Nastąpiła chwila ciszy, a Gloria była pewna, że mężczyźni czekają, aż odzyska panowanie nad sobą. Podniosła głowę, odrzucając w tył jasne włosy, i zdobyła się na słaby, bohaterski uśmiech.

– Doskonale panią rozumiemy – powiedział delikatnie Friendly, niezdecydowanie wstając z miejsca i siadając z powrotem. – Lecz może są pewne rzeczy, które okażą się nam pomocne. – Wyciągnął wielki, złoty zegarek z kieszeni kamizelki i nerwowo otworzył klapkę. – Z tego, co wiem, pani mąż wracał zwykle jakoś pomiędzy drugą trzydzieści a trzecią. To oznacza, że jest zaginiony od około czterech godzin... a może

znacznie dłużej. – Spojrzał jej w oczy prawie ze skruchą. – Pani Worthington, istnieje prawdopodobnie jakieś proste wytłumaczenie tego... zniknięcia. Lecz nie możemy brać tylko tego pod uwagę. Dlatego też musimy zadać pani kilka pytań, które mogą wydawać się bardzo niedyskretne. Ale będzie lepiej, jeśli szybko ustalimy fakty.

Gloria nie okazała z mieszanina. – Nie wiem, jak mogę pomóc. Lecz cokolwiek chcecie panowie wiedzieć...

Kapitan Friendly spojrzał wyczekująco na Dillona. Porucznik zaczął zadawać pytania szybko i z zimnym profesjonalizmem.

– Czy zna pani kogoś, kto chciałby zaszkodzić pani mężowi?

– Zaszkozić Lloydowi? – powtórzyła z udanym niedowierzaniem. – Absolutnie nie. On jest najłagodniejszym człowiekiem pod słońcem.

Usta Dillona zacisnęły się w wąską kreskę. – A któryś z jego współpracowników?

– Musi pan wiedzieć, poruczniku – tłumaczyła cierpliwie – że mój mąż jest na emeryturze. Prowadzimy niemal samotniczy tryb życia.

– To prawdziwe szczęście, gdy mężczyzna może iść na emeryturę w tak młodym wieku – wtrącił Friendly zdawkowo.

– Mój mąż ma sześćdziesiąt lat, panie kapitanie. – Widząc na jego twarzy wyraz zdumienia, Gloria dodała: – Istnieje między nami *poważna* różnica wieku.

Friendly uśmiechnął się ze wstydliwym podziwem. – Skoro tak, to przyznam, że jest z pewnością poważna.

Dillon, pozostawiony jakby na uboczu, okazywał wyraźną irytację.

– Czy – o ile pani wiadomo – pan Worthington zawsze płynął do tego samego, konkretnego miejsca, gdzie znaleziono łódź? – wtrącił nieswoim głosem.

– Prawie zawsze. Od czasu do czasu wypływałam razem z nim. To właśnie tam zwykle mnie zabierał.

– A gdzie państwo cumują łódź? – zapytał Friendly. – Na przystani jachtowej?

– Nie. Mamy własną, małą przystań tu na dole, pod urwiskiem.

Gęste brwi kapitana uniosły się z zainteresowaniem. – Możemy ją zobaczyć?

Policjanci minęli oszklone drzwi i podążyli za Glorią na taras. Wtedy ona zauważyła na stoliku swoją nie dopitą whisky.

– Ach, zapomniałabym. Czy któryś z panów życzyłby sobie drinka?  
– zaproponowała, podnosząc szklankę.

Dillon zdecydowanie odmówił. Friendly obrzucił szklankę tęsknym wzrokiem, nim odparł:

– Obecnie byłbym wdzięczny za szklankę zwykłej wody. Ten upał...  
– przerwał. – Ale najpierw proszę pozwolić mi zerknąć na przystań.

– Nie rozumiem tylko, co ma przystań do... – zaczęła Gloria, lecz Friendly natychmiast ją uspokoił.

– To rutynowa procedura – podkreślił. – Naprawdę nie mam na myśli niczego szczególnego.

Zbiegł truchcikiem po schodach. Gloria i Dillon, stojąc przy obmurowaniu, obserwowali, jak potem równym krokiem przemierzał pomost, schylając się od czasu do czasu, aby zbadać deski. Gdy powrócił na górę, odetchnął głęboko.

– Nic ciekawego – wydyszał. Oparł się o mur i spojrzał w dół, na plażę. – Całkiem spora wspinaczka – zauważył.

Gloria patrzyła na niego ciekawie, myśląc o słabym sercu Lloyda. Kiedy powinna im o tym wspomnieć?

– Owszem – przyznała ostrożnie. – To jedna z przyczyn, dla których myśleliśmy o przeprowadzce. – Przygryzła dolną wargę. Właściwie po co w to brnąć?

– Nie zamierzacie państwo zostać w Lagunie?

– Cóż, teraz już sama nie wiem. Mój mąż stale rozprawia o Hawajach... – No nie, czemu musiała to powiedzieć? – Ale jestem pewna, że to nic takiego, tylko takie sobie fantazje.

– To piękne miejsce... Hawaje – rzekł Friendly z aprobatą. – Czy pani mąż jest dobrym pływakiem?

– Raczej nie. Lloyda nie interesuje pływanie. Jest pasjonatem wędkarstwa. Na okrągło chce złowić jakąś wielką sztukę.

– Sądzę, że kapitan ma coś innego na myśli – wtrącił Dillon nagłaco. – Być może pan Worthington zakotwiczył łódź i poszedł popływać. Było przecież upalne popołudnie.

– To niepodobne do Lloyda. – Zmiana tematu wyraźnie ulżyła Glorii.

– Rzecz jasna, nie wyobrażam sobie, żeby dopłynął do brzegu – dodał Friendly. – To zbyt duża odległość.

Gloria dopiła swojego drinka. I zanim ruszyła z tarasu, odstawiła szklankę z powrotem na stół.

– Czy możemy już wejść do środka? – zapytała.

– Gdzie, mam nadzieję, dostanę szklankę wody? – przypomniał kapitan.

– Ależ, oczywiście. Zaraz ją panu... – urwała, bo Friendly już przekraczał próg kuchni. – Czyste szklanki znajdzie pan nad zlewem – rzuciła za nim.

Gdy Friendly wrócił i zajął miejsce obok Dillona, Gloria zauważyła, że ma co najmniej niewyraźną minę. Ale porucznik uniemożliwił jej dalsze domysły co do tej kwestii.

– Pani Worthington, jestem zmuszony zapytać panią o osoby, które spotykał pani mąż w ciągu ostatnich kilku dni – oświadczył. – Czy mieli państwo jakichś gości?

Gloria sprężyła się wewnętrznie. Nieco zmieniła pozycję na różowym szezlongu.

– Nie, na pewno nie ostatnio – odparła swobodnie.

– A co z dostawcami? – włączył się Friendly.

– Hm... Jest jeden. Mleczarz. Przyjeżdża dwa razy w tygodniu, mimo że nigdy nie zamawiam mleka. Oczywiście śmieciarz też tutaj bywa.

– Kiedy był tu ostatnim razem? – Pytanie kapitana wydawało się całkiem zdawkowe.

– W ostatni czwartek. Przyjeżdża zawsze w czwartki.

– A wizyty sąsiadów? – zapytał Dillon.

Wobec tak otwarcie zadanego pytania, przez głowę Glorii przemknęła istna burza myśli. Czy powinna potwierdzić wizytę Gregga wczorajszego wieczoru, podobnie jak wcześniejsze? Uznała, że wykręcanie się od tego byłoby idiotyczne i co najmniej niebezpieczne.

– Teraz sobie przypominam. *Mieliśmy* gościa wczoraj wieczorem. To Gregg Flanders. Wpada czasami, żeby spotkać się z Lloydem. Zajrzał na chwilę zeszłego wieczoru.

– Gregg Flanders – powtórzył Friendly z namysłem. – Czy mógłbym spytać, gdzie mieszka?

Wskazała ręką przez północne okno.

– Dwa domy dalej. Gości tu całkiem samotnie – jest pisarzem.

Ociosana twarz kapitana zmarszczyła się w zadumie.

– Z tak dobrego punktu obserwacyjnego na szczycie urwiska mógł mieć doskonały widok na łódź pani męża – o ile, oczywiście, był wtedy w domu i akurat patrzył. Warto zapytać. Zajrzymy tam – zdecydował Friendly.

Gloria poczuła, że pali jej się grunt pod nogami.

– Obawiam się, że to na wiele się nie zda – rzuciła pośpiesznie, starając się zapanować nad głosem. – Wczoraj wieczorem powiedział, że wyjeżdża do Meksyku. Planował wyjechać dziś, wcześniej rano.

– Cóż, w takim razie zajrzemy choćby tylko po to, by się upewnić – uznał kapitan.

Wiódł Głorię nieuchronnie do konieczności ujawnienia kolejnej rewelacji. Teraz będzie musiała wytłumaczyć, że Gregg wziął jaguara. Jeżeli tego nie zrobi, zaś policja odkryje to później, co z pewnością nastąpi, jej milczenie na ten temat wzbudzi podejrzenia. Ale jeśli wspomni o tym teraz, postawi sprawę jasno i otwarcie.

– Och, jestem pewna, że już wyjechał – rzuciła od niechcenia. I, jakby to była rzecz najzwyczajniejsza na świecie, dodała: – Wziął jeden z naszych samochodów. Jaguara.

Czarne brwi Dillona uniosły się w zdumieniu. – Chce pani powiedzieć, że *pożyczyliście* mu jaguara?

Gloria postawiła mu pełne wyrzutu spojrzenie, jakby nie rozumiała, że można powątpiewać w taką sąsiedzką wspaniałomyślność.

– To mój mąż wyszedł z taką inicjatywą – zaznaczyła z pochlebnią aprobatą. – Szczerze mówiąc, wprost na to nalegał. Pan Flanders nie ma samochodu, nie jest też zbyt bogaty. Jednak musiał zrobić krótki wypad do Meksyku, żeby zebrać materiały do powieści, którą pisze. Mój mąż chciał oszczędzić mu znacznych wydatków.

Friendly przechylił się w przód. – Mówi pani, że Flanders mieszka dwa domy dalej? A kto mieszka w budynku pośrodku?

– Winifreda Colby. Starsza kobieta. Wdowa.

– Czy zaglądała do państwa ostatnio?

Gloria odetchnęła. Teraz może ich naprowadzić na ślad logicznej przyczyny zniknięcia Lloyda.

– Przyszła tu raz, jakiś czas temu. Nie usłyszała wtedy wyphywającej rankiem motorówki Lloyda i pomyślała, że coś musiało mu się stać. Zaniepokoiła się, jak to dobra sąsiadka.

Friendly bawił się grubym łańcuszkiem od zegarka.

– Czyżby to był powód do niepokoju – że łódź pani męża nie wyphynęła? – zapytał, zamysłony.

Gloria w duchu podziękowała mu, że zadał właściwe pytanie.

– Owszem, to zaniepokoiło Winifredę. Każdego dnia słyszała, jak łódź wyphywa na morze punktualnie o piątej nad ranem. Brak dźwięku motorówki o tej godzinie kompletnie zburzył jej codzienny porządek... – *Teraz!*, błysnęło w myśli Glorii. – Otóż to! Już wiem, co mogło się stać!

Dillon skoczył na równe nogi. – Co? *Co* mogło się stać?

Powoli, jakby będąc w lekkim szoku, Gloria wykrztusiła:

– Musiał znów dostać zawału i wypadł za burtę...

Na te słowa obydwaj mężczyźni spojrzeli na nią z powagą, prosząc wzrokiem o wyjaśnienie. Bezbarwnym głosem opowiedziała im więc o ataku serca, który miał miejsce ponad rok temu.

– Oczywiście, to najbardziej wiarygodne wytłumaczenie – stwierdził Dillon. W jego głosie pobrzmiwało niezadowolenie, był niemal zawiedziony.

Zapadła długa cisza. Friendly wpatrywał się w kwadratowe noski swoich butów, pogrążony w głębokiej zadumie.

– Mówiliśmy o pani Colby – rzekł wreszcie. – Czy widziała się z nią pani ostatnio?

Gloria wyprostowała się, znów odczuwając konieczność, żeby mieć się na baczności.

– Pewnie to dziwne, ale zajrzałam do niej wcześniej, dzisiaj rano. Chciałam ją poprosić o pomoc przy artystycznym pokazie.

– O? A która to była godzina?

– Tak myślę, że około siódmej. My, tutaj, wstajemy bardzo wcześnie.

To wyjście było zbyt dobre, żeby je zmarnować. Teraz mogła ugruntować alibi Gregga.

– Pan Flanders jeszcze nie opuścił domu. Widziałyśmy go przez

okno i słyszałyśmy, jak pisze na maszynie. Pani Colby powiedziała, że stukał tak przez całą noc. – Przerwała na chwilę. Czemu by nie ulepszyć historii? – Pan Flanders mówił nam wczoraj wieczorem, że zamierza pracować w nocy. Powiedział, że chce dopisać tyle stron książki, ile się da, przed wyjazdem do Meksyku.

– Rozumiem. – Friendly rozmyślał przez moment. – Ale przecież to oczywiste, że pani Colby nie mogła skupiać się na Flandersie przez całą noc. Ona chyba też musi spać.

Gloria obrzuciła go urażonym spojrzeniem. – Kapitanie Friendly, zdaje się, że postanowił pan na siłę wmieszać w to moich sąsiadów. Czy próbuje mi pan wmówić, że mój mąż nie mógł mieć ataku serca?

Łagodnie oczy Friendly'ego były pełne zrozumienia.

– Przepraszam, pani Worthington. To pani podała *najbardziej* prawdopodobne wyjaśnienie. – Z widocznym trudem przemógł się, by mówić dalej. – Lecz istnieje też pewne niewielkie prawdopodobieństwo, że jakiś człowiek lub kilku ludzi weszło na pokład, wiedząc, iż pani mąż jest sam. Niewykluczone, że został porwany albo... – Ugryzł się w język i przezornie nie dokończył zdania. – No cóż, nie zbadaliśmy jeszcze samej łodzi – dopiero tam jedziemy. Choć powiedziano mi, że nie ma śladów walki. To mogłoby oznaczać, że pan Worthington znał i darzył zaufaniem tego, kto *przypuszczalnie* wszedł na pokład. Oczywiście to zwykłe domysły. Lecz właśnie dlatego tak interesują mnie pani sąsiedzi czy każdy, z kim miał styczność pani mąż.

Gloria zagryzła wargi. – Ale dlaczego ktoś miałby napadać na Lloyda?

– Jeśli to porwanie – dla okupu. Jeśli nie – to może ten ktoś zrobił to w innym celu. Czy pani mąż miał na pokładzie albo przy sobie coś szczególnie cennego?

Gloria poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. *O mój Boże, pas na pieniądze!* Czy teraz spoczywa wraz z nim na dnie morza? Nic z tych rzeczy, złudne nadzieje. Gregg był zbyt wyrachowany, by na to pozwolić. I zaraz powróciło w jej myślach uparte echo tych słów: *zbyt wyrachowany...*

– Czy *miął* tam coś wartościowego, pani Worthington? – powtórzył Dillon z naciskiem.

Gloria doświadczyła strasznego wrażenia, że pogrąża się coraz bardziej.

– Raczej nie... Nie... jestem pewna, że nie – wyjąkała słabo.

Pas na pieniądze! Był zbyt wypchany banknotami, by Gregg tego nie zauważył. Lecz w swoim liście nie wspomniał o nim nawet słówkiem.

Pas na pieniądze mogła spisać na straty, była o tym święcie przekonana. Zniknął razem z Greggiem i jej pięknym, czarnym jaguarem.

Znów poczuła się nagle beznadziejnie osamotniona – Gloria Worthington teraz przeciw policji...

## 6.

Słońce zachodziło już za horyzont, kiedy dwóch policjantów, pokonawszy odcinek wzdłuż brzegu urwiska, skręciło do domu Winifredy Colby.

Dillon całą drogę narzekał, że tylko marnują swój czas – bo zapewne to najzwyklejszy przypadek utonięcia wskutek nagłego zawału serca. Kapitan Friendly nie zaprzeczył ani słowem. Niewątpliwie porucznik Dillon miał rację. Chociaż wiele szczegółów, które wyłoniły się podczas ich wizyty u pani Worthington, dla Friendly'ego wyglądało dość osobliwie. Jednak nie był jeszcze gotów podzielić się swoimi wnioskami z towarzyszem – nie ułożył jak dotąd klarownej wersji zdarzeń. Ponadto porucznik był zdolny podchwycić od razu pierwszą lepszą hipotezę, gorliwie dążąc do upragnionego awansu.

Pani Colby sprawiała wrażenie bardziej zaciekawionej niż zdziwionej, gdy otworzyła drzwi, a oni się jej przedstawili.

– Ach, oczywiście – porucznik Dillon! – rzekła z ożywieniem. – Słyszałam o panu. Nasz nowy komendant policji!

Friendly zauważył, że Dillon pokraśniał z zadowolenia. Odwrócił głowę i napotkał spojrzenie błyszczących oczu pani Colby, lustrującej go z ciepłym uśmiechem.

– Kapitan Abraham Friendly, dobrze usłyszałam? No cóż, proszę do środka.



Siadając w jednym z miękko wyściełanych, klonowych foteli w nieskazitelnym salonie, Friendly powrócił myślą do swych wcześniejszych rozważań, podczas gdy Dillon wyjaśniał nieobecność łodzi Worthingtona.

– Oj, to doprawdy okropne... – wtrąciła Winifreda Colby, wytrzeszczając oczy jak dziecko, słuchające opowieści o duchach. Bezwiednie poprawiała ręką grzebień, wpięty we włosy. – Bo przecież sama widziałam Lloyda Worthingtona dopiero co dzisiaj rano, jak szedł na przystań, do łodzi. Punktualnie, co do minutki – dokładnie o piątej.

Dillon zapytał, czy nie zauważyła wtedy nic niezwykłego.

– Nic a nic. Ale *mgła* była, że ho, ho. – Winifreda zmarszczyła w zamyśleniu szeroką twarz. – On miał ze sobą jakiś wielki pakunek. Niósł na plecach coś, jakby zwiniętą kołdrę albo wypchany worek. Ale pani Worthington, gdy wpadła dziś rano, powiedziała, że to tylko zapasy prowiantu.

Friendly gwałtownie zamrugał, otrząsając się z zadumy. – Z tego, co wiem, pani sąsiad, pan Flanders, gościł u Worthingtonów wczoraj wieczorem – napomknął.

Winifreda ściągnęła szerokie usta. – Chyba tak. Ja w każdym razie widziałam, jak wcześniej wychodził i poszedł w tym kierunku. Ale wrócił, całkiem niedługo – i stukał na tej maszynie przez całą noc.

– Całą noc? – zapytał Friendly, z premedytacją udając zdumienie.

– Prawdziwe wariactwo, co? Ale wie pan, to przecież pisarz. Siedział tam jeszcze, kiedy poszłam spać. I ciągle pisał na tej maszynie, kiedy się obudziłam.

Uporczywe podejrzenie – z pewnością nieuzasadnione, pomyślał kapitan – kazało mu podążać dalej tym tropem.

– Czy Flanders był tutaj, gdy widziała pani pana Worthingtona, idącego na przystań? – zapytał, czując na sobie osłupiały wzrok Dillona.

– No przecież... Tak, pewnie tak, bo ciągle było u niego zapalone światło. – Przymknęła jedno oko, przytykając palec do kępki czarnych włosów, rosnącej na podbródku. – Zdaje mi się, że jakiś czas po tym, jak pan Worthington wyszedł, zauważyłam, że stukanie ucichło. Pomyślałam sobie wtedy, że pan Flanders rozmyśla.

A jeśli nie? Kapitan Friendly uznał, że chyba ma za sobą zbyt wiele różnych dochodzeń i dlatego wietrzy intrygę na podstawie faktów, które

w rzeczywistości wcale nie miały miejsca. Lecz fascynacja tym tropem owładnęła nim bez reszty.

– Jak długo... Jak długo trwał ten okres ciszy? – zapytał.

– Och, sama nie wiem. Może nawet godzinę, a może mniej. Naprawdę nie zwracałam na to aż takiej uwagi. – Przymrużyła swoje wścibskie oczka. – Nie sądzi pan chyba, że Gregg Flanders ma z tym coś wspólnego, co?

Zapadła niezręczna cisza. Friendly zerknął niepewnie na Dillona, który odpowiedział mu pełnym irytacji spojrzeniem, jakby pytał: „Nie mógłbyś czasem ugryźć się w język?”.

– Jeszcze nic nie sądzimy, proszę pani – odparły Friendly niemal pokornie.

Dillon zabrał szybko głos, biorąc resztę na siebie. Poufale przechylił się w stronę gospodyni.

– Czy według pani pan Worthington i pan Flanders byli dobrymi przyjaciółmi?

Friendly odniósł wrażenie, że porucznik zachowuje się teraz jak obrońca.

– Według mnie tak – odparła Winifreda Colby bez wahania. – Prawdę mówiąc, myślę, że jednego razu to pan Flanders ocalił życie panu Worthingtonowi.

– Jeśli tak – to czy mogłaby nam pani o tym opowiedzieć? – spytał Dillon, okazując głębokie zainteresowanie. Friendly dostrzegł triumfalny błysk w oku porucznika.

Niepokojący wypadek miał miejsce mniej więcej miesiąc temu, o zmierzchu. Winifreda Colby stała akurat na skraju urwiska, całkiem blisko posiadłości Worthingtonów, skąd mogła dostrzec ich na tarasie w towarzystwie Gregga Flandersa.

– Widziałam pana Worthingtona, rozciągniętego w fotelu. Głowa opadła mu na jedno ramię. Pan Flanders wziął go na ręce i zaniósł do jego pokoju.

Kapitan Friendly zauważył jedynie cień pobłażliwego rozbawienia w pewnym sobie uśmiechu Rodneya Dillona. Wtedy nagle włączył się do rozmowy.

– Powiedziała pani jego pokoju? – spytał trzeźwo, kierując wzrok na panią Colby.

– Owszem. – Pobłaźliwie wzruszyła ramionami. – Hm... Każde z nich ma tam własny pokój.

– Skąd pani może o tym wiedzieć? – Friendly przeczuwał, że Dillon zaczyna się nerwowo wiercić w fotelu.

– Och, pani Worthington sama wspomniała o tym kiedyś, przy okazji. Tak, czy owak, pan Flanders musiał mu wtedy zrobić sztuczne oddychanie, czy coś. W każdym razie wiem, że nie wezwali doktora.

– To też pani opowiedziała pani Worthington?

– Nie. Ale nie słyszałam następnego ranka wypływającej łodzi i się zaniepokoiłam. Więc wyszłam i zapytałam panią Worthington, czy jej mąż nie zachorował. Nie wspomniałam jej nic o tym, co widziałam poprzedniego wieczora – nie chciałam, żeby uznali mnie za starą podglądaczkę. Pani Worthington powiedziała, że mąż nie był poważnie chory, tylko złapał jakiegoś wirusa. – Pani Colby konfidencjonalnie ściszyła głos: – Byłam pewna, że miał następny zawał...

– Czyli dokładnie to samo, co musiało go spotkać na łodzi – wtrącił Dillon, wyraźnie znużonym tonem.

Friendly nie zwrócił na to uwagi.

– A skąd pani wiedziała, że miał już wcześniej jeden zawał? – zapytał, starając się nie okazywać nadmiernej ciekawości.

Okazało się, że pani Colby widziała Lloyda Worthingtona, wychodzącego z gabinetu doktora Fowlera – jej osobistego lekarza – wiele razy.

– Jednak nie ostatnio – zaznaczyła. – Było to wcześniej, zaraz kiedy osiedli tu na stałe. Wiedziałam, że pan Worthington nieoczekiwanie przeszedł na emeryturę, a wyglądał bardzo mizernie i blade, więc pomyślałam, że pewnie miał atak serca. Właśnie na to umarł mój mąż.

Abe Friendly spojrział pytająco na Dillona, żeby się upewnić, czy nie ma więcej pytań. Porucznik energicznie potrząsnął głową, z utęsknieniem czekając na koniec tej rozmowy, którą uważał za zwykłą stratę czasu. Zatem wstali, pożegnali się – Friendly zrobił lekki, kurtuazyjny ukłon – i wyszli.

Maszerując z powrotem do radiowozu Dillona, wciąż zaparkowanego na podjeździe Worthingtonów, porucznik pokusił się o żartobliwą uwagę.

– Ależ ty jesteś podejrzliwy, Abe! Stary, tak stawać na głowie, żeby tylko przyczepić się do tego nieszczęsnego Flandersa!

– Serio? Cóż, może to moja choroba zawodowa – odparł niewinnie Friendly.

– Urlop robi z ciebie marzyciela – podsumował Dillon protekcjonalnie.

Na posterunku Straży Przybrzeżnej zauważyli białą motorówkę Worthingtonów, przycumowaną w jaskrawym świetle reflektorów. Wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna w uniformie khaki sprawdził przepustki policjantów i oświadczył, że jest upoważniony do wprowadzenia ich na pokład.

– Wszystko już sprawdziliśmy – dodał. – Nic podejrzanego. – Jego ton sugerował, że mogą spodziewać się identycznego rezultatu.

Dillon i Friendly przeprowadzili pobieżną inspekcję niewielkiego pokładu, po czym zeszli na dół, do kabiny. Dokładnie zbadali małe aneks kuchenny; stół i przystosowane do niego ławy (mogące, w razie czego, spełniać rolę łóżek), wąską, pionową garderobę, dwie ukośnie opuszczane koje i schowek na liny. Wszystko wyglądało bardzo schludnie. Friendly otworzył barek, gdzie znalazł pół butelki whisky – nic nadzwyczajnego na łodzi. W kącie pomieszczenia stał masywny, czarny sejf. Jego drzwi były lekko uchylone, więc Dillon otworzył je szerzej. Sejf był pusty.

– Wygląda, jakby nikt nigdy go nie używał – orzekł. – Worthington utrzymywał to wszystko w idealnym porządku.

– Nawet zbyt idealnym, jak na mój gust – mruknął Friendly.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie wydaje mi się, żeby Lloyd Worthington w ogóle dzisiaj wędkował. – Kapitan wskazał na mocną wędkę, spoczywającą na dwóch wspornikach, zamocowanych w ścianie kadłuba. – Nie znalazłem też ani śladu przynęty. Może przeoczyliśmy ją na górnym pokładzie?

Wyszli po trzech schodkach z powrotem na górę i ponownie zrobili obchód, tym razem sprawdzając wszystko z drobiazgową dokładnością.

– U mnie nic! – zawołał Dillon od strony rufy.

Friendly przyklęknął na dziobie, badając niski, biały reling.

– Znalazłeś coś?! – krzyknął znów porucznik, idąc drobnymi krokami w jego stronę po wąskim pokładzie.

Friendly potwierdził lekkim skinieniem głowy. Pomimo silnego blasku reflektorów, wyciągnął latarkę wielkości ołówka z kieszeni kamizelki i skierował ją na barierkę. Ciemna plama, nie większa od dziesięciocentówki, zaślniła w promieniu światła.

– Krew – rzekł kapitan półgłosem.

Wyjął z portfela wizytówkę i nabrał nią odrobinę lepkiej substancji. Wstając, podał kartonik Dillonowi, plama krwi odbijała się czerwienią na białym tle.

– Zapewne będziesz chciał to zbadać – dodał Friendly. – Podejrzewam, że to wszystko, co możemy tutaj znaleźć. Z pewnością chciałbyś także sprawdzić łódź pod kątem pozostawionych odcisków palców. Proponuję jednak, żebyśmy wrócili na posterunek i na dzisiaj dali sobie z tym spokój.

Siedząc już za kierownicą policyjnego samochodu, Dillon oznajmił: – Mnie to tylko potwierdza teorię o ataku serca.

– Masz na myśli krew?

– A cóż by innego? Najwyraźniej Worthington dopłynął za Point, zakotwiczył łódź i – *zanim* zaczął wędkować – dostał zawału. Upadł, rąbnął głową o reling i wypadł za burtę. – Dillon spojrzał posepnie na kolegę. – Zwykły wypadek, co?

– Brzmi to sensownie. – Friendly przesunął dłonią po białych, krótko ostrzyżonych włosach. – Ale – powiedzmy, że w ramach ćwiczeń – spróbujmy zbudować inny obraz sytuacji. Taką syntezę tych wszystkich interesujących elementów, które dane nam było dzisiaj poznać.

Dillon skupił zamyślony wzrok na drodze przed sobą, podczas gdy kapitan Friendly pokrótce nakreślił wizję, która ukształtowała się w jego umyśle.

Chodziło w niej o kobietę, która poślubiła mężczyznę ponad dwadzieścia lat starszego od siebie. Zajmują oddzielne pokoje – znak, że już nie łączy ich głębsza, intymna więź. Mimo że mąż doznał poważnego ataku serca, nadal mieszkają w domu, gdzie wejście na piętro wymaga od

niego pokonania dwóch kondygnacji schodów. Która *oddana* żona mogłaby na to zezwolić?

– A być może istnieje coś jeszcze, kto wie, czy nie bardziej groźnego dla zdrowia jej męża – podkreślił Friendly takim tonem, że Dillon na mgnienie oka zerknął w jego stronę. – Sądząc po dowodach, całkiem możliwe, że ten człowiek niezwykle dużo pije – jest alkoholikiem. – Porucznik drgnął i samochód lekko zboczył za białą linię. – Za koszem na śmieci stały puste butelki – kontynuował kapitan. – Zauważyłem je przez okno na tyłach kuchni, gdy poszedłem po szklankę wody. Było ich siedem – prawie litrowych. Śmieciarz był w zeszłym tygodniu, w czwartek. Dziś mamy poniedziałek. Czyli siedem litrów whisky w ciągu czterech dni!

Dillon wcisnął hamulec na widok czerwonego światła, podczas gdy Friendly mówił dalej:

– Możemy również przyjąć, że to *pani* Worthington wlewa w siebie takie ilości whisky. Ale rozważmy teraz to, co usłyszeliśmy od pani Colby. Dostrzegła kiedyś nieprzypadkowego Lloyda Worthingtona na tarasie, widziała też Flandersa, wnoszącego go do domu. Nie wezwano doktora. Czy Worthington „złapał wirusa”, jak mówiła jego żona? Czy też był pijany w trupa?

Dillon wykrzywił usta w drapieżnym, prawie wilczym uśmiechu.

– Abe... zdaje mi się, że wreszcie coś mamy.

– Nie tak prędko, Rod. – Friendly ostudził jego zapał. – Pamiętaj, że to tylko ćwiczenie. – Potarł dłonią mocno zarysowany podbródek, analizując swoje poprzednie słowa. – Wszystko, co powiedziałem, można interpretować w zupełnie odmienny sposób. Może to *pani* Worthington zaproponowała oddzielne pokoje, żeby mąż mógł wypoczywać w spokoju – w trosce o jego zdrowie. A co do schodów – powiedzmy, że po tym, jak dostał zawału, próbowała namówić go, żeby opuścili ten dom. Przecież wspomniała, że chcą się przeprowadzić, jak sam słyszałeś.

– A to całe pijaństwo?

– Te wszystkie butelki mogły nagromadzić się w kuchni przez wiele tygodni, a ona jedynie pobierała je i wystawiła na zewnątrz.

Porucznik nie wydawał się przekonany. – A zamroczenie Worthingtona na tarasie w obecności Flandersa?

– Niewykluczone, że stało się tak, jak mówiła, czyli złapał jakiegoś wirusa.

Zapadło chwilowe milczenie. Dillon uparcie zagryzał wargi.

– Wolę twoją pierwszą wersję, Abe – stwierdził. – Według mnie świetnie się składa, że Worthington jest moczymordą – ciągnął dalej, jakby na wpeł do siebie, podkreślając każde słowo. – Zwłaszcza dla jego żony i Flandersa, którzy upijają go, żeby móc się ze sobą zabawiać. – Walnął pięścią w kierownicę. – To bardzo na rękę Greggowi Flandersowi i Glorii Worthington uwolnić się od starego i żyć sobie szczęśliwie dalej, siedząc na jego forsie!

Krzaczaste brwi kapitana zbiegły się w rozterce. – Lecz jeśli Flanders faktycznie *jest* w to zamieszany, po co odjechał ich jaguarem? Przecież to jak przyznanie się do winy.

– Mógł po prostu wpaść w panikę – oświadczył Dillon.

Widząc błysk żarliwości w oczach porucznika, Friendly westchnął. Dillon bez wątpienia najbardziej przypominał myśliwych, którym jest wszystko jedno, jak wytropią i osaczają ofiarę, byle tylko ją dopaść i zabić. Kapitan był jego zupełnym przeciwieństwem: fascynował go sam pościg i w momencie schwywania ofiary polowanie traciło dla niego cały urok.

– Zdaje się, że sam sobie przeczysz, Rod – rzucił półgłosem. – Jeszcze niedawno twierdziłeś, że posądzeniami krzywdzimy Gregga Flandersa.

– Teraz już nie – uciął Dillon.

Podjechali do kwadratowego, ceglanego posterunku. Porucznik nie ruszył się, by wysiąść. Odwrócił się do kapitana.

– Bez dwóch zdań. Musimy odnaleźć Flandersa i go przesłuchać. Roześlę za nim list gończy.

– Całkiem możliwe, że jest niewinny – zauważył Abe Friendly. – Pamiętaj, to *ty* powiedziałeś o mnie, że jestem marzycielem.

## 7.

**G**loria Worthington przebudziła się we wtorek rano rozdygotana, jakby wciąż miała kompletnie zszargane nerwy. Lecz gorące igiełki natrysku odprężyły napięte mięśnie jej karku i już po chwili, zakładając podomkę

w kolorze limonki i jasnożółte klapki, poczuła, jak całe przygniatające ją brzemie trwogi znika bez śladu. Jednak nadal miała przed oczami, jakby śniła na jawie, tę wyrazistą twarz kapitana Friendly, patrzącą na nią dobrotnie podczas przesłuchania. Na ile poważnie traktował on swoje własne hipotezy na temat porwania, sugerujące nawet morderstwo? Prawdopodobnie podpowiadała mu to tylko intuicja, odruch, wyrobiony przez lata pościgów za zbrodniarzami. *Zbrodnierzami...* To słowo budziło w niej złe przeczucia.

W kuchni, napełniając wodą imbryk do kawy, Gloria starała się odciążyć swój umysł, obserwując krystaliczne lśnienie porannego słońca na rozmigotanych falach oceanu. Przesuwając wzrok bliżej, zatrzymała niewidzące spojrzenie na kilku błyszczących przedmiotach, ustawionych w szeregu pod płótem. Nagle zadrżała, a imbryk przewrócił się i stuknął o dno zlewu.

A więc to zobaczył Friendly przez okno, kiedy wszedł do kuchni po szklankę wody – siedem pustych butelek po whisky! To dlatego zapytał, kiedy ostatnio był tu śmieciarz i czy może niedawno przyjmowali goście!

Friendly'emu te siedem butelek musiało natychmiast nasunąć jedną myśl: Worthingtonowie są parą pijaków. Albo przynajmniej jedno z nich jest alkoholikiem. Które? – musiał się zastanowić. Deliberując nad sytuacją Lloyda, musiał prędkiej czy później złożyć wszystkie okoliczności w logiczną całość. A zatem – oto mężczyzna, o wiele starszy od swej pięknej żony. Niedawno miał zawał serca i przez to alkoholowe ekscesy mogą skończyć się dla niego tragicznie. Do tego często przychodzi w odwiedzinny młody i przystojny sąsiad. I ten sam sąsiad pożycza (kradnie?) luksusowy wóz pana domu, żeby wyjechać do Meksyku akurat tego samego dnia, kiedy Lloyd Worthington znika.

*Słodki Jezu!*

Gloria, pochylona nad zlewem, postawiła imbryk, puściła wodę i parzyła tępo na naczynie, póki nie wypełniło się po brzegi. Z wolna trwoga w jej sercu ucichła. W końcu nawet jeśli Friendly powiązał fakty i wpadł na właściwy trop, dla niego kończy się on jedynie w sferze domysłów. Nie ma żadnych dowodów. A ona i Gregg mają po swojej stronie Wini-fredę Colby. Czyż sąsiadka nie widziała i nie słyszała Gregga, pracującego przez całą noc? Czy nie zauważyła Lloyda (albo chociaż tak jej się



zdawało), wychodzącego z domu punktualnie o piątej rano, jak zwykle? Gloria usłyszała to osobiście z ust samej Winifredy i niewątpliwie dokładnie to samo usłyszeli policjanci, przeprowadzając wywiad.

Tak, wciąż jeszcze byli bezpieczni. Gdyby tylko Gregg wykazał na tyle zdrowego rozsądku, żeby pozostać w domu, przynajmniej przez resztę dnia! Wtedy prawie nie byłoby podstaw do jakichkolwiek podejrzeń.

Pierwsza przerażająca myśl, która nasunęła się Glorii – że Gregg przywłaszczył sobie pas z pieniędzmi i jaguara – spętała jej umysł jak drut kolczasty na całą, długą noc. Lecz teraz, gdy słoneczne promienie rozpędzwały ostatnie pasma mgły, tak marny obiekt pożądania dla Gregga wydał się jej wręcz żenujący na tle ich właściwego celu. Bądź co bądź, chodziło przecież o *cały* majątek Lloyda, a nie żalostną namiastkę, ukrytą w pasie na jego brzuchu. I przecież Gregg pragnął *Glorii!* Musiała w to wierzyć. W tej chwili była pewna, że jej kochanek użyłby pieniędzy z pasa Lloyda wyłącznie na swoje niezbędne potrzeby.

Ile mógł tam znaleźć? Co najmniej kilkaset dolarów. A może kilka tysięcy. Lloyd wspominał, że lepiej mieć wystarczająco dużo gotówki pod ręką na wypadek szybkiej transakcji, jeśli trafi mu się korzystna oferta na Hawajach. „Wystarczająco dużo” – to znaczy ile? No tak, jasne! Powinna tylko zadzwonić do banku.

Kobieta, która odebrała połączenie, odpowiedziała bezbarwnym tonem, jak nagrana pogodynka:

– Przepraszamy, lecz bank nie jest upoważniony do udzielania informacji, dotyczących podejmowania gotówki z konta przez swoich klientów.

– Ależ ja jestem *panią* Worthington. *Żoną* Lloyda Worthingtona.

Znów przeprosiny. Być może, gdyby zechciała przyjść osobiście i przeprowadzić rozmowę z wyższym urzędnikiem...

– Być może właśnie tak zrobię! – Gloria rzuciła słuchawkę.

Jej fatalny nastrój nie minął nawet po drugiej filiżance kawy. Nagle spojrzała na zegarek i zerwała się z cichym okrzykiem. Zbiegła na sam dół podjazdu, żeby odebrać pocztę. Z tuzina kopert, zawierających głównie rachunki, szybko wybrała jedną jedyną, która przyprawiła ją o dreszcz

radości. List został nadany w San Diego, a takich kopert zawsze używał Gregg. Gloria poczuła przyływ ulgi – znowu miała go jakby blisko siebie.

Wpadając z powrotem do domu, usadowiła się w rogu sofy w salonie, zapaliła papierosa i rozerwała kopertę.

NAJDROŻSZA GLORIO:

MÓJ BOŻE! ZAPOMNIAŁEM POWIEDZIEĆ CI O PASIE NA PIENIĄDZE! NIECH LEŻY W BEZPIECZNYM MIEJSCU, DOPÓKI NIE WRÓCĘ – ZA KILKA DNI...

Ręka Glorii drgnęła, mimowolnie mnąc kartkę papieru. A gdyby policja przechwyciła list?! Jak Gregg mógł być tak nieostrożny! A może doszedł do wniosku, że kontakt telefoniczny jest jeszcze bardziej ryzykowny? Czytała dalej.

JAK CI MÓWIŁEM, WSZYSTKO POSZŁO TAK, JAK POWINNO. Z WYJĄTKIEM TEGO, ŻE OCKNAŁ SIĘ NA POKŁADZIE I ZDZIELIŁ MNIE W NOS. ALE TO WSZYSTKO, NA CO BYŁO GO STAĆ.

MYŚLĘ, ŻE W CHWILI, GDY TO CZYTASZ, STRÓŻE PRAWA JUŻ BĘDĄ NA MIEJSCU. MUSIAŁEM ZARYZYKOWAĆ I WYSLAĆ TEN LIST – NIE CHCIAŁEM, ŻEBYŚ SIĘ ZAMARTWIAŁA O PIENIĄDZE.

ODPOWIEDZ ZARAZ I NAPISZ MI, CO SIĘ DZIEJE. WSZYSTKO. NADAJ LIST NA ADRES MOJEJ SKRYTKI NA POCZCIE GŁÓWNEJ W SAN DIEGO.

KOCHAM CIĘ  
G.

Nieoczekiwanie – pomimo straszliwej nocy, spędzonej sam na sam z nieprzytomnym Lloydem, pomimo możliwych podejrzeń Abe'a Friendly'ego i mimo że Gregg wyjechał akurat wtedy, gdy potrzebowała go najbardziej – wszystko stało się jasne jak słońce. Przede wszystkim Gregg nie sprzedał jej za wypchany pieniędzmi pas ani za luksusowy samochód. *I kochał ją!*

Z dumnie uniesioną głową wkroczyła na taras, unikając odpowiedzi na pytanie, dlaczego jej ukochany uznał za konieczne trzymać się z dala tak długo. Wołała hołubić myśl, że pewnie wróci już wkrótce do domu. Że jakoś razem przebrną przez ten koszmar i nie będą musieli lękać się i kryć ze swoją miłością.

Powróciła do salonu, usiadła przy niewielkim biurku pod ścianą i natychmiast zabrała się do pisania.

UKOCHANY, NAJDROŻSZY GREGGU!

CO ZA ULGA I RADOŚĆ, ŻE WRESZCIE SIĘ ODEZWAŁEŚ! KOCHAM CIĘ, KOCHAM CIĘ, KOCHAM CIĘ!

*FAKTYCZNIE*, MIAŁAM WĄTPLIWOŚCI CO DO TWOJEGO ODJAZDU JAGUAREM. *FAKTYCZNIE*, MIAŁAM WĄTPLIWOŚCI CO DO PASA NA PIENIĄDZE. ALE NIGDY NIE MIAŁAM WĄTPLIWOŚCI CO DO *CIEBIE*. KOCHANIE, POWIERZYŁABYM CI SWOJE ŻYCIE!

A TERAZ CZAS NA KRWAWE DETALE (OCH, GREGG – JESTEM ZBYT PODNIECONA I SZCZĘŚLIWA, ŻEBY PISAĆ O TYM ZE SMUTKIEM). W KAŻDYM RAZIE STRAŻ PRZYBRZEŻNA ZNALAZŁA ŁÓDŻ, A PORUCZNIK MIEJSCOWEJ POLICJI, DILLON, BYŁ TUTAJ WCZORAJ WIECZOREM. PRZYCIĄGNAŁ ZE SOBĄ KOLEGĘ PO FACHU Z SAN FRANCISCO – JAKIEGOŚ TAM KAPITANA ABRAHAMA FRIENDLY'EGO.

I WŁAŚNIE ON – NIE BĘDĘ WCHODZIĆ W SZCZEGÓŁY – JAKOŚ ZWĘSZYŁ, ŻE COŚ JEST NIE TAK I MOŻE KTOŚ MACZAŁ W TYM PALCE. ALE NIE MA SIĘ NA CZYM OPRZEĆ, NIE LICZĄC KILKU NAWET TRAFNYCH DOMYSŁÓW. NIC SIĘ NIE MARTW. NAWET JEŚLI NAS PODEJRZEWA, NIE MAM POJĘCIA, JAK MÓGŁBY TEGO DOWIEŚĆ. ROZMAWIAŁ Z WINIFREDĄ COLBY – I JA RÓWNIEŻ, I SAMA WIDZIAŁAM CIĘ WTEDY RANO W TWOIM MIESZKANIU – I ONA DAŁA CI WSPANIAŁE ALIBI. BO WIDZIAŁA CIĘ I SŁYSZAŁA, JAK PISZESZ PRZEZ *CAŁĄ NOC*! OCZYWIŚCIE FRIENDLY PODKREŚLIŁ, ŻE CZAS JAKIŚ SPAŁA, ALE ŻADNA ŁAWA PRZYSIĘGŁYCH NIE ZWRÓCIŁABY NA TO WIĘKSZEJ UWAGI. OPowiedziałam im o ZAWALE LLOYDA I JESTEM PEWNA, ŻE BĘDĄ SKŁONNI UZNAĆ TO ZA PRZYCZYNĘ WYPADKU.

ALIBI, CO DO JAGUARA, RÓWNIEŻ JEST W PORZĄDKU. POWIEDZIAŁAM POLICJANTOM, ŻE OBOJE – JA I LLOYD – NALEGALIŚMY, ŻEBYŚ GO POŻYCZYŁ. TYLKO WRACAJ SZYBKO. SZALEJĘ BEZ CIEBIE. I NIE MOGĘ SIĘ DOCZekać, KIEDY POSZALEJĘ RAZEM Z TOBĄ!

KOCHAM, KOCHAM, KOCHAM!

GLORIA

Przeczytała swój list i poczuła narastający niepokój, że powierza tak wiele zwykłej kartce papieru. Gdyby tylko wiedziała, gdzie Gregg się

zatrzymał, zadzwoniłaby do niego z publicznego automatu, bez obawy wykrzyčia. Ale skoro nie może, opisała mu to. Gregg musiał znać sytuację. Gloria zaadresowała kopertę na adres jego skrytki w San Diego. Na szczęście znalazła znaczek w portmonetce. List powinien dotrzeć na miejsce tego popołudnia albo następnego dnia wcześniej rano.

Jeszcze raz odczytała list Gregga i poczuła się solidnie podniesiona na duchu. Po czym spaliła jego kartkę w kominku.

Była już przy drzwiach, zamierzając wrzucić list do własnej skrzynki pocztowej, żeby go zabrał listonosz, gdy zdała sobie sprawę, jakie to ryzyko – Dillon lub Friendly mogliby tam zajrzeć i wziąć, co trzeba, gdyby przechodzili. Najwyraźniej podniecenie odebrało jej resztkę zdrowego rozsądku. To oczywiste, że powinna nadać list z centrum miasteczka. Gdy tam będzie, może zajrzeć przy okazji do banku i dowiedzieć się, jaką sumę Lloyd pobrał z konta. Gregg zapomniał wspomnieć, ile gotówki było w pasie na pieniądze.

Wyjeżdżając starym austinem-healy, Gloria poczuła ukłucie żalu – tak naprawdę powinna pędzić teraz jaguarem X-KE. Zaparkowała w śródmieściu, wrzuciła kopertę do skrzynki pocztowej przy drzwiach banku i weszła do środka. Strażnik zaprowadził ją do urzędnika, siedzącego przy jednym ze stanowisk, odgradzonych od reszty sali barierką z polerowanego drewna.

Pan Arnold Sievers, zastępca wicedyrektora, był drobnym mężczyzną w okularach, miał okrągłą głowę z łysinką i niewielki, przystrzyżony wąsik. Gdy strażnik przedstawił Glorię, Sievers nie raczył wstać, lustrując ją tylko spoza szkieł okularów. Ruchem głowy wskazał jej lśniące, drewniane krzesło po przeciwnej stronie biurka.

– Mam nadzieję, że zna pan mojego męża, Lloydę Worthingtona – zaczęła Gloria bez namysłu. – Chciałabym sprawdzić stan jego konta i aktualne saldo.

Sievers odłożył pióro, którego używał akurat do wypełniania formularzy. – Rozumiem. Czy konto jest również na panią?

– Nie. Na mojego męża.

Sievers wyjada policzki, podkreślając, że ten stan rzeczy ma decydujące znaczenie. – Rozumiem. Nie jesteśmy upoważnieni do przekazywania takich informacji nikomu, z wyjątkiem osoby, której dane figurują w naszej bankowej ewidencji.

– Zdaję sobie z tego sprawę – rzekła bezradnie Gloria łamiącym się głosem. – Lecz coś okropnego przytrafiło się mojemu mężowi... na jego łodzi. Zaginął. Będą zaraz o tym pisać we wszystkich gazetach. I właśnie teraz najważniejsze jest, żeby się dowiedzieć, czy miał przy sobie dużo pieniędzy.

Urzędnik spojrzął gdzieś ponad jej głową. – Rozumiem – powtórzył zdawkowo.

Gloria wyprostowała się z wyższością. – Nie wydaje mi się, żeby pan rozumiał, panie... Jak pańska godność?

Wskazał palcem stojącą na biurku, brązową tabliczkę z wygrawerowanym imieniem i nazwiskiem.

– Sievers. Arnold Sievers – burknął.

Gloria zmiażdżyła go wzrokiem, jak robaka.

– Zatem, panie Sievers... – wycedziła zimno. – Chcemy się dowiedzieć, czy mój mąż został obrabowany. I jeśli nadal będzie pan odmawiał współpracy, porozmawiam z...

Sievers zmytygował się. – Ależ nie, to nie będzie konieczne, pani Worthington. W takich okolicznościach, myślę, że możemy zrobić wyjątek. Wiem, kim pani jest, w rzeczy samej. – Zerwał się z miejsca. – Zaraz odszukamy ostatni wyciąg z konta.

Gdy poczłapał na koniec sali, do kartoteki, na którą składał się ciąg metalowych szafek, Gloria popadła w krótką zadumę. Ostatni wyciąg. Ile gotówki mógł podjąć? Tysiąc dolarów? Pięć tysięcy? Skrzywiła się.

Arnold Sievers już wracał, powiewając w powietrzu sporym arkuszem papieru.

– No, już go mamy! – Usiadł i natychmiast wbił wzrok w kartkę. – Tak... No tak... To aktualny wyciąg – mruzczał, pełnym zdumienia głosem.

– Ile pobrano? – spytała krótko.

Okulary Sieversa błysnęły w kierunku Glorii. – Siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów.

– *Chryste, nie!*

– Hm, proszę wybaczyć, dokładnie taka jest kwota – oświadczył pedantycznie.

Ciało Glorii wibrowało od wewnętrznego krzyku. Kurczowo zacisnęła śliskie od potu dłonie na gładkich poręczach drewnianego krzesła.

– Wobec tego jakie jest teraz saldo? – wykrztusiła zdławionym głosem.

Chwileczkę. – Pod szczeniastym wąsikiem przemknął nikły uśmiešek. – Dokładnie osiem dolarów i czterdzieści centów.

Gloria bez słowa wstała, obróciła się na pięcie i wymaszerowała z banku.

Ruszyła na oślep przed siebie po zatłoczonej ulicy, dwukrotnie wpadając na przechodniów, choć ledwie zdając sobie z tego sprawę. Jedna jedyna myśl drażyła jej oszołomiony umysł: Lloyd zawsze mówił, że lubi trzymać co najmniej połowę swojego majątku w gotówce. A siedemdziesiąt pięć tysięcy to mniej więcej tyle. Zatem była jeszcze równie spora reszta. Gdzie? Być może zdeponował ją w drugim banku, tym, o którym sądziła, że prowadzi wyłącznie rozliczenia czekowe.

Poszła tam i sztywno zajęła miejsce naprzeciw osobnika o czerwonej twarzy, kędzierzawych, siwiejących włosach, rozdzielonych pośrodku przedziałkiem. Pan ten miał nieodłączny, szeroki uśmiech akwizytora. Przedstawił się jako George Malone i udzielił jedynie zwykłego, grzecznego przypomnienia o bankowej dyskrecji.

– Nie jesteśmy upoważnieni do przekazywania postronnym informacji o operacjach bankowych – oznajmił oficjalnym tonem, po czym mruknął porozumiewawczo i dodał konspiracyjnym szeptem: – Lecz w pani wypadku, pani Worthington, jak najbardziej...

Gdy podrygując energicznie, wrócił z kartoteki, Gloria rzuciła tylko: – Ile pobrano?

George Malone rzucił okiem na kwotę, próbując nie okazać, że zrobiło to na nim wrażenie.

– Sześćdziesiąt pięć tysięcy – oznajmił uroczyście.

Gloria poczuła się nagle jak przekłuty balon. Chwycił ją atak gwałtownego, szarpiącego w gardle kaszlu.

– Czy przypadkiem wie pan może, w jakich nominałach wypłacono tę kwotę? – wydukała z trudem, przykładając zmiętą chusteczkę do ust.

– Ależ tak, tak się złożyło, że własnoręcznie przeprowadzałem transakcję. Pani mąż zostawił już wcześniej takie zalecenie w tej kwestii. – Uśmiechnął się z podziwem. – Wszystko w banknotach tysiącdolarowych.

*Boże! Taki elegancki, mały plik!*

– A jakie jest obecne saldo? – zapytała bez tchu.

– Jedenaście dolarów, sześćdziesiąt centów. – Zrobił figlarną minę. –  
A więc jak pani widzi, coś tam zostało.

Gloria zerwała się z miejsca i ruszyła chwiejnie do wyjścia.

*Lloyd! Ty głupi sukinsynu!*

## 8.

**J**echała do domu, zgięta w pół nad kierownicą, kurcząc się w sobie pod olbrzymią falą paniki, wzbierającą w jej wnętrzu. W myślach odbijało się echem budzące trwogę pytanie: Jak Lloyd mógł postąpić aż tak idiotycznie, żeby podjąć całą swoją gotówkę z depozytu banku i zapiąć sobie w pasie na brzuchu? Przecież nie z powodu przeprowadzki na Hawaje – Lloyd mógłby pokryć wszystkie koszty, nie dotykając palcem choćby centa. Czyżby dlatego, że uwielbiał uczucie posiadania dużych pieniędzy w zasięgu ręki? Bzdura! Więc dlaczego, *dlaczego?* Nie istniało żadne racjonalne wytłumaczenie. Za to było jedno irracjonalne – być może Lloyd oszalał.

Gloria skoncentrowała się na liczbach. Sześćdziesiąt pięć tysięcy i siedemdziesiąt pięć dawało sto czterdzieści tysięcy – tyle dla Lloyd’a. Osiem dolarów, czterdzieści centów, plus jedenaście dolarów, sześćdziesiąt centów to równo dwadzieścia dolarów – to dla niej. *Dwadzieścia dolarów!* Wydawało się, że te liczby mają jakieś ukryte znaczenie.

Fala paniki dopadła ją w chwili, gdy przekroczyła frontowe drzwi. Kiedy stanęła na środku salonu, spazmatycznie chwytając oddech, nogi ugięły się pod nią, a całe ciało zaczęło mimowolnie dygotać. Rzuciła się na sofę, waląc pięściami w poduszki i wydając rozdzierające, gardłowe piski, jak zwierzę, konające w stalowych siódlach.

Wreszcie nieartykułowane dźwięki przerodziły się w słowa: „Niech go szlag, niech go szlag, niech go szlag!”

Gloria powtórzyła to co najmniej dziesięć razy, zanim zdała sobie sprawę, że to nie swojego męża tak przeklina. Przeklinała Gregga.

Świadomość tego natychmiast uśmierzyła furię. Usiadła, a w jej duszy wciąż szalała wściekłość, ale teraz zimna i kontrolowana. Nie minęło jeszcze południe, ale weszła do kuchni i nałała sobie mocnego drinka.

Siedząc przy stole, paląc papierosa i sącząc bourbona, starała się przeanalizować wszystko na spokojnie.

Kwota pobrana w pierwszym banku również musiała zostać wypłacona w tysiąc dolarowych banknotach. Czyli sto czterdzieści szeleszczących, nowiutkich papierków. W tym co najmniej czterdzieści tysięcy dolarów, o których Lloyd nigdy jej nawet nie wspomniał. To o wiele więcej, niż mogłyby wynosić bankowe odsetki. Ale jakie to ma teraz znaczenie? Ważne tylko, że sto czterdzieści banknotów zmieściło się z łatwością w przepastnym pasie na pieniądze Lloyda. Tylko że teraz był to pas Gregga – i pieniądze Gregga. Ogrom tej sumy oszołomił ją – a co dopiero mówić o młodym Flandersie?

A może wiedział o tym od dawna? Musiała się z tym pogodzić. Nigdy nie zobaczy tych pieniędzy. Ani jaguara. Ani Gregga. Była wobec niego podejrzliwa już wtedy, gdy myślała, że w pasie jest zaledwie kilka tysięcy dolarów. A więc teraz nie miała najmniejszych wątpliwości co do jego perfidii.

W takim razie po co Gregg fatygował się pisaniem do niej listu? Cemu po prostu nie uciekł – do Meksyku albo na północ? Czyżby po to, żeby uspić jej podejrzenia i mieć więcej czasu na ucieczkę? Czy jego prośba, żeby bez zwłoki odpisała do San Diego, była zwykłym pretekstem, by jego słowa brzmiały szczerze i wiarygodnie? W tym wypadku jej odpowiedzi nigdy nikt nie zobaczy – nieotwarta koperta będzie sobie leżeć na poczcie w San Diego, ewentualnie zostanie złożona w składzie przesyłek nieodebranych.

A może istniała inna przyczyna?

– Do diabła, a niech mnie! – uderzyła szklanką o stół, aż whisky chlusnęła na blat.

Sprytny, wyrachowany Gregg. Jego list zwabił ją w pułapkę bez wyjścia. „Napisz mi, co się dzieje – prosił. – Wszystko”.

A zatem napisała mu *wszystko*, ze szczegółami, w sam raz, żeby zapewnić sobie miejsce w komorze gazowej. Fragmenty z jej relacji powracały w pamięci: „Nawet jeśli nas podejrzewa, nie mam pojęcia, jak mógłby tego dowieść”, „...dała ci wspaniałe alibi”. „Opowiedziałam im o zawale Lloyda”, „...będą skłonni uznać to za przyczynę wypadku”. Sam fakt, że w ogóle napisała ten list, wyznając swoją miłość, był iście samobójczy.



Sporządziła swój własny wyrok śmierci, gorliwie i z rozkoszą. A teraz leżał on sobie spokojnie w skrzynce pocztowej, oddalony zaledwie o kilka minut drogi, a jednak nieosiągalny. Gregg odbierze go z pewnością dziś po południu, w San Diego – lecz nie po to, by upajać się miłością Glorii, ale żeby ją od siebie niewolniczo uzależnić.

Istniała tylko jedna szansa ocalenia – ten list nie może wpaść w ręce policji, a Gregg nadal musi się ukrywać. Jak na razie wszystko wskazuje, że to on jest głównym sprawcą. Czyż nie uciekał? Czy jego alibi było bez skazy? Co robił, kiedy pani Colby spała? Albo wtedy, kiedy nie pisał na maszynie? W obliczu tych faktów przedłużająca się nieobecność Gregga powinna być miażdżącym dowodem winy – i to tylko jego winy. Na nią nie padnie cień podejrzenia, dopóki jej kochanek pozostanie zbiegiem.

Ona była teraz całkiem sama – wdowa, atrakcyjna i jeszcze w miarę młoda. Co jej pozostało? Po pierwsze – dom, który może przynieść, jeśli się poszczęści, nawet pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Po drugie – łódź, warta może dziesięć czy dwanaście tysięcy. Czyli około sześćdziesięciu tysięcy dolarów – nie było tak źle. Co jeszcze?

Wyprostowała się gwałtownie. *Akcje Lloyd!* Muszą być warte o wiele więcej niż marne *sto tysięcy dolarów*. Wciąż mogła pozostać zadbaną, żyjącą w luksusie kobietą. W przypiływie paniki przypomniała sobie, że widziała potrzebne dokumenty w szufladzie biurka męża. Jednym haustem dopiła drinka i popędziła na górę.

Szuflada była zapchana najróżniejszymi dokumentami, lecz nie dostrzegła ani śladu papierów uwierzytelniających. Czyżby Lloyd także zdążył je spieniężyć? Gloria powinna zapytać jego maklera – Billa Torrance'a.

Gdy Bill odebrał telefon, słodycz w jego głosie wprawiła ją w osłupienie.

– Witaj, Glorio, kochanie, co tam dobrego? I jak tam nasz rybak, Lloyd – zagruchał.

Zapomniała, że gazety nie podały jeszcze wiadomości o zaginięciu jej męża.

– Bill, myślałam, że może już o tym słyszałeś. Lloyd zaginął.

– Chyba żartujesz!

Pospiesznie nakreśliła mu obecną sytuację, nie wspominając ani słowem o Greggu czy samochodzie.

– Dobry Boże! – westchnął Torrance. – Musisz być mocno przerażona.

– Och, Bill, nawet nie wiesz, jak bardzo. Ale jest też coś, co muszę koniecznie wiedzieć. Policję interesuje, czy Lloyd mógł mieć przy sobie coś szczególnie cennego – na przykład większą kwotę pieniędzy. Uznali za prawdopodobne, że został obrabowany, a nawet porwany. Och, wiem, że to brzmi absurdalnie – po co komuś tyle gotówki na łodzi – lecz mimo wszystko chciałabym wiedzieć, czy Lloyd spieniężył ostatnio część swoich akcji?

– Na pewno nie. Prawdę mówiąc, miał nawet zamiar zainwestować w następne. Wysłałem mu kilka biuletynów, zawierających, jak sugerowałem, sporo naprawdę korzystnych lokat. Powiedział, że chętnie się z nimi zapozna. I rozpatrzy je wtedy, gdy wszyscy myślą, że wędkuje – to jego własne słowa.

– A więc jesteś pewien, że żadnych nie sprzedał?

– No oczywiście, że jestem pewien. – W głosie Billa brzmiała lekka uraza. – Jeśli chcesz, możesz sprawdzić w banku. W jego skrytce depozytowej. Oczywiście, żeby je spieniężyć, mógł skorzystać z usług *banku*. Lecz przecież nie zrobiłby tego staremu kumplowi, co? Boże, tak mi przykro z powodu Lloyda, Glorio. Jeśli tylko mógłbym coś dla ciebie zrobić – możesz na mnie liczyć.

– Dzięki, Bill. Zajrzę do banku i sprawdzę.

Tam musi się kryć odpowiedź – zdecydowała Gloria, jadąc do banku kilka minut później. Niewątpliwie Lloyd ponownie złożył te dokumenty w swojej skrytce depozytowej. Może wcześniej zabrał je do domu z zamiarem sprzedaży, a potem zmienił zdanie.

Po wejściu do banku, Gloria czekała na obsługę przed szeregiem odgrodzonych stanowisk, bębniąc niecierpliwie palcami w lśniąca, drewnianą barierkę. Dwóch mężczyzn – jeden w policyjnym mundurze, drugi w źle dopasowanym, tweedowym garniturze stało do niej plecami, prowadząc rozmowę z siedzącym za biurkiem Arnoldem Sieversem. Serce Glorii załomotało.

– Och! – krzyknęła cicho, gdy się odwrócili. – Kapitan Friendly... I porucznik Dillon.

Skinęli głowami na powitanie – kapitan z miłym uśmiechem, Dillon – ostentacyjnie sznurując usta. Friendly lekkim krokiem podszedł do barierki.

– Przyszła pani w samą porę, by nam towarzyszyć, o ile ma pani ochotę. – Wyjął niewielki blankiet z wewnętrznej kieszeni marynarki. – Mamy zezwolenie na otwarcie skrytki depozytowej pani męża.

Gloria nerwowo przeszła spojrzeniem siedzącego z tyłu Sieversa.

– Panie Sievers, czy pan już...? – zawiesiła głos.

Urzędnik wstał i z godnością poprawił okulary.

– Nawet nie wspomniałem o kwestiach finansowych pana Worthingtona – odparł tonem urażonej dumy.

Schodzili po szerokich, marmurowych schodach. Napuszony Sievers na przedzie, za nim Gloria pomiędzy Friendlym i Dillonem.

– Czy mogłabym wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? – zagadnęła.

– Czyżby pani nie wiedziała? – spytał Dillon z nieskrywaną ironią.

– Musimy się dowiedzieć – odparł Friendly, ignorując porucznika – czy niczego cennego nie brakuje w depozycie pana Worthingtona.

Już na dole, w przestronnym, czworokątnym pomieszczeniu, lśniącem matową bielą, Gloria wsparła się ciężko o ścianę, podczas gdy Sievers kroczył dostojnie wzdłuż szeregu szuflad, jak generał na przeglądzie wojsk.

– Co prawda nie przyszło mi to wcześniej do głowy – zaczął Friendly – ale chyba z tej właśnie przyczyny *pani* tu zajrzała. – Widząc, że kobieta patrzy na niego zdezorientowana, dodał: – Żeby sprawdzić skrytkę depozytową męża. Całkiem możliwe, że właśnie tu przechowywał swoje papiery wartościowe, prawda?

– No cóż, chyba tak – odparła wymijająco, nie podając przyczyn swojej obecności. Jednocześnie zaczęła rozważać, do jakiego stopnia mogłaby polubić kapitana Friendly'ego w zupełnie innych okolicznościach.

Sievers powrócił ze skrytką depozytową, niosąc ją przed sobą w dłoniach jak najcenniejszy skarb. Uroczyście włożył kluczyk do zamka i przekręcił, otwierając wieko. Metalowa skrzynka była pusta. Gloria stała z otwartą buzią, a najgorsze przekleństwa cisnęły się jej na usta. Z trudem

zaciśnęła szczęki, czując pulsowanie w ich napiętych mięśniach.

– Pan Worthington był tutaj całkiem niedawno – oznajmił Sievers. Patrząc na Glorię, nieznacznie zachichotał. – Jak przypuszczam, zabrał wszystko ze sobą.

Na twardych rysach Friendly'ego nie było śladu zdumienia.

– A czy tutejszy wydział papierów wartościowych dokonał wymiany tych akcji na gotówkę? – zapytał po chwili.

Sievers skorzystał z telefonu wewnętrznego w rogu sali. Zadał kilka pytań i chwilę zaczekał.

– Nie ma żadnego dokumentu, potwierdzającego transakcję wymienną z panem Worthingtonem – oświadczył po powrocie.

Friendly podziękował mu skinieniem głowy.

– Później sprawdzimy to jeszcze raz, ale pod innym już kątem – zapowiedział.

Gloria w towarzystwie policjantów weszła na górę w całkowitym milczeniu. Gdy wychodzili na tłoczną ulicę, chłopiec, może dziesięcioletni, wykrzyknął, patrząc jakby wprost na Glorię:

– Tajemnicze zniknięcie finansisty z Laguny!

Gloria podskoczyła i kurczowo chwyciła Friendly'ego za ramię. Dopiero wtedy dostrzegła, że chłopiec wykrzykuje głośno tytuł z pierwszej strony gazety; cały ich plik trzymał pod pachą. Szybko podbiegła, kupiła jedną i trzymając ją przed sobą w zaciśniętych dłoniach, wpatrywała się w sensacyjny nagłówek. Nagle poczuła się obnażona i bezbronna.

Dillon podszedł i stanął za jej plecami. Glorii wydawało się, że zauważyła złośliwy błysk w jego oczach.

– My nie wtajemniczaliśmy prasy w tę sprawę – syknął, lekko unosząc czarne brwi i zaciskając usta w wąską kreskę.

*Czy tak wygląda sprawiedliwość?* Gloria lekko skinęła głową na znak, że pojęła sens jego słów. Friendly dołączył do nich.

– Wczoraj wieczorem przeszukaliśmy łódź – rzucił swobodnie.

– Jediną rzeczą wartą uwagi był spory sejf w kabinie. Był otwarty. I pusty... jak skrytka depozytowa. – Łagodny wzrok kapitana nabrał ostrości. Spojrzał przenikliwie na Glorię. – Pani Worthington, czy pani się orientuje, ile są warte papiery wartościowe męża?

– No wie pan, kapitanie!

Jego błękitne oczy ponownie złagodniały. – Wiem, że to niedyskretne pytanie. Lecz, jak pani mówiłem, nie możemy wykluczyć możliwości, że pan Worthington został okradziony, gdy znajdował się na łodzi. Pusta skrytka i pusty sejf w pewien sposób potwierdzają tę teorię. Mógł przynieść swoje papiery do sejfu pod pokładem. A dlaczego – nie mam pojęcia.

– I ja też – ucięła szorstko Gloria. – Podobnie jak nie mogę panu powiedzieć, ile są warte, bo sama nie wiem.

Friendly spojrział na nią z wyczekiwaniem, apelując do jej uczciwości.

– Oczywiście, jeśli będziemy zmuszeni, zawsze możemy zasięgnąć wiadomości u jego maklera.

– Podobno jakieś sto tysięcy dolarów – oświadczyła Gloria pośpiesznie.

Usłyszała, jak Dillon zasysa powietrze przez zaciśnięte zęby. Krzaczące brwi Friendly'ego uniosły się w zdumieniu, lecz nie rzekł ani słowa. Odwrócił się, jakby miał odejść, lecz zamarł w pół kroku.

– A przy okazji, czy pan Flanders już wrócił? – rzucił przez ramię.

Gloria o mało nie zemdląła. – On... Jeszcze chyba nie... Powiedział... że nie będzie go parę dni... może dłużej.

– Tak powiedział Flanders – że „może dłużej”? – naciskał Dillon.

– Tak myślę – odparła słabo. – Myślę, że właśnie tak powiedział...

Porucznik przyszpilił Glorię wzrokiem, jakby próbował ją zmiażdżyć. Rozejrzała się rozpaczliwie i dostrzegła, że Friendly obserwuje Dillona z dezaprobatą. Młody policjant najwyraźniej poczuł na sobie to spojrzenie, bo ruszył za kapitanem.

– Jestem pewien, że ucieszy się pani, dostając z powrotem swoje nowiutkie auto. Jaguar X-KE, o ile się nie mylę? – dodał.

– Tak – szepnęła, czując się jak zaszczute zwierzę.

– No cóż, na pewno będziemy w kontakcie – rzekł chmurnie na odchodnym i pomaszerował za Friendlym w dół ulicy.

Jadąc do domu, Gloria przeplatała swoje buntownicze myśli mamrotanymi pod nosem przekleństwami. Cóż za ironia losu! Ochroniać Gregga –

tego sukinsyna, który ją zrujnował – mówiąc policji, że nie będzie go dłużej, niż sądzili! I do tego dawać mu więcej czasu na ucieczkę, a tym samym wziąć winę na siebie!

– Skurwiel! – warknęła.

Gregg nie przeoczył niczego. Być może nawet zwał z papierami uwierzytelniającymi. Ale po co je zabierał? Przecież były nieprzydatne dla każdego prócz Lloyda. Może znalazły się tam przypadkiem, jako część większego pakunku. Albo... To jest myśl! Gregg musiał zmusić Lloyda, trzymając go na muszce, do podpisania dokumentów i dopiero później go wykończył! Dobry Boże, dlaczego ze wszystkich miejsc na ziemi Lloyd musiał wybrać akurat sejf na motorówce? W jej pamięci powrócił pewien szczegół. Co powiedział Bill Torrance? Że Lloyd obiecał przeczytać biuletyny, dotyczące inwestycji, w czasie gdy „wszyscy myślą, że wędkuje”. Tu kryła się odpowiedź – po prostu mąż lubił trzymać wszystko w idealnym porządku.

Och, ty durny, kretyński, zwariowany sukinsynu! – zawodziła w myśli.

Zacisnęła zęby, usiłując nad sobą zapanować. Mimo wszystko wciąż miała dom i łódź. Ale, rzecz jasna, nie może ich sprzedać, dopóki kwestie majątkowe Lloyda nie zostaną uregulowane. W chwili obecnej Gloria posiadała tylko zawartość swojej portmonetki i zdezelowanego austinahealy. Plus dwadzieścia dolarów w banku, które i tak były teraz dla niej nie do zdobycia.

– O mój Boże! – jęknęła. – Jestem kompletnie splukana! – Robiło się jej niedobrze na myśl, że Gregg zaplanował to od samego początku. Nic dziwnego, że nalegał, by to *ona* zadała Lloydowi pierwszy, decydujący cios – musiał mieć pewność, że jego kochanka jest równie winna jak on...

*Gregg, Gregg, ty parszywy, wredny skurwielu!* Zadygotała na myśl, że jej koszmar dopiero się rozpoczął.

## 9.

**M**ijała godzina za godziną, a Gloria, miotana wściekłością, rzucała się w łóżku, nie mogąc zasnąć. Złość wreszcie ustąpiła, wraz z nadejściem środowego poranka, przeradzając się w poczucie przytłaczającego

osamotnienia. Na wspomnienie Gregga odczuwała niemal fizyczny ból. Kochanek wykorzystał ją, upokorzył, oszukał, zmusił do zbrodni, a w końcu porzucił. A jednak gdyby jakimś cudem powrócił – choćby bez złamanego centa – na dzień dobry z rozkoszą zaciągnęłaby go do łóżka. Na samą myśl o tym poczuła pulsowanie krwi w łędźwiach.

O Boże, jak można by nazwać kobietę taką jak ona?

Po szybkim prysznicu wskoczyła w obciste, różowe szorty i białą bluzę i weszła do kuchni, żeby wypić poranną filiżankę rozpuszczalnej kawy. Z naczyniem w dygoczącej dłoni krążyła między kuchnią a salonem z poczuciem bezsilności, jakiego mógłby doświadczać ktoś, żywcem zamurowany w grobowcu, podczas gdy na zewnątrz ludzie i wydarzenia decydowały o jego losie. Zastanawiała się, co teraz robiła policja. Co teraz robił Gregg. Co *ona* powinna zrobić. Dopiero co minęła ósma. Być może znajdzie jakieś wskazówki w porannym dzienniku – który o tej porze pewnie już leży na podjeździe.

Gloria właśnie podniosła gazetę i przebiegła wzrokiem wydrukowany tłustym drukiem nagłówek „CZY ZAGINIONY MĘŻCZYŻNA ZOSTAŁ OKRADZIONY?”, kiedy usłyszała dzwonek telefonu. Wsadziła złożony dziennik pod pachę i wpadła do salonu, chwytając słuchawkę i bez tchu pytając: – Halo?

– Bardzo mi przykro, że przeszkadzam o tak wczesnej porze, pani Worthington – odezwał się jakiś mężczyzna niskim i miękkim tonem. – I bardzo pani współczuję z powodu męża. – Gloria usłyszała westchnienie. – Lecz, jak przypuszczam, jest pani w trakcie przeprowadzki...

„Facet ma tupet, kimkolwiek jest! – pomyślała Gloria – Mówi o Lloydzie tak, jakby już przeczytał jego nekrolog”.

– Nawet nie przyszło mi to do głowy – odparła lodowato.

– Nie przyszło do głowy... – powtórzył nieznajomy bezmyślnie. Po czym dodał, oczekując, że coś jej to powie: – Mówi Miscia z agencji handlu nieruchomości.

– Słucham pana? – Nie zamierzała mu pomóc, przyznając, że zna jego firmę.

– No cóż... Wiem, że nie ma zbyt wiele czasu, ale czy zamierza pani podjąć jakieś działania pod, hm... nieobecność męża? Chodzi o tę

posiadłość na Kona... Po prostu nie mogę tego odkładać na jutro czy pojutrze.

A więc to zaszło aż tak daleko! Próbowwała ukryć zaskoczenie w głosie.

– Pan wybaczy, panie Miscia, lecz postanowiliśmy zrezygnować z tej oferty.

– Och... – Głos agenta wyrażał konsternację. Przez chwilę Gloria słyszała tylko jego oddech. Po czym odzyskał panowanie nad sobą. – A zatem przypuszczam, że teraz... – zaczął, lecz ona nie dała mu skończyć.

– Dziękuję, panie Miscia. Żegnaj pana – ucieła.

I znów – co za piekielna ironia! Gdyby tylko Lloyd kupił tę posiadłość – a była to z pewnością poważna inwestycja – mogłaby ją otrzymać w spadku. A tak, pieniądze za akcje (część gotówki, którą stuknięty Lloyd wypłacił z banków!) były w rękach Gregga. Ponownie namiętność, którą Gloria darzyła kochanka, przerodziła się w nienawiść.

Roztrzęsiona, zapaliła papierosa i przycupnęła na skraju sofy, rozkładając przed sobą gazetę. Nie znalazła nic nowego na temat „tajemniczego zniknięcia”. Pisano tylko, że Lloyd Worthington był jednym z cieszących się najlepszym zdrowiem mieszkańców Laguny i dlatego napad rabunkowy wydawał się całkiem logicznym motywem. Mimo to możliwość wypadku nie mogła być wykluczona. Na tej samej stronie zamieszczono fotografię Lloyda i Glorii, wykonaną podczas regat jachtowych oraz zdjęcie Rodneya Dillona („naszego energicznego komendanta policji”) i cytat jego zapewnienia o szybkim rozwiązaniu tej sprawy. A także stwierdzenie, że „Pani Worthington jest w stanie szoku i nie udziela wyjaśnień”. Gloria podejrzewała, że autorem tego komentarza był kapitan Friendly, który powiedział tak, by trzymać dziennikarzy od niej z daleka. Na temat kapitana nie było żadnej wzmianki.

Gloria właśnie zamierzała zmiąć i wyrzucić gazetę, gdy jej wzrok padł na notatkę u dołu trzeciej kolumny pod nagłówkiem: „SAMOCHÓD WPADA DO MORZA”. Wiadomość była z San Diego.

ZESZŁEJ NOCY NOWY SAMOCHÓD MARKI JAGUAR X-KE SFORSOWAŁ BARIERKĘ ZABEZPIECZAJĄCĄ NA AUTOSTRADZIE COAST HIGHWAY, NA



PÓŁNOC OD SAN DIEGO, I RUNĄŁ NA WIELKIE SKAŁY, WYNURZAJĄCE SIĘ Z OCEANU PONIŻEJ.

CZŁONKOWIE OCHOTNICZEGO POGOTOWIA RATOWNICZEGO BYLI ZDUMIENI, ZNAJDUJĄC PUSTY SAMOCHÓD. JEST PRAWDOPODOBNE, ŻE CIAŁO KIEROWCY ZOSTAŁO WYRZUCONE IMPETEM UPADKU I WPADŁO DO MORZA.

W SPORTOWEJ WIATRÓWCE, ZACZEPIONEJ NA ZŁAMANYM WIESZAKU, ZNAJDOWAŁY SIĘ DOKUMENTY, IDENTYFIKUJĄCE KIEROWCĘ JAKO GREGGA FLANDERSA Z LAGUNY. POLICJA PROWADZI DOCHODZENIE.

Luźne strony gazety opadły na podłogę. Gloria wtuliła głowę w ramiona, czując, jak krew odpływa jej z twarzy. Szeroko otwartymi ustami szmatycznie chwyciła hausty powietrza, żeby usunąć jakiś zator, duszący ją w gardle. Cokolwiek to było – wydawało się rosnąć z każdą chwilą. Zataczając się, wpadła do kuchni i zwymiotowała do zlewu.

Na chwiejnych nogach podeszła do kuchenki i włączyła palnik pod czajnikiem z wodą. Kurczowo zaciskając ręce na krawędziach kuchenki, ślepo patrzyła w ścianę przed sobą. Po minucie woda zawrzała i czajnik zaczął przeraźliwie gwizdać, wyrzucając dziobkiem strumień pary. Gloria z lekka potrząsnęła głową i zdjęła wyjący czajnik z kuchenki. Zalała kawę, postawiła filiżankę na kontuarze przy zlewie i zaczęła przeszukiwać szafkę w poszukiwaniu butelki z lekami uspokajającymi. Wytrząsnęła dwie tabletki na dłoń, wrzuciła do zaschniętych ust i popiła prawie wrzącą kawą. Potem namoczyła kuchenną ściereczkę, wyszła do salonu i ze ściereczką na czole rozciągnęła się na sofie.

Gdy poczuła, że tabletki już działają, udała się z powrotem do kuchni i zaaplikowała sobie czystego bourbona. I, po krótkim namyśle, jeszcze jednego.

Stała przy zlewie, odczuwając tyle, co nic. Jej ciało było jakby zawieszona w próżni. Z wolna, jak spirale dymu, wznoszące się ku górze i przybierające w powietrzu znajome kształty, dwa słowa uformowały się i przepływały mgliście przez jej głowę: *To niemożliwe...* Powtarzały się uparcie wciąż na nowo, aż do Glorii dotarł stopniowo ich sens i podziałał jak środek rozjaśniający umysł. Następną kawę wypijała, siedząc w kuchni przy stole, opierając podbródek na dłoni.

*To niemożliwe.* Gregg, który umiał tak poprowadzić deskę surfingową tunelem, utworzonym przez gigantyczną falę, że wynurzał się prawie suchy... który dzięki bystrości umysłu potrafił natychmiast ocenić każdą sytuację – nie, to coś nie tak... *musiało* być jakieś inne wyjaśnienie. Gdyby chodziło o kolizję z innym samochodem, napisano by o tym. Podobnie jak o śladach poślizgu, wskazujących na próbę wyminięcia jakiegoś nadjeżdżającego auta albo na utratę kontroli nad kierownicą. A nawet gdyby tak się zdarzyło – czy nie byłoby bardziej prawdopodobne, że jaguar odbije się od barierki na autostradzie? Gloria zerwała się i pobiegła do salonu.

Przykucnęła i podniosła pierwszą stronę gazety, leżącej pośród bałaganu na podłodze, usiadła na dywanie i szybko przeczytała całą notkę. Skupiła wzrok na słowach: „...ciało kierowcy zostało wyrzucone impetem upadku i wpadło do morza”. Dzika nadzieja zaczęła przedzierać się przez jej odrętwienie. Czyżby Gregg *celowo* skierował samochód w dół na skały? Czy jaguar był pusty już *przed* upadkiem? Czy Gregg, tak wyrachowany, sam to zaplanował – sfingować swoją śmierć nie tylko, żeby zapewnić sobie bezkarną ucieczkę, ale jeszcze mieć gwarancję, że już nigdy nie będzie ścigany. *Tak, tak, tak!* To musi być właściwe wyjaśnienie.

Wtedy Gloria pomyślała o swoim liście.

*Och, nie...* Jęk, który wydarł się jej z gardła pod wpływem przerażenia, zmienił się w westchnienie ulgi w obliczu jej obecnej teorii. Policja nigdy nie znajdzie tego listu, bowiem *Gregg musi go mieć przy sobie*. Pomimo władzy, jaką list dawał Flandersowi nad Glorią, tysiąc razy ważniejsze było, żeby nie dostał się w ręce policji. Gotówka, oczywiście, też była przy Greggu, w pasie opiętym wokół jego talii. Lecz jej domysły na temat „wypadku” usunęły część goryczy, dotyczącej straconych pieniędzy. Ważne, że żył. Była tego pewna.

Usłyszała sygnał telefonu, stojącego na narożnym stoliku, tuż przy drzwiach, lecz jakby oddalony teraz od niej o wiele mil. Podniosła się na kolana i wstała, znieczulona na wszystko, prócz myśli o Greggu...

Głos mężczyzny w telefonie aż ociekał sztucznym współczuciem. – Mówi Ben Conklin z firmy importującej samochody. To straszne, co spotkało pani męża, pani Worthington. Czy już coś wiadomo?

– Nie, nie. nic. – Czego on, na Boga, może chceć – zastanawiała się Gloria.

– No cóż, bardzo mi przykro, że panią niepokoję – naprawdę, czynię to z wielkim żalem – ale *zyczyłbym sobie* poznać decyzję na temat samochodu. Pan Worthington obiecał, że poinformuje mnie w poniedziałek, czy go pani zatrzymuje, czy nie, a dziś mamy już środę. To jedyny jaguar, jaki miałem na zbyciu, a znalazł się pewien gość, który jest nim zainteresowany.

– Czy go zatrzymuję? – mruknęła pod nosem. Najwyraźniej ten cały pan Conklin nie miał pojęcia, że jaguar został roztraskany. Owszem, mógł przeczytać notkę, ale nie skojarzył tego z jej autem. Bo niby dlaczego?

– A więc, jak już mówiłem – ciągnął pośrednik – pan Worthington miał zamiar dać go pani do wypróbowania w czasie weekendu. A potem ewentualnie zwrócić samochód, jeśli nie będzie pani w pełni usatysfakcjonowana.

Dobry Boże! O czym mówi ten człowiek...?

– *Chce pan powiedzieć, że samochód nie został kupiony?*

– *Kupiony?* Do cholery... o, przepraszam... niestety, *nie*. Nie dostałem nawet zaliczki. Ja zawsze mam zaufanie do klientów takich jak państwo. *Czyżby mąż pani nie powiedział?*

– Nie... – Gloria wydała głębokie, przeciągłe westchnienie. – Nie, nic mi o tym nie powiedział. – Poczła zawrót głowy i chwyciła za krawędź stolika. – Czy mogłabym wstrzymać się z decyzją do jutra? *My...* – Głos się jej załamał. – *My pożyczylimy samochód jednemu z przyjaciół.*

– *Państwo... go pożyczylimy?* – Ton Conklina wyrażał nieopisane zdumienie. – W takim razie sam nie wiem... – Nagle zreflektował się, jakby wyczuwając jej udrękę. – No, tak... To sprawa jest jasna, pani Worthington. Lecz byłbym niezwykle wdzięczny, gdyby dała mi pani znać jutro. Przetrzynam tego gościa jeden dzień.

– Dziękuję panu, panie Conklin. Do widzenia.

Gloria odłożyła słuchawkę, pokuśtykała na taras i zatopiła pusty wzrok w powierzchni morza. Nie czuła paniki, ogarnęło ją tylko poczucie całkowitego bezsensu. Jakby wszystko, co jej się przydarza, było czymś nieuchronnym, jakimś nieubłaganym ciągiem klęsk, wobec których była bezsilna.

Usiadła w cieniu parasola i usiłowała przemyśleć konsekwencje, płynące ze zniszczenia samochodu, analizując je jak problem dotyczący kogoś innego. Jaguar był wart prawdopodobnie ponad sześć tysięcy dolarów. Nie zapłacono za niego ani nie dano zaliczki. Został jej czasowo wypożyczony przez renomowanego dealera. Wobec tego była odpowiedzialna za stratę ponad sześciu tysięcy dolarów. Oczywiście z pewnością przysługuje jej polisa ubezpieczeniowa, bądź ze strony Lloyda, bądź pana Conklina. Istniała szansa, że wyjdzie z tego, nie płacąc więcej niż sto dolarów udziału własnego, a resztę pokryje towarzystwo ubezpieczeniowe.

*Tylko sto dolarów?* To i tak było o wiele więcej, niż posiadała czy mogła zdobyć. Nawet to nędzne dwadzieścia dolarów w bankach było teraz nieosiągalne. Wróciła do salonu i z próżną ciekawością przeliczyła pieniądze w portmonetce. Siedem dolarów i trochę drobnych. I to był jej cały majątek na tym świecie!

Do tego spłata rachunków! Nie tylko za wydatki bieżące, lecz również należności za opłaty kartą płatniczą. Wydała z siebie urywany, niemal histeryczny chichot, gdy pomyślała o stanie swojego konta. W całym mieście Gloria miała długi – *setki* dolarów – a większość rachunków była nieuregulowana. Te wszystkie grzeczne upomnienia, które otrzymywała pocztą... Skąd, na miłość boską, ma wytrzasnąć pieniądze?

Rzecz jasna, została jeszcze łódź. Ale również nie była zapisana na nią. Podobnie jak dom. Gloria zaczęła rozważać, czy przynajmniej nie mogła by ich komuś wynająć. Całkiem możliwe. Ostatecznie *powinny* kiedyś należeć do niej. Lecz znalezienie najemcy wymagało czasu, a ona musiała mieć pieniądze już teraz!

Rozmyślając o domu, przypomniała sobie, że pan Miscia zadzwonił w sprawie posiadłości na Hawajach. *Doskonale!* Może Lloyd dał zadatek za tę posiadłość. Jeśli tak, Miscia na pewno zwróci go bez protestu. To niewątpliwie będzie jakieś kilka tysięcy dolarów – może trzy tysiące, może więcej... *Trzy tysiące dolarów!*

Napięcie Glorii nieco zmalało. Czy nie lepiej osobiście spotkać się z Miscią, zamiast rozmawiać z nim przez telefon? Wyjść z tego domu, uciec od ostatnich wspomnień, pełnych odrazy i trwogi? Ponadto, pan Miscia powinien zwrócić jej gotówkę z depozytu na poczekaniu. Gloria poczuła przyływ odwagi. Przynajmniej dokona czegoś, choćby

niewielkiego, by pokonać furję, ogarniającą ją na każdym kroku.

W Agencji Nieruchomości Miscii usiadła na twardej, dębowej ławie i spędziła tam ponad pół godziny, czekając na właściciela – był w drodze, w sprawie jakichś posiadłości. Gdy Miscia powrócił – był okrągłutkim, śniadym, niskim człowieczkiem – niemal rozpyływał się w przeprosinach. Chwytał Glorię pod rękę pulchną, wymanikiowaną dłońią i wprowadził do maleńkiego gabinetu, który mieścił metalowe biurko, dwa metalowe, składane krzesła i oprawny w ramkę dyplom Stanowej Komisji Zarządzania Nieruchomościami.

Gloria zajęła jedno ze składanych krzesel, podczas gdy Miscia zasiadł skwapliwie za biurkiem. Spojrzał na nią z radosnym wyczekiwaniem, zacierając dłonie.

– Nie ma pani pojęcia, jak ogromnie mi przykro, że musiałem do pani zadzwonić – oświadczył. – Lecz znaleźli się inni chętni i musiałem wiedzieć. – Jego małe, paciorkowate oczka zabłyśły. – No cóż, mam nadzieję, że zmienili państwo zdanie?

– Zmienili zdanie? – Dziś każdy mówił do niej zagadkami.

– Na temat zakupu na Kona – podsunął Miscia przymilnie. – To bezwzględnie najpiękniejsza posiadłość na Hawajach. – Wyduł wilgotną, dolną wargę. – I za bezcen.

– Owszem, przyszedłam *w sprawie* posiadłości, ale...

– Mógłbym powiedzieć tamtym innym zainteresowanym, że się spóźnili – wtrącił z zachęcającym uśmiechem.

– Nie, nie. Nie o to chodzi. Mój mąż coś wspominał, że dał zadatek, żeby tej posiadłości nie stracić. – Gloria przetknęła ślinę. – Pomyślałam, że jeśli tak, to będzie pan łaskaw go zwrócić.

Blask w oczach Miscii zgasł.

– Zadatek? – wymamrotał niewyraźnie. – Nie było żadnego zadatku. Pan Worthington powiedział po prostu, że zamierza kupić posiadłość, i to mi wystarczyło.

Gloria poczuła, jakby wielki ciężar przygiął ją do ziemi.

– Chce pan powiedzieć, że zdjął pan tę ofertę z wykazu tylko dlatego, że on raczył się nią zainteresować?

Miscia przybrał zboląły wyraz twarzy, jakby jego klientka była lekko stuknięta.

– Hm, jak pani wie, to była o wiele poważniejsza transakcja – oznajmił.

– Wiem? – Głos Glorii wyrażał dezorientację. – *O czym mam wiedzieć?*

Miscia wzruszył ramionami i rozłożył ręce. – Chcę przez to powiedzieć, że pan Worthington nie tylko przyszedł się za czymś rozejrzeć. – Spojrzał na nią z ukosa. – Zostałem powiadomiony, że chce dokonać zakupu po tym, jak sprzeda dom, w którym pani teraz mieszka.

Spadło to na Glorię jak grom z jasnego nieba. Zachłysnęła się powietrzem, a jej głos zamienił się w zduszony, drżący pisk.

– O czym pan mówi, panie Miscia?! – wrzasnęła.

Miscia odskoczył w krzesło.

– O pani domu – podkreślił urażonym tonem. – Chyba nie chce pani powiedzieć, że nie wiedziała pani o jego sprzedaży? Znalazł nabywców niecały tydzień temu. Pieniądze zostały już złożone na koncie pana Worthingtona – nieco ponad czterdzieści tysięcy. Oczywiście po odliczeniu mojej prowizji. Mógłby uzyskać więcej, gdyby zaczekał. Lecz bardzo się niecierpliwił, co do tej posiadłości na Kona.

Osunęła się w przód, świat wirował jej przed oczami. *Jezu...* – pomyślała resztką sił. – *Żeby tylko nie wymiotować na jego biurko!*

Z trudem wyprostowała się na krzesło i usiłowała wstać.

– Nie sądziłam... że posunął się... tak daleko. A więc już... znalazł nabywców, i tyle – wyjąkała.

Miscia znów stał się fałszywie przymilny.

– O, tak – oświadczył ze słodyczą. – Wszystko już zapięte na ostatni guzik. Nowi właściciele chcą się przeprowadzić w przyszłym miesiącu – może za jakieś trzy tygodnie. To dlatego zapytałem przez telefon, czy się pani wyprowadza.

*Trzy tygodnie!* Jak to mogło się przytrafić właśnie jej!

– No cóż, może mógłbym ich troszkę wstrzymać, z powodu pani kłopotów i w ogóle – zaproponował.

– Ja muszę... muszę już iść. Jestem spóźniona... Do widzenia, panie...

– Miscia – podsunął usłużnie. – Angelo Miscia. I gdybym tylko mógł w czymś...

Lecz Gloria już wyszła.

W drodze powrotnej, siedząc za kierownicą austina-healy, nikogo nie obwiniała, nie odczuwała złości, obawy czy strachu. Była jak bokser z podrzędnego klubu, który pogodził się z porażką. Stoczyła kolejną, brutalną walkę, którą trzeba było jakoś przetrwać.

Mogła odtworzyć to wszystko, co ją spotkało, runda po rundzie. Pięniądze przepadły, akcje przepadły, jaguar przepadł, Gregg przepadł, być może nie żyje. A teraz przepadł dom, a ona stanęła w obliczu eksmisji. Przepadły też, rzecz jasna, pieniądze, które Lloyd otrzymał za dom. Nic dziwnego, że na koncie bankowym było o czterdzieści tysięcy dolarów więcej, niż myślała – skoro wpłacono te ze sprzedaży domu. Lloyd zgarnął całą pulę. A Gregg z nią zwiął.

Została tylko łódź, która prawdopodobnie pójdzie pod zastaw, gdy wszyscy jej wierzyciele zgłoszą się po odbiór długu. Wszystko skończone. Po interesie. Nie pozostało jej nic do stracenia.

Oprócz siebie.

## 10.

**T**ego samego dnia, ale wcześniej, dokładnie o ósmej piętnaście, kapitan Abraham Friendly złożył wizytę doktorowi Lawrence'owi Fowlerowi, wysokiemu, szpakowatemu mężczyźnie po pięćdziesiątce o przenikliwych, szarych oczach, głęboko osadzonych w wychudzonej twarzy. Friendly zadzwonił poprzedniego wieczora, aby umówić się z nim na spotkanie, ignorując przy tym zdanie porucznika Dillona, że będzie to tylko strata czasu. („Worthington miał zawał. Co jeszcze można na ten temat dodać?”)

Lekko pochylony do przodu w skórzanym fotelu, naprzeciw siedzącego przy biurku doktora, kapitan od razu przeszedł do rzeczy.

– Doktorze Fowler, chciałbym poznać pana opinię w związku z zaginięciem Lloyda Worthingtona. Czy mógł on, według pana, dostać na łodzi ataku serca?

Kąćki ust doktora Fowlera lekko się uniosły w enigmatycznym uśmiechu. – Atak serca może się przydarzyć każdemu mężczyźnie w jego wieku.

Friendly wyczuł, że doktor z premedytacją udziela wymijających odpowiedzi.

– To rozumiałe, jednak czy nie zgodziłby się pan, że Worthington był na to bardziej podatny niż większość ludzi?

Doktor Fowler złączył dłonie w piramidkę i wpatrzył się w sufit. Po tem spuścił wzrok, ale wciąż unikał spojrzenia kapitanowi w oczy.

– Na ile zna pan historię choroby Worthingtona, kapitanie Friendly?

Dziwaczne pytanie, pomyślał policjant – przecież już poinformował doktora, że rozmawiał z panią Worthington.

– Wiem tyle, ile powiedziała mi jego żona. Mniej więcej rok temu, jak mi się wydaje, Worthington przeszedł ciężki zawał.

Na odgłos stukania do drzwi obaj mężczyźni podnieśli głowy. Ładna, ciemnowłosa pielęgniarka weszła do gabinetu, wnosząc kubki z kawą i poranną prasę. Z uśmiechem postawiła przed nimi kawę na papierowych serwetkach i położyła złożoną gazetę na rogu stołu. Kapitan Friendly dostrzegł nagłówek, wydrukowany na szerokość czterech kolumn: **CZY ZAGINIONY MĘŻCZYZNA ZOSTAŁ OKRADZIONY?** Kątem oka kapitan zauważył, że doktor podążył wzrokiem za jego spojrzeniem.

Po wyjściu pielęgniarki doktor przez kilka chwil wpatrywał się z namysłem w czarny druk, jak gdyby w tych kilku słowach szukał odpowiedzi. Nagle jego twarz pojaśniała i zdecydowanym ruchem pochylił się w stronę Friendly'ego.

– Lloyd Worthington nigdy nie miał zawału – oświadczył stanowczo. – Ani ciężkiego, ani innego.

Ręka, w której kapitan trzymał kubek, drgnęła i kilka kropel kawy spadło na lśniący blat.

– Proszę wybaczyć, doktorze. Zaskoczył mnie pan. – Wytarł kawę papierową serwetką, czując, że jego umysł robi nagły zwrot, żeby się przestroić. Spojrzał na niewzruszoną twarz doktora Fowlera.

– Jeśli pan Worthington *nie miał* ataku serca, to co spowodowało u niego kryzys? Dlaczego zabrano go do szpitala? Dlaczego pozostawał pod pana opieką przez dłuższy okres czasu?

Doktor Fowler potarł zapadnięte policzki, a na jego ustach pojawił się nikły uśmieszek.



– Wszystko po kolei, kapitanie. Obawiam się, że na każde pytanie jest inna odpowiedź. – Przerwał. – Po pierwsze, moment kryzysu. Spadło to na niego dokładnie po tym, jak spędził z żoną cały dzień na pokładzie łodzi i było spowodowane kombinacją wielu czynników. Miał potężnego kaca i – bez wiedzy żony – wypił siedem, może osiem mocnych drinków. Ponadto od południa poprzedniego dnia nic nie jadł. Przebywał w upalnym słońcu ponad siedem godzin. Prawie każdy by od tego padł. Lecz nie miało to nic wspólnego z atakiem choroby wieńcowej, potocznie zwanym zawałem. Potrzebował jedynie wypoczynku.

– I dlatego poszedł do szpitala na kilka tygodni?

– Niezupełnie. Potrzebował natychmiastowego odtrucia – był nasiąknięty alkoholem jak gąbka.

– A kiedy już został odtruty, nadal pozostawał pod pana opieką? – Łagodnie spojrzenie Friendly'ego nabrało bezpośredniej ostrości. – Czy leczył go pan z alkoholizmu?

Po twarzy doktora przemknął cień ubolewania.

– Nie. Już dawno temu zarzuciłem kurowanie alkoholików. Leczyłem Worthingtona z zapalenia wątroby. Jakoś się z tym uporałiśmy. Ale zaznaczyłem mu, że musi skończyć z pićm.

Friendly w zamyśleniu sączył kawę.

– Rozumiem jego potrzebę ukrycia swojego alkoholizmu – rzekł w końcu. – Lecz po co osłaniać to czymś tak drastycznym jak atak serca?

Oczy doktora jakby lekko się zamgliły.

– Miał w tym swój cel – rzekł w końcu.

– Ale jego żona – czy nie mogła go skłonić, żeby zastosował jakiś inny kamuflaż? I dlaczego powiedziała policji, że miał zawał? Przecież musiała wiedzieć, że poznamy prawdę.

Doktor zawahał się. Zacisnął mocniej kościste szczęki.

– Powiedziała wam taką prawdę, jaką знаła – rzekł wreszcie. – Ona była *przekonana*, że chodzi o jego serce. Sam tak jej powiedział. I zobowiązał mnie do dyskrecji. Z początku myślałem, że po prostu musiał stworzyć pozory, aby zataić przed nią swój nałóg. Żeby go całkiem nie odrzuciła...

– Sugeruje pan zatem, że nie to było prawdziwą przyczyną mistyfikacji?

Doktor Fowler okręcił się na obrotowym krześle w stronę okna i z powrotem. Popatrzył kapitanowi prosto w oczy. – Nie to było prawdziwą przyczyną – przyznał. – Lloyd Worthington stał się impotentem.

Zapadła głęboka cisza.

Pierwszy przerwał ją Friendly.

– Czy to impotencja kazała mu upozorować atak serca? – zapytał za-intrygowany. Nagle pojął. – No tak, rozumiem...

Doktor Fowler spojrział na niego posepnie. – Tak, dzięki zawałowi serca wydało się całkiem normalne, że zrezygnował z sypialni, którą dzielił z żoną, i zajął pokój na parterze. Aby uniknąć schodów, jak jej tłumaczył. Oczywiście później przeniósł się na górę do innego, oddzielnego pokoju. Lecz wtedy mógł przypisać separację potrzebie wypoczynku podczas rekonwalescencji. Wydawał się żonie całkiem szczery, mówiąc, że stan jego serca wymaga, by zrezygnował z aktywności seksualnej na dłuższy czas. To pozwoliło mu zachować zarówno część męskiej godności, jak i małżonkę.

– Ile czasu upłynęło, według pana, odkąd Worthingtonowie mieli ze sobą ostatni stosunek?

Doktor zerknął na Friendly'ego z jowialnym uśmiechem. – Ze sobą? Czyżby pan coś sugerował? Z tego, co słyszałem, pani Worthington zawsze była oddaną żoną.

Wyrazista twarz kapitana poczerwieniała z zakłopotania. – Żle się wyraziłem. Powinienem zapytać, jak długo Lloyd Worthington był zmuszony zachować celibat.

– Myślę, że ponad rok.

– Ponad rok! Jak długo miał zamiar wykręcać się tym oszustwem? Chyba zdawał sobie sprawę, że w pewnym momencie jego żona będzie oczekiwać na wznowienie normalnego małżeńskiego pożycia.

– Owszem, i myśl o tym przysparzała mu nieopisanej troski. On, mężczyzna pod sześćdziesiątkę, i jego żona, kobieta po trzydziestce, prawdopodobnie u szczytu swych seksualnych możliwości – a on nie był zdolny jej zaspokoić. To właśnie z powodu jego rozpaczycy zgodziłem się potwierdzić to, jak pan powiada, oszustwo. Obydwaj mieliśmy nadzieję – ba, wprost się *spodziewaliśmy* – że wreszcie odzyska seksualny wigor.

– Czyli podjął jakąś kurację?  
– Tak, lecz nie u mnie. – Doktor Fowler potrząsnął głową ze smutnym uśmiechem. – Och, nie dlatego, że stracił we mnie wiarę. To ja nie byłem w stanie nic dla niego zrobić. Ani ja, ani lekarz ogólny, ani nawet chirurg. Widzi pan, nie chodziło o wydolność fizyczną – nie istniała żadna przyczyna natury *fizycznej*, by Worthington nie mógł być w pełni aktywnym seksualnie mężczyzną. Zaskakujące, lecz jak na mężczyznę w jego wieku, nie wykazywał prawie żadnych zmian ustrojowych. Rzecz jasna, on sam nie chciał w to wierzyć – z początku nalegał na przeprowadzenie jakiejś operacji albo zastosowanie którejś z kuracji hormonalnych, o jakich tyle ostatnio się pisze. Lecz wobec braku odchyień czynników natury fizycznej i chemicznej w organizmie, terapia taka byłaby z góry skazana na niepowodzenie. – Doktor Fowler ponownie potrząsnął głową, tym razem jakby w wyrazie rezygnacji. – Problem nie był kwestią natury cielesnej, lecz psychicznej. Bez wątplenia był to – i jest nadal – uraz psychiczny.

– Czy sądzi pan, że psychoanaliza zdołałaby mu przywrócić potencję?

– Tak sądzę, choć mogło to zająć dużo czasu. Zbyt długo, jak dla Lloyda Worthingtona. On już go nie miał. Mimo to skierowałem go do specjalisty od medycyny psychosomatycznej. Ten lekarz potwierdził moją wcześniejszą diagnozę i wierzył, że może pomóc Worthingtonowi. Niestety jednak – myślę, że około pół roku temu – Lloyd przestał do niego przychodzić...

I utopił swój problem w butelce, pomyślał Friendly. Machinalnie sięgnął po leżącą na rogu biurka gazetę i rozłożył ją, wpatrując się w nagłówek. Wstał.

– Dziękuję panu, doktorze. Myślę, że to, co pan powiedział, pomoże obalić teorię o zawale.

Doktor Fowler również podniósł się z miejsca. – Oczywiście, nie jestem nieomylny. Atak serca zawsze mógł się przytrafić. Ale spotkałby go po raz pierwszy. Mam nadzieję, że raczej nie bierze pan pod uwagę samobójstwa?

Abe Friendly słyszał go jakby z oddali. Zaciśnął gazetę w dłoniach, gniotąc brzegi. Jego błękitne oczy wpijały się w notkę na samym dole strony.

– Według mnie – mówił dalej doktor – Lloyd Worthington nigdy nie popełniłby...

Friendly poderwał głowę znad gazety. – Czy zna pan człowieka, który nazywa się Gregg Flanders?

– Flanders? – zdumiał się doktor wybity z kontekstu. – Nie, skąd. To nazwisko nic mi nie mówi. Czy ma coś wspólnego z tą sprawą?

Kapitan znów utkwiał zdumiony wzrok w gazecie. – „Samochód... sforsował barierkę zabezpieczającą na autostradzie i runął... na skały” – odczytał na głos z niedowierzaniem. – „Jest prawdopodobne, że ciało kierowcy zostało wyrzucone impetem upadku i wpadło do morza”. – Gdy Friendly ponownie spojrzął na doktora, ujrzał go jak za mgłą. – A więc nie zna go pan? Faktycznie, niby dlaczego miałby go pan znać. – Wciąż trzymając gazetę w ręku, kapitan ruszył do drzwi. – Muszę już iść. Jestem wdzięczny za pańską pomoc, doktorze Fowler.

Friendly na pożegnanie niezgrabnie potrząsnął dłonią doktora i wypadł na zewnątrz. Poczuł przelotny żal, że nie zdążył zaspokoić oczywistej ciekawości swojego rozmówcy.

**W**krótce po przyjeździe na posterunek policji Abe Friendly zastał Dillona rozpartego w fotelu za biurkiem, z igrającym na wargach uśmiechem samozadowolenia. Gdy kapitan rzucił przed nim gazetę na blat i wskazał palcem szokującą wzmiankę, z ust porucznika zniknął uśmiech, zastąpiony przez urzędowy wyraz twarzy.

– Jak się domyślam, Rod, to zasięgnąłeś już o tym języka – powiedział Friendly.

Dillon usiadł wyprostowany.

– Przysłali mi to od razu faksem – odparł energicznie. – Natychmiast zatelefonowałem do policji w San Diego. Mamy się z nimi spotkać w południe. Przy zerwanej barierce na autostradzie.

Kapitan z aprobatą skinął głową.

– Właśnie tak trzeba zrobić – potwierdził.

Dillon znów się uśmiechnął i dumnie wypiął szeroką pierś.

– Masz pecha, że musiałeś dziś rano zadawać się z lekarzami, Abe...  
– rzekł, siląc się na żartobliwy ton.

Friendly usiadł, gotów zdać relację ze spotkania z doktorem Fowlerem.

– ...bo mnie udało się w tym czasie zdobyć kilka bardzo interesujących faktów – dokończył niespiesznie porucznik.

Delektując się każdym szczegółem, opisał swoje poranne działania. W towarzystwie drugiego policjanta i eksperta od daktyloskopii Dillon przebadał każdy kąt sfatygowanego, starego domu Gregga Flandersa i okoliczne tereny.

– Inspekcja okazała się... satysfakcjonująca – podkreślił porucznik tajemniczo, pocierając wygoloną szczękę. Potem udali się we trójkę do Glorii Worthington, lecz nie było jej w domu. Dillon wysłał podwładnego po nakaz rewizji, po czym weszli do środka, kierując się prosto do pokoju właścicielki. – A dokładnie do jej toaletki – uściślił Dillon, prawie cmokając.

Spojrzał wyczekująco na kapitana. Friendly powstrzymywał swoją niecierpliwość wobec niepotrzebnie stwarzanego napięcia.

– I co znalazłeś? – zapytał bez emocji.

Twarz porucznika rozjaśnił uśmiech. – Cieszę się, że o to spytałeś, kapitanie.

Odchylił się w fotelu i wysunął środkową szufladę biurka. Jak magik, sięgający do kapelusza, włożył do środka rękę i wyjął przedmiot, który zamigotał w świetle lampy, wiszącej pod sufitem. Zahaścił błyskotką przed oczami Friendly'ego. Był to długi, wąski, nefrytowy kolczyk.

– Znalazłem to pod tapczanem w mieszkaniu Flandersa – oznajmił z dumą Dillon. – Drugi do kompletu leży w szufladce toaletki pani Worthington.

Friendly skręcał w palcach dewizkę od zegarka z poczuciem nieokreślonego niezadowolenia. – No cóż, to jeszcze jeden punkt dla oskarżenia. O ile kiedykolwiek do niego dojdzie.

Dillonowi zrzedła mina. To oczywiście, że oczekiwał na bardziej entuzjastyczną reakcję.

– Dostaliśmy z laboratorium raport odnośnie odcisków palców na łodzi – ciągnął, zgaszony. – Było ich niewiele, lecz wszystkie należały do Worthingtona. Zdaje się, że jakieś inne mogły zostać zatarte, ale to nic pewnego. – Nagle twarz porucznika ponownie się rozjaśniła. – My też znaleźliśmy coś jeszcze. A raczej czegoś *nie znaleźliśmy*, co jeszcze lepsze.

Nie było żadnych odcisków palców na klamce u drzwi frontowych i drzwi na tyłach domu Flandersa!

Spojrzenie Friendly'ego błysnęło zainteresowaniem. – Wytarte do czysta?

– Wytarte do czysta – potwierdził Dillon. – Ale po co, do diabła, Flanders miałby wycierać swoje własne odciski palców z drzwi własnego domu?! – Z entuzjastycznego wyrazu twarzy porucznika można było łatwo wyczytać, że sądzi, iż zna odpowiedź.

– Nie mam pojęcia – odparł dobrotliwie Friendly. – A ty?

Dillon z lekka wydał wargi i złożył dłonie w geście samozadowolenia.

– Myślę, że znam odpowiedź – oznajmił. – Według mnie Gloria Worthington była tam razem z Flandersem tuż przed morderstwem, żeby uzgodnić plan. Może właśnie wtedy zgubiła swój kolczyk. Myślę, że wychodzili razem i zarówno ona jak i Flanders zatarli swoje ślady.

Friendly z powątpiewaniem potrząsnął głową. – Nie podjąłbym się tego udowodnić. Czy znalazłeś jakiegokolwiek ślady pani Worthington *wewnątrz* budynku?

– Nie. Lecz były tam dowody świadczące, że inne miejsca również zostały wyczyszczone. Rzecz jasna, mogło to mieć miejsce podczas zwykłego sprzątania. Jednak odciski palców Flandersa znajdowały się w całym domu. Ale nie na *klamkach* u drzwi.

Friendly widział, że Dillon jest spragniony pochwały.

– To faktycznie podejrzane – rzekł z uznaniem. – Dobra robota.

Porucznik znów uśmiechnął się szeroko, zadowolony z siebie. Spojrzał nieco wyzywająco spod gęstych, czarnych brwi.

– Nie sądzę, aby doktor Fowler udzielił ci równie przydatnych informacji – powiedział z pewną protekcjonalnością.

Kapitanowi nie udzieliła się postawa porucznika. Rzeczowo zrelacjonował mu przebieg rozmowy z lekarzem.

Na sensacyjną wieść, że Lloyd Worthington nigdy nie miał zawału serca, Dillon z wolna poczerwieniał. A wyraz zawodu na jego twarzy przerodził się w kompletne zdumienie, gdy Friendly, z nutą smutku, podsumował:

– Wszystko sprowadza się do tego, że zaginiony mężczyzna to zwykły impotent i alkoholik.

Oślupiałe oczy Dillona patrzyły tępo w przestrzeń nad głową kapitana, gdy ten wymawiał słowa: „Impotent... alkoholik”. Porucznik bezwładnie kiwnął głową i wymamrotał strwożonym głosem:

– Mój Boże, to wszystko pasuje.

**O**dzzywali się do siebie sporadycznie, jadąc autostradą South Coast Highway do San Diego, oddalonego o półtorej godziny drogi. Lecz kiedy zbliżali się już do wyznaczonego punktu spotkania, Dillon w spontanicznym geście uniósł jedną rękę znad kierownicy i wykrzyknął:

– Abe, mamy wystarczająco dużo, żeby ją zatrzymać właśnie teraz!

Zaprzątnięty własnymi myślami, Friendly potrzebował chwili, żeby odpowiedzieć.

– Zabrać na przesłuchanie – owszem. Lecz jeśli zdecyduje się nadal milczeć, nigdy jej nie zaaresztujesz – stwierdził.

Dillon parsknął. – Według mnie w końcu się złamie. Pomyśl tylko, co mamy... – Wyliczył po kolei wszystkie swoje wnioski, jakby odczytywał listę zakupów: – Pani Worthington miała dość wiecznie zapijaczanego męża. Do tego była seksualnie wyposzczona. Jakoś – czy to na łodzi, czy wcześniej – ona i Flanders – albo może sam Flanders – zamordowali faceta. I Flanders położył łapę na zagrabionym majątku i się ulotnił, odkładając spotkanie z nią na później.

Kapitan Friendly patrzył prosto przed siebie przez przednią szybę, z twarzą niewzruszoną, jak granitowa płyta.

– Albo może wcale nie zamierzał się z nią spotkać – podsunął.

Dillon obrócił głowę. – Taki dwulicowy kombinator... – mruknął, smakując słowa. – To *całkiem* możliwe. Ale w takim razie gdzie są te wszystkie śliczne, zielone papierki? Sądzisz, że Flanders schował je gdzieś na później?

– Flanders może mieć pieniądze przy sobie – odparł Friendly, znużony. – W bankach powiedziano nam, że cała gotówka została wypłacona w tysiąc dolarowych banknotach. To nic trudnego dla jednej osoby, żeby je ze sobą nosić, podobnie jak akcje. A teraz, być może, to wszystko pływa sobie z rybkami.

- Wszystko możliwe. Zobaczymy, co znajdziemy na miejscu. Znaleźli więcej, niż oczekiwali.

Po pierwsze, zrozumieli, dlaczego jaguar nie odbił się od barierki z powrotem na szosę. Baryłkowaty szeryf, który wyszedł im na spotkanie, wytłumaczył, że samochód musiał przebić się w punkcie uszkodzonym już wcześniej i nie naprawionym od trzech dni. Po drugie – jako dodatek do sportowej wiatrówki Gregga Flandersa i dokumentów, potwierdzających jego tożsamość – otrzymali pokryty smugami wody kawałek papieru, który utwierdził ich w przekonaniu, że młody pisarz naprawdę nie żyje.

- Flanders nigdy nie zostawiłby tego w samochodzie, gdyby wyreżyserował wypadek – orzekł Dillon, gdy wracali do radiowozu.

Friendly zerknął na prostokątną kartkę, którą porucznik ostrożnie składał w chusteczce.

- Zgadzam się z tobą całkowicie – oświadczył.
- Wzywam ją dzisiaj – ciągnął Dillon. – Jeśli Flanders zginął, została mi tylko ona.
- Ja wciąż byłbym skłonny poczekać.
- A mnie już wystarczy. Poza tym uważam, że to może skłonić naszą damę do mówienia.

Kiedy powrócili na posterunek policji w Lagunie, Friendly zajrzał do swojego notesu i zauważył, że pozostał jeden człowiek, z którym nie udało mu się spotkać. Zadzwoił zatem do Angelo Miscii, pośrednika w handlu nieruchomościami, i dowiedział się o sprzedaży domu Worthingtonów. Dochód z niej stanowił część zaginionych stu czterdziestu tysięcy dolarów.

To było dla Dillona jak udekorowanie tortu lukrem.

Za dziesięć dziewięta w ten środowy wieczór porucznik Dillon i kapitan Friendly stanęli u drzwi wejściowych domu Glorii Worthington.

Abe Friendly uciszył jej wyraźne protesty najłagodniej, jak potrafił, jednak pozostał stanowczy, mówiąc: – Proszę wybaczyć, pani Worthington, ale porucznik Dillon musi zadać pani kilka dodatkowych pytań.



## 11.

Gloria Worthington siedziała sztywno na cienko wyściełanym, metalowym krześle przy staroświeckim wieszaku na kapelusze w biurze porucznika Dillona. Przez niemal pół godziny zachowała tę samą postawę, traktując porucznika z lodowatym lekceważeniem, zaś on odpłacał jej dokładnie tym samym, bębniąc niecierpliwie palcami w stertę papierów na biurku. Tylko jeden raz, odkąd Gloria została wprowadzona przez posterunkowego, Dillon okazał, że zauważył jej obecność – wtedy, kiedy podniósł słuchawkę dzwoniącego telefonu i rzucił szorstko: – Tak, Abe, ona tu jest, ale jeszcze nie ma adwokata. Facet się spóźnia.

Nie schylając głowy, Gloria zerknęła w dół, na swoją rękę, ściskającą mimowolnie rąbek cytrynowożółtej sukienki. Złoty zegarek na przegubie wskazywał, że właśnie minęła pierwsza po południu. *Co mogło go zatrzymać...?*

Bez uprzedzenia matowo oszklone drzwi nagle otwały się na oścież i do gabinetu wtargnęło całkiem niespodziewane zjawisko. Na pierwszy rzut oka, ku zdumieniu Glorii, tę karykaturalną postać można było oddać w kilku prostych kreskach: olbrzymie koła okularów w czarnych oprawkach, długi pionowy łuk nosa i maleńka krzywizna podbródka. Kilka wąskich pociągnięć pędzla, żeby zaznaczyć sylwetkę, i parę zdecydowanych kresek, określających osobowość – sto dwadzieścia funtów dynamitu.

Człowiek ten zdawał się wibrować, gdy tak stał, oparty plecami o zamknięte drzwi, trzymając pod pachą aktówkę, która wydawała się ogromna przy garniturze, szytym na miarę chłopięcego mundurka. Poprawił okulary, żeby popatrzeć na Glorię.

– Seth Spiegel. Adwokat – przedstawił się piskliwym głosem z nutką dumy.

Gloria obdarzyła go słabym, niepewnym uśmiechem, myśląc: *O mój Boże, jakiś cholerny sęp!* Rzuciła ukradkowe spojrzenie na Dillona, który obcinał maleńkiego prawnika wzrokiem, będącym mieszanką niedowierzania i pogardy.

Seth Spiegal zignorował porucznika i sprężystym krokiem podszedł do kobiety, taksując ją od stóp do głów z niekłamany podziwem.

– Pani Gloria Worthington?

Przytaknęła, oniemiała, a on uśmiechnął się od ucha do ucha, ukazując garnitur zaskakująco białych zębów.

– To pięknie. – Wskazał kciukiem w stronę biurka. – A to ten łaps, który uparł się, żeby panią zapuszkować?

– Chwileczkę, panie... panie...! – Dillon na wpół uniósł się z krzesła z groźnym błyskiem w oczach.

– Nazywam się Seth Spiegal – cicho rzucił adwokat przez ramię. – Trudno zapamiętać, nie?

– No dobra, Spiegal. Żaden cholerny, marny adwokacina nie będzie mi tu...

– Ho, ho! – Spiegal w końcu spojrzął na niego z fałszywie przymiłym uśmiechem. – To pan musi być *tym* słynnym porucznikiem, Rodneyem Dillonem. A wkrótce *kapitanem* Dillonem. Cholernie miło z pana strony, że pozwolił mi pan skorzystać ze swojego biura, kapitanie.

Glorię ogarnął przypływ wesołości na widok wyrazu niezdecydowania, jaki pojawił się w oczach porucznika. Policjant niezgrabnie wstał z krzesła i ociężale poczłapał do drzwi, unikając dobrotliwego spojrzenia Spiegala.

– Odszczeka pan to „zapuszkowanie”, Spiegal, gdy się pan dowie, co na nią mamy – rzekł na odchodnym ponuro i wyszedł, mocno zatrzaskując za sobą drzwi.

Spiegal rzucił aktówkę na biurko i przysiadł obok na blacie, jak mały wróbel. Przeczesał palcami kilka rzadkich, czarnych kosmyków na głowie, jakby to była szopa bujnych loków, i znów obrzucił Glorię pełnym uwielbienia wzrokiem.

– Jesteś piękna – oświadczył bez ogródek. – Ale jest to dla nas raczej przeszkoda. Może jednak nie będziesz musiała stawać przed ławą przysięgłych.

Gloria popatrzyła na niego z wymuszoną tolerancją. Seth Spiegal wydawał się jej tylko jeszcze jednym, absurdalnym ogniwiem w łańcuchu spotykających ją nieszczęść – komiczny elegancik, łasy na szybki zysk.

– Nawet nie mam pojęcia, kiedy pan w ogóle tu dotarł – podkreśliła z wymówką, jakby beształa dziecko.

Gęste brwi Spiegala uniosły się ponad oprawki okularów.

– Chodzi ci o to, gdzie się, u diabła, podziewałem. – Beztrasko wzruszył ramionami i rozłożył ręce. – Już ci to wyjaśniam. Wczorajszego wieczora wezwał mnie Bill Torrance i oświadczył, że chce, żebyś wyszła za kaucją. Zapytałem, o co dokładnie chodzi, Bill – a znam go od lat – zapoznał mnie ze sprawą. – Tu Spiegala niewinnie się uśmiechnął. – Doradziłem mu, że lepiej zostawić cię w areszcie.

– *Co?!*

Spiegala lekceważąco machnął ręką. – Psychologia. Z tego, co powiedział mi Bill Torrance, wywnioskowałem, że miejscowi gliniarze mogą mieć w zanadru prawdziwą tykającą bombę zegarową. O ile mam rację, wiedzą więcej, niż są skłonni powiedzieć. Jeśli tak jest, pozwolą ci nocować we własnym domu, lecz postawią na straży swojego wartownika. Bez żadnych formalnych zarzutów. – Zacisnął usta i skinął głową. – Będą więc musieli to umotywować.

Gloria przypomniała sobie, że to Abe Friendly zasugerował w końcu, iż zezwólą jej pozostać w domu. Dillon wyglądał na zaskoczonego. A zdumiał się jeszcze bardziej w mieszkaniu Glorii, kiedy zadyndał jej przed nosem znalezionym kolczykiem, a ona natychmiast zażądała adwokata. Zadzwoiła do Billa Torrance'a, maklera Lloyda, który współpracował z jej mężem w przeszłości, kiedy to handlowali samochodami. Bill obiecał, że przyśle jej specjalistę od spraw karnych z Los Angeles. Teraz, patrząc na sylwetkę postaci, która przypominała jakiś śmieszny bohomasz na szkolnej ławce, Gloria pomyślała, że *Bill musiał chyba stracić rozum*.

– Najwyraźniej oni są zdania, że *mogą* umotywować zatrzymanie mnie tutaj – odparła ze złością.

Spiegala zeskoczył na podłogę jak baletmistrz. Zdjął swoje monstrialne okulary i z furią zamachał nimi w powietrzu.

– W takim razie nieźle się z tym nauzerają, Glorio. Przyjechałem tu z Los Angeles dziś rano, przed ósmą i wykonałem z miejsca kilka telefonów. Która jest teraz? – Podciągnął mankiet i zerknął na zegarek. – Pierwsza trzydzieści. No, cóż, przez prawie pięć i pół godziny – nie licząc czasu na zjedzenie bajgla i wędzonego łososia – węszyłem dookoła, a mam do tego nosa. – Błyskawicznie sięgnął do kieszonki na piersi, wyjął

niewielki notesik i otworzył go jednym ruchem. – Bill Torrance... Wspomniały facet, co? Choć można by pomyśleć, że Torrance chce cię załatwić, biorąc pod uwagę, jak się zapatruje na ten twój związek z Lloydem. – Spiegal podniósł rękę, gdy Gloria zaczęła protestować. – Później, później. W każdym razie zrobiłem kawał dobrej roboty dla Billa Torrance'a – a także dla twojego męża – już kiedyś, dawno temu. Bill powtórzył mi wszystko, co mu powiedziałaś. Posłuchaj, z kim jeszcze rozmawiałem. Miscia, facet od nieruchomości. Conklin, od jaguara. Sievers – ten szmondak – i Malone, chłopaki z banku. Ktoś jeszcze?

Mimo jego niepozornego wyglądu, Gloria była pod wrażeniem. Nagle odniosła też wrażenie, że jest mniej osamotniona.

– No cóż, jest jeszcze Winifreda Colby, moja sąsiadka – podsunęła.

– Widzę się z nią za pół godziny.

Spiegal wcisnął okulary z powrotem na swój kościsty nos i wlepił wzrok w Glorię, wysuwając twarz do przodu. Trwał tak bez ruchu, nie mówiąc ani słowa, z uśmieškciem, zastygłym na ustach – czekał. Poczowała się jak preparat na szkiełku mikroskopowym.

Poruszyła się niespokojnie na niewygodnym krześle.

– Zapewne... słyszał pan już o Greggu Flandersie? – zapytała drżącym głosem.

Uśmiechnął się szerzej z aprobatą. – Tylko to, co wiedzą pismaki z gazet. Myślę, że lepiej będzie, jeśli poruszymy to zaraz. Chcę przekazać całe sprawozdanie z tej sprawy do biura prokuratora okręgowego dziś po południu, przed piątą.

Gloria bała się tego tematu jak ognia, odkąd Bill Torrance zaproponował, że przyśle jej adwokata. Opowiedziała Billowi o jaguarze (tłumacząc, że Lloyd nalegał, żeby Gregg z niego skorzystał), podobnie jak o pieniądzach, akcjach i domu. Rzecz jasna, nie wspomniała o liście od Gregga i swojej nieszczęsnej, ryzykanckiej odpowiedzi. Rozważała, czy nie wspomnieć o tym Sethowi Spiegalowi, zdając sobie sprawę, że nie powinna mieć tajemnic przed swoim adwokatem. Ta myśl przepełniła ją jednak strachem i szybko zdecydowała, że lepiej tego nie robić. Przyznanie się do winy mogło sprawić, że adwokat odmówi prowadzenia jej sprawy – chociaż, zgodnie z tym, co usłyszała od Bilia, Spiegal z powodzeniem wybronił bandę opryszków. („A co dopiero może zrobić dla tak niewinnej

klientki jak ty?” – dodał Bill pospiesznie). I po co poruszać coś, o czym z pewnością policja nie miała pojęcia?

Spiegal wciąż cierpliwie wpatrywał się w Głorię. Teraz próbował ją zachęcić.

– Jak to mawiają w filmach, czy Gregg Flanders był dla ciebie kimś więcej niż tylko przyjacielem? – podszeptał.

Gloria mimowolnie zacisnęła zęby.

– Był tylko przyjacielem – syknęła w odpowiedzi.

Spiegal obrócił się i oddalił o kilka kroków.

– Znam Lloyda całkiem nieźle – co za facet – jaka charyzma! Lecz, mimo wszystko, jest sporo od ciebie starszy. – Okręcił się na pięcie, kiwając kościstym palcem. – Prokurator okręgowy spróbuje wyciągnąć z tego jakiegoś wnioski.

– Nic na to nie poradzę! – odparła podniesionym z oburzenia głosem.

Spiegal przechylił głowę, zerkając na Głorię spoza okularów. – Czy Flanders często cię odwiedzał?

– Lubił rozmawiać z moim mężem, a mój mąż z nim. Wypili razem kilka drinków.

Adwokat pacnął się w czoło wierzchem dłoni. – Kilka drinków? O ile go znałem, Lloyd z łatwością potrafił wydoić całą butelkę za jednym zamachem. To chłop jak dąb. Sądzę jednak, że musiał dać sobie z tym spokój, kiedy wysiadła mu pompka.

– No cóż, jak widać, gdy już doszedł do siebie po ataku serca, zaczął znów pić. Ale bez przesady.

Spiegal skrzyżował ręce na piersi i wtulił głowę w ramiona, najwyraźniej pogrążony w zadumie. Popatrywał na Głorię jak jakaś dziwaczna sowa i jej złe przecucia co do niego powróciły.

– Cóż, sądzą, że teoria o ataku serca jest dobra jak każda inna – rzekł w końcu adwokat rozważnie. Chwyił się dłonią za pierś. – Nagły zawał. – Gwałtownie oderwał rękę i machnął w bok. – A potem „chlup” za burtę. – Zauważył, że Gloria zadrżała. Przyskoczył i objął ją ramieniem. – Jezu, przepraszam. To musi być dla ciebie koszmar.

Dzwoniło jej w uszach, więc rozmasowała skronie.

– Ja... zaraz się pozbieram – szepnęła.

Spiegel odczekał chwilę, po czym rzekł: – Jeszcze jednej rzeczy muszę się dowiedzieć. – Zażenowany, wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ale weź się w garść, to bardzo osobiste pytanie. Czy ty i Lloyd żyliście ze sobą jak mąż z żoną?

Pomimo strachu i wyczerpania Gloria zdobyła się na słaby uśmiech.

– Mieliśmy *oddzielne* sypialnie.

– O? – Zbliżył twarz do jej twarzy, a jego oczy wydawały się ogromne za grubymi soczewkami.

Skromnie spuściła wzrok na swoje splecione dłonie.

– To zaczęło się po jego zawale – żeby mógł należycie odpocząć – i już tak zostało. Ale kiedy wydobrał, dużo krążył między jedną sypialnią a drugą.

Spiegel gwałtownie się wyprostował, z wyrazem ulgi na twarzy.

– Moje gratulacje. To ten powolny powrót do normalnego życia musiał go tak dobić. – Wydał swoją kurzą pierś. – Tylko spójrz na mnie. Chudy, mały sukinsyn. Po pięćdziesiątce. Ale wciąż jurny, jak byk.

Po raz pierwszy od wielu dni Gloria wybuchnęła śmiechem. I prawie natychmiast śmiech zamienił się w łzy. Zakryła twarz rękami i cichutko chlipała.

– Na pewno – rzekł Spiegel ze zrozumieniem – było to dla ciebie ciężkie doświadczenie.

W milczeniu obserwował pęknięty tynk na suficie, aż przestała płakać i otarła oczy. Wtedy spytał: – Kto jest lekarzem Lloyda? Jestem pewien, że Dillon już skontaktował się z tym człowiekiem, więc będzie lepiej, jeśli też to zrobię.

Gloria przekazała mu nazwisko i namiary, a on zapisał to w notesie.

– A teraz, co do tego kolczyka – nefrytowego, nieprawdaż? Unikalne cacko, więc nie możemy zasugerować, że zgubiła go jakaś lala, z którą kiedyś zabawiał się Flanders.

Te słowa boleśnie ubodły Glorię i zważyła, czy kiedykolwiek zdoła uwolnić się od fizycznej żądz, jaką wzbudzał w niej Gregg.

– Kolczyk należy do mnie, to fakt. Nie dawało mi to spokoju i długo zachodziłam w głowę, jak mógł się tam znaleźć. W domu Gregga Flandersa byłam tylko raz – wyjaśniła. Było to wtedy, kiedy Gregg zwiął do

Meksyku, chcąc ją ukarać za to, że sprzeciwiała się planowanemu przez niego morderstwu. O tym nie wspomniała, dodała tylko: – Nie wpadał do nas z wizytą przez dłuższy czas i Lloyd poprosił, żebym poszła i sprawdziła, czy nasz sąsiad nie zachorował. Zrobiłam tak, ale nie było go w domu. Drzwi zostawił otwarte – nikt tutaj ich nie zamyka – więc weszłam do środka, usiadłam na tapczanie i zapaliłam papierosa, myśląc, że wkrótce wróci. Okazało się jednak, że wyjechał do Meksyku. W każdym razie był to jedyny moment, kiedy mogłam zgubić kolczyk.

Seth Spiegel został jeszcze piętnaście minut, analizując to, czego dowiedział się tego ranka i zestawiając to z faktami, które przekazała mu Gloria.

– To powinno wystarczyć – zdecydował na koniec.

Podczas całego tego przesłuchania Gloria zastanawiała się nad opinią Spiegala o jej winie lub niewinności.

– Hm... A czy według *pana* jestem winna? – zapytała, udając obojętność.

– Mój klient *nigdy* nie jest winny. – Spiegel skończył bazgrać coś w swoim notesiku i schował go do kieszeni. – A teraz do rzeczy. Dziś po południu zadzwonię do Nelsona Brinkmana, prokuratora okręgowego. Przekażę mu, że jeśli nie chce wyjść na głupca przed koronerem, kiedy ten będzie ustalał przyczynę zgonu, to niech spotka się z nami o wpół do piątej w swoim biurze. Myślę, że się zgodzi – miałem już wcześniej do czynienia z nieustraszonym Nelsonem, a on nie chce, aby przytrafił mu się jakiś blamaż na drodze do fotela gubernatora. Dillon nie będzie zadowolony, ale na to pójdzie, ponieważ potrzebuje wsparcia prokuratora okręgowego, żeby utrzymać na stałe stanowisko szefa policji. Ty też tam będziesz – stawisz czoła swoim oskarżycielom. I od chwili, kiedy sąd wyjdę, chcę, żebyś nieustannie zaczęła powtarzać sobie w myśli cztery słowa. Te słowa brzmią: „Basta, ani słowa więcej”. Wytnij „basta” i zostaną ci tylko trzy słowa do zapamiętania. Ja będę mówił wszystko. Bez względu na to, co oni powiedzą – nawet jeśli nazwą cię dziwką – ani słowa więcej. – Posłał jej szybki uśmiech. – Kapujesz, Glorio?

Poczuła, jak jej serce tłucze się o zebra.

– Tak, kapuję.

– Pozwolimy mówić najpierw im – żeby sprawdzić, co mają. Może kryją w zanadrzu jedną czy dwie niespodzianki.

*Tylko nie to, litości!* – pomyślała Gloria, lecz na głos powiedziała: – To oznacza, że kapitan Friendly prawdopodobnie również tam będzie.

Spiegel zamarł w drzwiach. – Friendly? Abe Friendly?

– Tak, on. Przyjechał tu na urlop i współpracuje z Dillonem.

– Na litość boską. Stara, kamienna twarz. Prawdziwy cwaniak. – Spiegel żuł przez moment dolną wargę. – Nie, nie sądzę, by nasz dobry porucznik miał zaciągnąć tam kapitana Abrahama Friendly. Dillon ma w sobie zbyt wiele cholernej pychy, by przybyć do biura Brinkmana w asyście wielkemiejskiego gliny, tym bardziej że Friendly jest poza obszarem swojej jurysdykcji. – Skrzywił się. – Być może w tym tkwi jakiś haczyk na nas. Pomyślę o tym.

Gdy za Spiegalem zamknęły się drzwi, Gloria usiadła w kompletnym bezruchu, przytłoczona przez poczucie strasznej beznadziei. Co za groteskowego pogromcę smoków wybrał dla niej Bill Torrance! Nadawałby się, gdyby chodziło o załatwienie kaucji dla bukmachera, lecz bronić ją przed oskarżeniem o morderstwo – *Boże, nie!*

Jedno też zdanie Spiegala powracało wciąż w myślach Glorii, napawając ją przerażeniem: „Można by pomyśleć, że Torrance chce cię załatwić, biorąc pod uwagę, jak się zapatruje na ten twój związek z Lloydem”.

*Mój Boże – czyżby właśnie dlatego najlepszy przyjaciel Lloyda wynajął Seta Spiegala?*

## 12.

**B**iuro prokuratora okręgowego Nelsona Brinkmana było czworokątnym pomieszczeniem, wykładanym dębową boazerią, w którym panowała duszna, lepka od upału atmosfera. Żaden powiew świeżego powietrza nie poruszał drapowanych, ciemnozielonych zasłon w przestronnych oknach, otwartych na oścież. Z zewnątrz napływał zapach świeżo skoszonej trawy i dobiegał warkot zraszaczy, spryskujących rozległe trawniki przed gmachem sądu, oraz brzęczenie pszczoł, uwijających się wśród krzewów bugenwilli.



Gloria Worthington siedziała spięta na krześle z drewna orzechowego, ściskając w splecionych dłoniach zmiętą, wilgotną od potu chusteczkę i dumiała, jak bardzo taka oprawa nie pasuje do dyskusji na temat morderstwa. Nawet trzech mężczyzn, mających w pewien sposób zdecydować o jej losie, tutaj, czy później, w sądzie, sprawiało wrażenie zupełnie pozbawionych agresji. Seth Spiegel, zagrzebany w olbrzymim, skórzanym fotelu, przybrał pozę doskonale nonszalancką. Porucznik Dillon, pochylony w podobnym fotelu, ze stoicką obojętnością kontemplował włochatą, beżową wykładzinę na podłodze. Nelson Brinkman, siedząc naprzeciwko przy masywnym biurku, od niechcenia przesuwając obsadką złotego pióra po pliku jakichś prawniczych dokumentów. Jej obecność przed prokuratorem okręgowym sama w sobie sugerowała, że to naprawdę jest tylko spotkanie pełnych współczucia, kulturalnych ludzi, którzy zebrali się, aby wymienić poglądy na temat niezwykle przygnębiających okoliczności. Brinkman, wyprężony i emanujący dobroduszością, uściśnął jej drżącą rękę w obu dłoniach i głosem ociekającym słodyczą wyraził swój „niewypowiedziany żal” z powodu zaginięcia jej męża.

Gloria była wdzięczna, nawet jeśli powzięła podejrzenie, że jest to zwykła procedura, stosowana wobec wszystkich przybywających do biura interesantów. Rozglądając się po sali, znalazła potwierdzenie swoich przypuszczeń na fotografiach, eksponowanych na wywoskowanych do połysku ścianach. Brinkman z poprzednim kandydatem na prezydenta; Brinkman z potentatem z branży filmowej; Brinkman z szanowanym przywódcą związkowym; Brinkman z przemysłowcem z pierwszych stron gazet; Brinkman w towarzystwie wybitnego fizyka – i tak dalej, i tak dalej, pełen przekrój postaci o nieposzlakowanej opinii z różnych grup społecznych.

Ciche chrząknięcie zwróciło jej uwagę na osobę samego prokuratora. Nelson Brinkman delikatnie odłożył pióro z powrotem na onyksową podstawkę i powiódł wokół skruszonym spojrzeniem. Gdy przeproszał za opóźnienie spotkania, wyglądał, zwłaszcza dla Glorii, jak każdy hollywoodzki kierownik od castingu, szukający kandydata na wysokie stanowisko: przedwcześnie posiwiałe, zaczesane w tył włosy, wysokie czoło, błękitne oczy, emanujące życzliwą bezstronnością, szlachetny kształt nosa i zarys szczęki, znamionujący męską determinację.

– Zatem przystąpmy do sprawy – rozpoczął donośnie Nelson Brinkman. Skinął na Seta Spiegala, który wciąż siedział, leniwie zwinięty, w wielkim, obitym skórą fotelu. – Może pan zechce otworzyć dyskusję, panie Spiegale?

Seth Spiegale rozwinął się jak sprężyna, aż okulary zachybotwały na jego wydatnym nosie, a twarz wydłużyła się z udawanego zdziwienia. Zsunął się na krawędź fotela.

– Ależ dziękuję, panie Brinkman, lecz najpierw, jak myślę, powinny zostać wysunięte przeciw mojej klientce jakieś zarzuty. – Posłał uprzejmy uśmiech w stronę Dillona, który dalej obserwował dywanową wykładzinę. – Jak się domyślam, to pan zapewne wyszedł z propozycją tego spotkania, kapitanie... przepraszam – poruczniku.

Gloria ujrzała, jak ciemny rumieniec okrywa byczy kark Dillona, widoczny nad niebieskim kołnierzykiem. Spiegale dawał do zrozumienia, że to porucznik był inspiratorem spotkania.

– Ależ nie – zaprotestował obrończo Dillon, zwracając się do prokuratora. – Nie ma jak dotąd żadnych *formalnych* zarzutów. Jednak moim zdaniem istnieją wystarczające dowody, by przekonać nasze biuro koronera odnośnie przyczyny zgonu, że została popełniona zbrodnia.

– Wobec tego idziemy tam – z aprobatą wtrącił Spiegale, patrząc na kamienny profil policjanta. – Od razu. Jestem całkowicie za uniknięciem niepotrzebnej zwłoki, w myśl Konstytucji.

Nie spuszczać oka z Brinkmana, Dillon odparł z lodowatą rezerwą: – Nie ja zwołałem to spotkanie, panie Spiegale. To *pana* sprawa.

Seth Spiegale znieacka porzucił swoją przymilnie ugodową postawę. Skoczył na równe nogi, czyniąc ręką dramatyczny gest.

– *Aj waj!* Czemuż *nie miałbym* go zwołać! Gdybym tego nie zrobił, pograżyłyby pan tę biedną kobietę już na komendzie policji, smażąc ją na wolnym ogniu, jak jakąś pospolitą oszustkę – tu popatrzył ufnie na Brinkmana – pozbawiając ją opieki prawnej, której prokurator okręgowy zawsze powinien przestrzegać. – Wycelowwał środkowy palec w stronę Dillona, który teraz wytrzeszczył oczy z niedowierzaniem. – Pan chce pogrywać znaczonymi kartami, poruczniku.

Chce pan mieć pewność, że pograżył pan tę kobietę – być może wdowę

– zanim stanie ona przed sądem i zacznie zeznawać pod przysięgą

Gloria bezwiednie zacisnęła palce na poręczy krzesła, widząc, jak niebywała odmiana nastąpiła w Spiegalu, gdy wkroczył do akcji. Wyrażał się bardziej precyzyjnie i – mimo swojego mikrego wzrostu – wykazywał zdolności przywódcze. Przez dłuższą chwilę to Dillon wydawał się zapędzony w kąt, kiedy prawie uniósł się z miejsca, mruczając coś niezrozumiale pod nosem.

Opadł jednak z powrotem na krzesło i wziął głęboki oddech.

– Pani Worthington została pouczona o swoich prawach – oświadczył pośpiesznie.

Spiegel opuścił rękę szerokim gestem.

– Za to pani Worthington uprzejmie panu dziękuje – odparł pompacyjnie. – Od tego ma mnie – aby się przekonać, że wyegzekwuję każde z nich, co do jednego. – Okręcił się na pięcie i ponownie zapadł w wielkim fotelu.

Brinkman niecierpliwie przesunął ręką po siwych włosach. – Poruczniku Dillon, czemu nam pan po prostu nie przedstawi tego, co pan ma – a już my ocenimy, czy miał miejsce wypadek, czy nie. Co dokładnie chce pan udowodnić – jakiś zarzut?

Dillon spojrział na niego niepewnie. – Czy mam przedstawić wszystko tak, jak ja to widzę, czy pozostać jedynie przy ustalonych dowodach?

Prokurator wydadł wargi. – No cóż, naturalnie proszę jednak o te ustalone...

– Ależ czemu porucznik Dillon nie ma przedstawić tego tak, jak to widzi, panie Brinkman? – wtrącił Spiegel. – I uzupełnić ustalonymi dowodami na poparcie jego tezy? W ten sposób otrzymamy spójny obraz całej sytuacji.

Prokurator okręgowy spojrział na niego podejrzliwie. Spiegel odpowiedział niewinnym uśmiechem. Brinkman dał znak Dillonowi, by kontynuował.

Porucznik przesunął dłonią po kwadratowej szczęcie, pokrytej czarnym, kilkudniowym zarostem.

– Według naszych przypuszczalnych ustaleń Lloyd Worthington został zamordowany, a następnie okradziony. – Rzucił okiem na Głorię, a potem na Spiegala. Żadnej reakcji. Ważąc każdą sylabę, dodał: – Ten

czyn popełnili, działający w komitywie, Gregg Flanders i Gloria Worthington.

Gloria, mimo że spodziewała się podobnych słów, doznała silnego wstrząsu. Mgliście zauważyła, że Seth Spiegal z ostentacyjną obojętnością wyskubuje coś z wyłogów ciemnej marynarki.

– Wreszcie mamy oskarżenie – rzucił lekko. – Przypuszczam, że je pan rozwinie, poruczniku.

Taka zachęta wzmocniła w policjancie pewność siebie, co uwidoczniło się w wyrazie jego twarzy. Jego głos również nabrał mocy.

– Podejrzewamy, że w ubiegły poniedziałek, wcześniej rano, Lloyd Worthington był martwy lub nieprzytomny, *zanim* trafił na pokład swojej łodzi. Pani Winifreda Colby, sąsiadka Gregga Flandersa, widziała tego ranka mężczyznę, taszczonego na plecach coś, co określiła jako wypchany śpiwór lub torbę. Podejrzewamy, że w rzeczywistości było to ciało Lloyda Worthingtona, a człowiekiem, który je taszczył, był wspomniany Gregg Flanders. I Flanders wrzucił potem to ciało do morza. Następnie o własnych siłach dopłynął z powrotem na plażę i wrócił do domu, by kontynuować to, co przypuszczalnie robił przez całą noc – pisanie na maszynie. Flanders...

Dillon nagle urwał, gdyż przeszkodził mu słaby, piskliwy jęk. Gloria ledwie zdawała sobie sprawę, że dźwięk ten wymknął się z jej własnych ust, tak była obezwładniona przerażeniem, które gdzieś na krańcach świadomości przerodziło się w słowa: *On wszystko wie, co do najdrobniejszego szczegółu. Chce mnie skazać. Mój Boże, jak mogliśmy nawet pomyśleć, że wyjdziemy z tego cało?*

Seth Spiegal już był tuż obok, usłużnie podsuwając jej szklankę z wodą do ust. Pijąc łąpczywie, Gloria usłyszała, jak prawnik mówi:

– To nic dziwnego. Ta kobieta przeszła istną gehennę.

– Naturalnie – przyznał Brinkman, lecz w jego głosie brzmiała nutka zadumy.

– Naturalnie – powtórzył Dillon, tonem nie pozbawionym sarkazmu.

Gloria zwróciła szklankę Spiegalowi, czując, jakby dopiero co wyjęto jej rękę z gipsu. Poprawiła jasne włosy i dopiero wtedy ściany sali wróciły na swoje miejsce, a jej puls zwolnił.

– Już mi lepiej – szepnęła bezdźwięcznie.

Brinkman odczekał jeszcze chwilę.

– Może pan kontynuować, poruczniku – zezwolił uroczyście.

Dillon ciągnął dalej, nieco cichszym, lecz triumfalnym tonem. – Flanders zabrał ze sobą gotówkę i akcje ukradzione z sejfu w kabinie łodzi, choć możliwe, że znalazł je przy ciele samego Worthingtona. Gotówki było sto czterdzieści tysięcy dolarów w tysiąc dolarowych banknotach, zaś wartość akcji opiewała na ponad sto tysięcy dolarów. – Podliczył to, kładąc nacisk na każde słowo: – *Prawie ćwierć miliona dolarów*. Korzystając z samochodu pani Worthington, jaguara X-KE, Flanders się stąd ulotnił, planując, że z jego właścicielką spotka się później. Według naszych przypuszczalnych ustaleń Flandersa i panią Worthington łączył romans. Oczywiście, jak nam wszystkim wiadomo, ich spotkanie stało się niemożliwe, gdyż Flanders, jadąc samochodem, wypadł z autostrady i zginął na miejscu.

Na sali zapadła głucha cisza. Dillon wyzywającym spojrzeniem mierzył Seta Spiegala. Mały adwokat bez emocji obejrzał się przez ramię, jakby z premedytacją chciał przedłużyć panujące milczenie. Następnie ze znużeniem dźwignął się z fotela i podszedł do krawędzi biurka, aby stanąć dokładnie na wprost Glorii.

Zdruzgotana podniosła na niego spojrzenie, wyrażające całkowitą bezradność.

Szklą okularów Spiegala zabłyśły, gdy prawnik, przesuwając wzrokiem po twarzach trzech mężczyzn, wycelował go w końcu w Dillona.

– Poruczniku... – szepnęła z rezygnacją. – Sądzę, że zasłużył pan na pochwałę za to, jak wywiódł pan swoją tezę.

Widząc na twarzy Dillona wyraz zdumionej satysfakcji, Gloria pomyślała: „Oto nadchodzi – początek końca...”

Spiegel wyprostował się, jakby nagle podłączono go do sieci elektrycznej. A potem wyrzucił jednym tchem:

– Myślę, że ma pan absolutną rację co do faktu, że to Gregg Flanders zamordował Lloyda Worthingtona!

Gloria, niezdolna wymówić słowa, rzuciła się w przód. „Skurwiel!” – wyzywała w myśli Spiegala. „Skurwiel!” – wyzywała nieobecnego Billa Torrance'a.

Dillon uciekł wzrokiem w bok. Jego usta były szeroko otwarte z osłupienia.

– Cieszy mnie, że pan się zgadza – wykrztusił, gdy ochłonął. Znów

zaczął przybierać postawę zadowolonego z siebie stróża prawa, gdy próbował zwrócić na siebie wzrok Brinkmana. Tymczasem prokurator okręgowy patrzył z namysłem na Spiegala.

– O, tak – ciągnął mały adwokat gawędziarskim tonem – z tego, co udało mi się ustalić, Flanders postawił sobie za cel urobienie Worthingtona. Młody Flanders był praktycznie spłukany i nie miał żadnych perspektyw, by zdobyć nędzne kilka centów. Lecz wiedział, że Worthington jest nadziany. A zatem opowiadał mu cuda niewidy o urokach Hawajów – miejscu, gdzie Worthington już raz kiedyś był. To był cholernie przekonujący facet, ten Gregg Flanders. I nie działał sam. Czy wiedział pan, poruczniku Dillon, że udzielił poufnej informacji Miscii – pośrednikowi od nieruchomości – zachwalając Lloyda Worthingtona jako kurę znoszącą złote jaja?

Dillon wyglądał na lekko zawiedzionego. – Hm, nie... Prawdę mówiąc, nic o tym nie wiedziałem.

Czy to prawda? Gloria pogrzyżyła się w zadumie. Czy to Gregg zainspirował sprzedaż domu w związku z przyspieszeniem swojego planu zabójstwa, aby jednocześnie powiększyć jeszcze swój zysk? A w ogóle – czy to ma teraz znaczenie?

– Słyszałem to z ust samego Miscii – rzekł Spiegala z przekonaniem. – Że biorąc pod uwagę, jak pazerny na kasę był Flanders, dziwne, iż nie połaşczył się na jakąś prowizję ze sprzedaży domu.

Lecz po co się o to martwić, skoro mógł zgarnąć *cały* szmal. – Spiegala potrząsnął głową, jakby ubolewając nad ludzkim skąpstwem. – No dobrze, proszę mówić dalej, poruczniku. Jestem pewien, że zna pan wiele faktów, potwierdzających winę Flandersa.

Dillon niespokojnie poruszył się w fotelu. Patrząc na niego, Gloria zaczęła pojmować, że obecnie nic nie idzie po jego myśli. Spiegala postanowił odpowiednio nastawić Dillona do Flandersa, zanim będzie mógł się nią zająć.

– Tak właściwie to sama kradzież jaguara jest wystarczającym dowodem – odparł policjant.

Adwokat zabębnił palcami po krawędzi biurka. – Jednak pani Worthington powiedziała, że jej mąż *pożyczył* Flandersowi samochód, chyba nawet *nalegał*, żeby z niego skorzystał.

– Nie wierzymy w to. Podejrzewamy...

- Nie ma o co się spierać – uciął Spiegala. – Co jeszcze?
- Krew, ślady krwi na łodzi – dorzucił porucznik z większą pewnością siebie.

Brwi prawnika uniosły się ponad oprawkami okularów. – Krew? Nic o tym nie słyszałem.

Serce zamarło jej w piersi, gdy Gloria przypomniała sobie wzmiankę z listu, że Lloyd walnął Gregga w nos.

– Podejrzewamy, że to krew Flandersa – ciągnął Dillon. – Nieduża plama na relingu. Z pewnością wywiązała się bójka, zanim Worthington został wyrzucony za burtę albo przed tym zabity. Grupa krwi się zgadza – sprawdziliśmy to w dokumentach Flandersa. To potwierdza, że Fladers był na pokładzie łodzi Worthingtona.

- Jaka to grupa?
- Zero. Lloyd Worthington miał inną grupę krwi.
- Hmm... Co jeszcze? – Po twarzy Spiegala przemknął cień znudzenia. Przybrał niedbałą postawę, opierając się o biurko.

Chytry uśmieszek na wargach Dillona wskazywał, że doprowadził rozmowę do momentu, na który czekał od początku. Delektując się każdym słowem, oznajmił:

– Jest jeszcze list, który Flanders wysłał do Glorii Worthington z San Diego.

Gloria zasłoniła usta ręką, żeby stłumić krzyk. Ujrzała, że Spiegala zamrugał gwałtownie za szklami olbrzymich okularów. Poza tym sprawiał wrażenie niewzruszonego.

- Wie pan o liście... – rzekł po krótkiej chwili.
- Tak – i to nie wszystko. Chodzi o to, że...
- Chwileczkę, poruczniku – wpadł mu w słowo Brinkman. – Czy ma pan ten list? Myślę, że mamy prawo go zobaczyć.

Gloria odniosła wrażenie, że Seth Spiegala, podobnie jak ona, wstrzymuje oddech.

– Nie mam listu – odparł Dillon z lekką irytacją. – Lecz wiemy, że otrzymała go pani Worthington – tego samego dnia, kiedy zginął Gregg Flanders. Przesłuchaliśmy listonosza. Zapamiętał znaczek ze stemplem poczty w San Diego.

Spiegala zrobił wydech, który zabrzmiał jak drwiące parsknięcie.

– Czy to nie dziwne – rzucił sardonicznie – że spośród wszystkich listów listonosz zapamiętał właśnie ten, nadany w San Diego? Nie z

Madagaskaru ani Nigerii – tylko z San Diego? Rzut kamieniem stąd?

– Nic w tym dziwnego – odparł zacietrzewiony Dillon. – Ten człowiek czytał o morderstwie – to znaczy, zniknięciu – w gazecie z poprzedniego dnia. To naturalne, że interesowało go wszystko, co dotyczy pani Worthington.

Spiegel ze znużeniem machnął ręką. – Zgoda. Ale skąd właściwie pan wie, że list był od Gregga Flandersa?

– A któż inny...

– Jasne, ja też się z tym zgadzam. *Był* od Flandersa.

Glorii wyrwało się stłumione: „ooch”. W co, do diabła, ten adwokaci-  
na ją teraz pakuje! A przez chwilę już miała nadzieję...

– Pamięta pani o naszych trzech słowach – prawda, pani Worthington? – dorzucił szybko Spiegel. Z powrotem przeniósł spojrzenie na zbitego z tropu Dillona. – Pani Worthington powiedziała mi o tym liście. Flanders już czytał wtedy gazety. Napisał, że wie, iż policja będzie chciała go przesłuchać, tym bardziej że zabrał samochód. Przekazał też, że wróci następnego dnia.

Porucznik uśmiechnął się głupawo. – Samochód zmierzał na *południe*, kiedy spadł z szosy do morza – przypomniał.

– Oczywiście. Flanders w liście kłamał. Chciał po prostu uciszyć obawy pani Worthington do czasu, aż znajdzie się daleko, daleko stąd. Pani Worthington chciała mu wierzyć – i to przemawia na jej korzyść. Flanders był przyjacielem jej męża, a przynajmniej tak myślała.

Dillon ze złością zacisnął usta w wąską kreskę. Po czym w jego oczach pojawił się triumfalny błysk. Podniósł z biurka dużą, szarą, manilową kopertę, którą położył tam wcześniej.

– Jeśli list Flandersa mówił tylko tyle, to jak pan wytłumaczy to? – Wyciągnął w kierunku prawnika zmiętą i zaplamioną kopertę.

Chociaż woda rozmyła atrament, napisany adres był wciąż czytelny.

– To znaleźliśmy w kieszeni wiatrówki, która została w rozbitym jaguarze. W kieszeni kurtki *Gregga Flandersa*. Wysłane na adres jego skrytki pocztowej w San Diego. To charakter pisma pani Worthington – już sprawdziliśmy.

Nagły skurcz żołądka sprawił, że Gloria chwyciła się za brzuch. Straciła w tej jednej chwili nadzieję, że Gregg z rozmysłem upozorował



wypadek i nadal żyje. Podrzucenie wiatrówki i dokumentów w jaguarze było kluczowe dla tej mistyfikacji. *Ale nie pozostawienie listu*. Krańcową głupotą z jego strony byłoby dobrowolne obciążenie Glorii, a zarazem samego siebie. Gregg nie był głupcem. Jej oczy wypełniły łzy. Przypuszczalna śmierć kochanka stała się teraz faktem.

Seth Spiegal podszedł do Dillona, wziął kopertę i zasiadł w skórzanym fotelu. Z wyszukaną nonszalancją zapalił papierosa, gdy badał charakter pisma, ostentacyjnie trzymając zmarszczony papier między kciukiem a palcem wskazującym.

Przekazał kopertę Brinkmanowi, po czym odwrócił się i z szacunkiem skinął głową Dillonowi. – Świetna robota, poruczniku.

Dillon odpowiedział na komplement zdawkowym uśmiechem.

– Z pewnością – ciągnął adwokat – ma pan list, który był wewnątrz tej koperty?

Policjant zgrzytnął zębami. – Nie. Najwyraźniej Flanders schował list gdzie indziej. Może odruchowo wsadził go do portfela w kieszeni spodni. To całkiem normalne.

Z cichym westchnieniem Spiegal pokręcił głową.

– To bardzo niedobrze – stwierdził. Spojrzał na Dillona z politowaniem. – Ten list mógł całkowicie oczyścić z zarzutów panią Worthington.

Gloria podskoczyła. Co jest? Próbowała nadażyć za swoim adwokatem, którego działania były tak pogmatwane, że poczuła się kompletnie zdezorientowana.

Dillon przewrócił oczami i wydał z siebie tylko pełne niesmaku warknięcie.

Brinkman odchrząknął. – Skąd pan to może wiedzieć, panie Spiegal?

– Ponieważ wiem, co zawierał. Pani Worthington *powiedziała mi* to tak, jakby była gotowa do złożenia w tej sprawie zeznań przed każdym sędzią lub ławą przysięgłych...

Bruzdy niepokoju zmarszczyły dostojne czoło prokuratora. Spiegal odwrócił się w stronę Dillona, a jego głos stał się bardziej piskliwy.

– *A pan sądzi, że co* było w tym liście, poruczniku? Mój Boże, nie podejrzewa pan chyba, że świadczył o zмовie!

– Podejrzewamy *dokładnie* to! – Dillon zajadle rzucił się w przód. Spiegel zacmokał z dezaprobatą.

– No, no, nie chciałbym być na pana miejscu – co ja mówię – ba, nawet na miejscu pana Nelsona Brinkmana, z całym poważaniem dla jego doświadczenia eksperta sądowego, gdyby próbował przekonać o tym dwunastoosobową ławę przysięgłych. To prawda, że list został napisany przez zdesperowaną kobietę – jednak nie zdesperowaną w taki sposób, jak pan myśli. Ona desperacko nakłaniała Flandersa, by dotrzymał słowa, wrócił i potwierdził swoją niewinność. Próbowwała uwierzyć, że człowiek, który udawał przyjaźń dla jej chorego męża, nie zawiedzie go. Oczywiście, w tej kwestii *była* podejrzliwa wobec Flandersa. Czyż policja – całkiem słusznie – nie zrobiła, co w swojej mocy, by ją w tych podejrzeniach *utwierdzić*? To dlatego sprawdziła, co z akcjami. Chciała się przekonać, czy pieniądze nie były motywem zniknięcia jej męża. A gdy się przekonała, że najwyraźniej tak było, zaczęła dzielić podejrzenia policji co do Gregga Flandersa. Wiedziała, że człowiek ten miał doskonałe pojęcie o majątku jej męża. Wiedziała również, że Flanders rozmawiał z nim o nieruchomościach na Hawajach, a być może nawet namówił go do spieniężenia bankowego depozytu. Zdawała sobie sprawę, że Flanders nadzwyczaj zęcznie postawił się w sytuacji, która zmuszała jej męża, by czuł się w obowiązku użyczyć mu swojego samochodu. Te właśnie okoliczności miała na uwadze Gloria Worthington, pisząc ten list. Lecz mimo wszystko – nazwijmy to staroświecką wiarą we wrodzone dobro człowieka – mimo wszystko pragnęła dać Flandersowi szansę, aby się oczyścił z zarzutów. – Wychylony do przodu w wielkim fotelu, z wypisanym na twarzy świętym oburzeniem, zacietrzewiony adwokacina zaczął wymachiwać pięścią przed nosem zdumionemu Dillonowi. – Ale pan, poruczniku, *pan* chciałby zrobić użytek z chwalebnych motywów mojej klientki i wykorzystać je jako zwykłe kręactwa cwanej morderczyni.

Dillon wyglądał jak człowiek, który doświadczył trzęsienia ziemi. Strzelał wokół oczyma, szukając wyjścia, i dyszał ciężko, nie znajdując żadnego. Nerwowo potarł kark, wciskając dłoń pod kołnierzyk policyjnej koszuli, przesiąkniętej potem. Gloria była równie jak porucznik oszołomiona, mimo że u niej wynikało to z zupełnie innych przyczyn. Odkąd

Spiegel zaczął mówić, sprytnie manipulując faktami, aby przedstawić ją jako przykład małżeńskiej cnoty – Gloria poczuła przyływ dumy. Gdy w kulminacji zawarł sens przemowy – fala nadziei wezbrała w jej sercu.

Dillon, wciąż próbując się pozbierać, wydukał: – O Boże, nie!

– Panowie, proszę... – Brinkman uderzył dłonią w biurko i powiódł znękanym wzrokiem po portretach na ścianie, jakby szukał tam wytchnienia od towarzystwa, na które był skazany. Wreszcie opuścił wzrok na suszkę do atramentu na swoim biurku. – Może przedyskutujemy to na spokojnie – rzekł łagodnym tonem.

– Jak to spokojnie! – rzucił Spiegel. – No jak ktokolwiek może być spokojny wobec tak jawnego prześladowania z zimną krwią w obliczu prawa?

– Niemniej jednak... – zaczął Brinkman, lecz patrząc na policjanta, przybrał nagle surowy ton: – Czyżby miał pan w zanadru coś jeszcze, poruczniku?

Na twarzy Dillona odmalowało się oburzenie.

Sięgnął do wnętrza koperty i wyjął z niej nefrytowy kolczyk. – Pozostała jeszcze kwestia tego kolczyka... – stwierdził posępnie. – Znaleźliśmy go pod tapczanem Gregga Flandersa. W jego domu. Pasuje idealnie do pary z kolczykiem, który znaleźliśmy w szufladzie toaletki pani Worthington.

Spiegel skoczył na równe nogi. Lekceważąco machnął ręką, podważając cały sens podniesienia tej kwestii.

– Pani Worthington zgubiła to podczas jednej, jedynej wizyty w domu pana Flandersa. – Zerwał z nosa okulary i potrząsnął nimi jak obosieczną bronią przed osłupiałymi oczyma Dillona. – Wykorzystał pan sąsiadkę Winifredę Colby jako świadka – ale teraz *mój* ruch! To właśnie ona powiedziała, że widziała panią Worthington tylko raz, gdy zawitała do jego mieszkania. I to na prośbę męża – chciał on, by sprawdziła, czy pan Flanders przypadkiem nie zachorował. Flandersa nie było w domu – i tu znów możemy liczyć na bystrooką panią Colby jako świadka. – Spiegel pogardliwie wydał wargi. – Poruczniku, jeśli przedstawia pan to jako dowód umówionego wcześniej spotkania – lub załączek zbrodniczej intrygi – to chciałbym coś powiedzieć. Mógłbym z łatwością udowodnić, że to policja *podrzuciła* ten kolczyk z braku naprawdę poważnych, obciążających

dowodów. Mógłbym, lecz nie zrobię tego... chyba że to będzie *naprawdę* konieczne.

– Nie bawmy się w niepotrzebne pogroźki – uciał Brinkman, lecz w jego głosie nie było nagany. Spojrzał pytająco na Dillona.

Oblicze policjanta wykrzywiła wściekłość. Jego wargi poruszały się bezgłośnie. W końcu wykrztusił kilka słów:

– Ale klamki u drzwi... w domu Flandersa... – urwał i z otwartymi ustami powiódł wzrokiem po nieprzyjaznych twarzach. Zaciśnął zęby i wychrypiał: – Myślę, że to by było na tyle.

– Akurat! – wysyczał Spiegat, znów odwracając się w jego stronę. – Po pierwsze, nic więcej nie powiedziano na temat plamy krwi, znalezionej na relingu łodzi. Nie dotyczy to mojej klientki, ale chciałbym poczynić w związku z tym kilka obserwacji. – Popatrzył na prokuratora, a ten z miejsca wyraził zgodę skinieniem głowy.

– Podejrzewacie, że to krew Gregga Flandersa. Ale czy możecie tego dowieść? Tą grupą krwi? – Ponownie zerknął na Brinkmana. – Prawdopodobnie połowa członków każdej ławy przysięgłych ma grupę krwi 0 – jest najczęściej spotykana. W rzeczywistości ta krew mogła należeć do kogoś innego niż Gregg Flanders – do kogoś, kto wdarł się na pokład na morzu, zamordował Worthingtona i ulotnił się z łupem.

Na wojowniczej twarzy Dillona pojawił się wyraz dezorientacji. – Czy teraz pan *broni* Flandersa?

– Jasne, że nie, do diabła. Lecz jeśli nie będzie pan ostrożny, nie uda się panu wytoczyć sprawy *nawet jemu*. Chociaż to praktycznie bez różnicy – po prostu skazywałby pan nieboszczyka. – Spiegat odwrócił się do Brinkmana, wyciągając do góry otwarte dłonie. – Próbuję tylko zademonstrować sposób myślenia, który przysporzył mojej klientce niepotrzebnych cierpień. Za pańskim pozwoleniem, sir, chciałbym przedstawić kolejne tego przykłady.

„Mój Boże – pomyślała Gloria – kolejne przykłady?” Wpatrywała się z narastającą fascynacją w chudą jak patyk sylwetkę Seta Spiegala. Adwokat nachylił się nad biurkiem Brinkmana, gotów przypuścić następny atak.

## 13.

W imię sprawiedliwości – rozpoczął Spiegala – mojej klientce należy oszczędzić dalszych prześladowań. – Ponad jego ramieniem Gloria ujrzała, jak prokurator nagięto kiwa siwą głową, niby widząc, nie mogąc doczekać się następnego odcinka pasjonującego serialu. Podobnie jak ona.

Spiegala okręcił się na pięcie, stając oko w oko z Dillonem, który przypatrywał mu się z czujnością i trwogą zarazem.

– Czy bezpośrednio po tym, jak dowiedział się pan o zniknięciu Lloyda Worthingtona i po rozmowie z jego żoną, miał pan jakkolwiek pomysł, jakąś teorię, która mogłaby to wytłumaczyć?

Dillon odwrócił wzrok. – Tak. Pomyślałem, że miał atak serca, wypadł za burtę i utonął – odparł bezbarwnym, monotonnym tonem.

– Dlaczego przyszedł panu do głowy akurat atak serca?

– Pani Worthington powiedziała mi, że jej mąż już miał kiedyś zawał. Mniej więcej rok temu.

– Co sprawiło, że zmienił pan zdanie?

– Jak to... krew, zniknięcie jaguara, listy – wszystko, o czym już mówiłem.

Spiegala odczekał chwilę i rzucił: – Czy aby nie zmienił pan zdania, dowiedziawszy się, że Lloyd Worthington *nigdy nie miał zawału*?

Gloria impulsywnie zerwała się z miejsca.

Adwokat wyciągnął rękę przed jej oczami, jak policjant, kierujący ruchem ulicznym i powoli posuwał się do przodu, dopóki nie opadła z powrotem na krzesło.

– Pani Worthington, proszę... – rzekł najśłodszy głosem. – Przecież to wszystko jest dla pani dobra.

Znów popatrzył na odwróconą twarz Dillona.

– Zakładam, że *dowiedział się* pan tego od doktora Fowlera?

Policjant tylko żałośnie kiwnął głową.

– Ja również, dziś po południu – ciągnął prawnik. – Zatem wiadomo panu, że Lloyd Worthington nie był zawałowcem, lecz alkoholikiem. – Uniósł głowę i rzucił uspokajające spojrzenie Glorii, która zamknęła oczy,

by ukryć konsternację. – I dowiedział się pan czegoś jeszcze na temat Lloyda Worthingtona, prawda, poruczniku? To znaczy, oprócz tego, że miał zapalenie wątroby.

Dillon dumiał nad czymś w milczeniu. Po czym, z ociąganiem, zapytał: – A co to ma wspólnego z naszym dzisiejszym spotkaniem?

– Chodzi o to, abyśmy nie musieli się tu więcej spotykać. Nie chce pan tego powiedzieć?

– Ja chciałbym jednak to usłyszeć – wtrącił Brinkman, przechylając się nad biurkiem.

– Dobrze – odparł Dillon kwaśno. – Dowiedzieliśmy się też...

Seth Spiegel stanął twarzą do Glorii, zasłaniając ją przed pozostałymi.

– ...że Worthington był impotentem – dokończył Dillon.

Glorii zapało dech w piersi. Wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

Spiegel lekko potrząsnął głową. Szybko zamknęła więc usta i spojrzała w otwarte okno. Po cudach, których Spiegel już dokonał, musiała mu zaufać.

Prawnik zwrócił się do Dillona: – Czyż nie to przekonało pana, że Gregg Flanders i Gloria Worthington byli *kochankami*? To i fakt, że Lloyd Worthington był ponad dwadzieścia lat starszy od żony?

Pytanie rozpało w oczach policjanta isierkę dawnego buntu.

– Oczywiście, że nas to przekonało – warknął.

– A co w związku z *alkoholizmem*? Czyż nie podejrzewał pan, że schadzki – *wyimaginowane* schadzki – pomiędzy Flandersem i panią Worthington miały miejsce, ilekroć jej mąż był ogłupiony przez drinki i dlatego zdarzały się często?

– Oczywiście, że tak podejrzewaliśmy. Dlaczego nie?

– Czy nie podejrzewał pan również, że ci *wyimaginowani* kochankowie w rzeczywistości *mieli nadzieję*, że Lloyd Worthington sam wykończy się alkoholem? Albo nawet go do tego *nakłaniali*?

„Wielkie nieba! – pomyślała Gloria. – On mówi dokładnie tak, jak było. Czyżby wiedział?”

– Niech będzie – rzucił Dillon, wierząc się w fotelu. – Przyszło nam to do głowy. Lecz wiedzieliśmy, że nie będziemy mogli tego udowodnić.

Spiegel prychnął z niesmakiem.

– Nie, ale uparcie zamierzał pan spróbować. I najprawdopodobniej wciąż będzie pan próbował. – Wolnym krokiem podszedł do Brinkmana,

który taksował małego chudzielca spod współprzymkniętych powiek. Spiegala przystanął obok i spojrzał błagalnie na prokuratora okręgowego. – Panie Brinkman, nie ma najmniejszego dowodu, który mógłby być podstawą do oskarżenia mojej klientki. Nie ma żadnych obciążających dowodów, że cokolwiek zostało skradzione. Sprawca – i praktycznie *jedyny* podejrzany – Gregg Flanders – nie żyje. A zatem jakie ma pan dowody z punktu widzenia prawa? Ofiarę, która nie istnieje, plik banknotów, który nie istnieje, i podejrzanego, który nie istnieje. Prowadzenie dalej tej sprawy byłoby tylko stratą czasu i stanowych funduszy.

Spiegala podszedł, stanął u boku Glorii i ze współczuciem położył jej dłoń na ramieniu.

– Teraz nie obawiałbym się ani trochę postawienia pani Worthington przed ławą przysięgłych. Obawiam się jedynie, że porucznik Dillon będzie ją nadal prześladował.

Twarz policjanta poczerwieniała i nabrzmiała z wściekłości. Skoczył na równe nogi, wbijając w adwokata nienawistny wzrok i przecinając powietrze wielką dłonią jak tasakiem.

– To ty! – wybuchnął. – Ty zebrałeś wszystkie dowody i przerobiłeś je na własną korzyść! My chcieliśmy jedynie zadać pani Worthington kilka pytań!

Spiegala obrzucił go spokojnym, badawczym spojrzeniem.

– Mówi pan „my”, poruczniku... Czy ma pan na myśli również kapitana Friendly'ego?

– Friendly'ego? – podchwycił Brinkman z szacunkiem. – Abrahama Friendly'ego? Czy był on związany z tą sprawą?

– Myślałem, że wie pan – odparł niewinnie Spiegala – iż porucznik Dillon konsultuje się z nim na każdym kroku. Ale dlaczego nie ma go tutaj? Czyżby odmówił przybycia, poruczniku?

Dillon wyglądał, jakby wpadł w dawno zastawione sidła i teraz dyndał bezradnie, wisząc na sznurze.

– On... Wspólnie uznaliśmy, że sam się z tym uporam – wyjaśnił słabym głosem.

– Domyślam się, dlaczego – oświadczył Spiegala pogardliwie. – Znając Abe'a Friendly'ego, sądzę, że odmówiłby udziału w takim szemranym dochodzeniu. – Majestatycznie podszedł do skórzanego fotela i usiadł, wypinając dumnie swoją kurzą pierś.

Nelson Brinkman oparł łokcie na biurku, a podbródek na splecionych dłoniach, przybierając klasyczną, sędziowską pozę. Próbował spojrzeć w miarę możliwości prosto w rozbiegane oczy policjanta.

– Poruczniku – orzekł z namysłem – dzwonię zaraz do prasy, by im powiedzieć, że nie mamy najmniejszego powodu zatrzymywać pani Worthington. Rozumie pan? *Najmniejszego powodu.*

Spiegel spojrział w pełne niedowierzania oczy Glorii.

– Myślę, że możemy już iść, pani Worthington – oznajmił, podając jej ramię.

Jadąc potem z nią swoim europejskim kabrioletem z powrotem do Laguny, z głową ledwo widoczną spoza kierownicy, Spiegel zapytał słodkim głosem: – Złociutka, dlaczego nie powiedziałaś mi o tych cholernych listach?

– Nie miałam pojęcia, że o nich wiedzą – bąknęła Gloria.

– W każdym razie, gdy przyszło co do czego, naprawdę pomogły w sprawie.

Popatrzyła na niego z podziwem. – Panie Spiegel, był pan naprawdę wielki.

Rzucił jej pytające spojrzenie, jakby miał chęć kontynuować kwestię listów. W końcu zbył to jednak wzruszeniem ramion.

– Całkiem nieźle, jak na słuchacza szkoły wieczorowej na uniwersytecie Columbia, co? To jasne, że Dillon wpakował się zaraz na starcie. Powinien już wczoraj dorwać Brinkmana prywatnie i przekabacić go, żeby jak najszybciej przekazał tę sprawę sędziemu orzekającemu. W ten sposób zwaliłby to całkowicie na rachunek Brinkmana. Gdyby potem kiedykolwiek udało im się zmusić cię do złożenia zeznań, zjedliby cię z butami. Listy, krew, twój układ z Flandersem, wreszcie relacja doktora Fowlera... – Obdarzył Głorię łobuzerskim uśmiechem. – Nawiasem mówiąc, dowodząca, że nie było żadnego „krążenia” między sypialnią twoją a Lloydą – tak jak mi powiedziałaś.

Zbagatelizowała nawiązanie do swojego oszustwa co do jej seksualnych relacji z mężem – a raczej ich braku.

– Naprawdę nic nie wiedziałam o jego impotencji – mruknęła.

– Wierzę ci. Nie możesz wiedzieć, czy piec jest gorący, czy zimny, póki go nie dotkniesz? A w ogóle – co powiesz na obiad, a przedtem może kilka drinków?



– Dzięki, obiad sobie daruję. Lecz z pewnością chętnie wypiję drinka.

Poszli do tawerny w centrum Laguny. Omijając zatłoczony barek, wybrali miejsce pod ścianą. Kiedy kelner przyniósł drinki – dla niej podwójny – Gloria rzekła cicho:

– Przykre dla mnie było tylko to pod koniec. Że niby miałam schadzki z Greggiem Flandersem. To znaczy, że niby my... robiliśmy to... gdy Lloyd był nieprzytomny z przepicia. Zupełnie niepotrzebne.

– Ależ *bardzo* potrzebne. Dillon z przyjemnością zarzuciłby ci to już na wstępie. Jednak tylko wtedy, gdyby postawił cię pod ścianą – obrzucając cię lawiną pytań, aż byś się kompletnie rozkleiła i zaczęła sprawiać wrażenie największej ladacznicy od czasów carycy Katarzyny. Uwierz mi, Glorio, od chwili, gdyby cię złamał, wszystkie jego *namacalne* dowody pozwoliłyby Brinkmanowi sądzić, że komora gazowa to dla ciebie jeszcze za mało.

– Tak, lecz pan sam poruszył ten temat. Chociaż, przyznaję, to sprawiło, że byłam wiarygodna jako prześladowana kobieta.

– Poruszyłem go już *po tym*, kiedy Dillon wystrzelał się ze swoich ślepeków. Potem sprawiał wrażenie, jakby po prostu miał sprośne myśli. Lecz nie myśl, że ten gość zamierza odpuścić. Tylko że teraz będzie wyglądał – przynajmniej dla Brinkmana – jak patologiczny gliniarz, kierujący się bardziej własną zawziętością niż poczuciem sprawiedliwości. Zrozum, próbowałem ochronić twoją przyszłość. Nie pozwól Dillonowi znaleźć na siebie haka. – Spiegal pociągnął łyk i mówił dalej, łypiąc na nią ponad krawędzią szklanki. – Nie powinno to być zbyt trudne bez Flandersa pod ręką.

Popatrzyła na niego zgorszona. – Co pan *sugeruje*, panie Spiegal?

– Ależ nic, zupełnie nic. – Uśmiechnął się szeroko do Glorii, widząc, że kończy drinka. – Chyba że chciałabyś mi coś jeszcze powiedzieć.

– Wydaje mi się, że sformułował pan wszystko dostatecznie jasno w biurze pana Brinkmana, panie Spiegal – ucięła niemal oficjalnym tonem.

Adwokat zamówił następnego drinka. Gdy go otrzymał, rzekł:

– Przypuszczam, że nie spodobał ci się sposób, w jaki pograżyłem Flandersa. Mimo wszystko, był kiedyś przyjacielem. Jednak im bardziej się go oczerni, tym bardziej ty się wybielisz.

Patrząc w szklanekę, zakręciła lodem w drinku.

– Pomyślałam tylko, że bardzo sprytnie pan to rozegrał.

– Pewnie, do diaska. Jeśli już komuś miało się dostać – to czemu nie trupowi?

Gloria nagle poczuła się chora – od stóp do głów, jakby dopadł ją jakiś wirus. Lecz wiedziała, że to nie przypadek. Złożył się na to, niemal przekraczający ludzką wytrzymałość, koszmar kilku ostatnich dni: obezwładniająca groza morderstwa, mrozący krew w żyłach strach przed karą, wstrząs, wywołany utratą całego dobytku, uczucie beznadziejnego osamotnienia... i *nieodwołalna utrata Gregga*.

To wszystko zaczęło ją przytłaczać, więc poprosiła drżącym głosem: – Myślę... Myślę, że lepiej będzie, jeśli odwiezie mnie pan do domu. Źle się czuję.

Seth Spiegal rzucił na stolik kilka banknotów i pospiesznie pomógł jej wyjść do samochodu. Gdy pokonywali krótką trasę do posesji Worthingtonów, przez radio nadawano akurat najświeższe wiadomości lokalne, informując, że pani Worthington została przesłuchana i zwolniona: „Prokurator okręgowy wyraził swoje współczucie pani Worthington i oświadczył, że nie jest ona w stanie przyczynić się do rozwiązania sprawy tajemniczego zniknięcia jej męża”. Po komunikacie puszczoneo piosenkę „Facet, który zwiął”. Glorii przemknęło przez głowę pytanie, czy radiowiec miał tak poronione poczucie humoru, czy był to zwykły przypadek. Kobięcy ochryply, matowy głos zaśpiewał:

*Facet, któremu serce oddałaś*

*Zwiął, a ty z niczym zostałaś...*

I nagle cała skumulowana udręka Glorii i świadomość, że naprawdę nie ma już nic, wezbrała w niej i ścisnęła za gardło.

Stanęli; przez chusteczkę przyciśniętą do ust, udało się jej wykrztusić: – Dzięki... za wszystko...

Raptownie wybuchnęła płaczem i pobiegła do domu.

Seth Spiegal zaczekał, aż otworzy drzwi.

– Zadzwońię do ciebie! – zawołał i odjechał.

W mrocznym mieszkaniu Gloria wsparta plecami o zamknięte frontowe drzwi powtarzała w myślach, niemal szepcząc: „Och, Gregg, cokolwiek mi zrobiłeś – to nieważne. Tylko proszę, proszę... wróć”.

Lecz wiedziała, że przecież jest martwy.

I wtedy ujrzała go – w salonie. Siedział pochylony w fotelu. Zarys jego głowy i ramion widniał na tle oszklonej ściany, rozświetlonej blaskiem księżyca.

„Gregg! O mój Boże! Gregg!” Potykając się, pobiegła w jego stronę.

Błysnęła zapalona lampa, gdy wstał.

– I jak, Glorio, czy masz już dosyć? – zapytał cicho Lloyd Worthington.

Nie było odpowiedzi. Gloria Worthington zemdląła.

## 14.

Leżała na sofie, wilgotna ściereczka okrywała jej pulsujące powieki, a czyjaś dłoń rozcierała jej przedramię. Usłyszała słaby jęk (ledwie zdając sobie sprawę, że wyszedł z jej własnych ust) i próbowała się unieść. Nie dała rady. Masowanie ustało, poczuła czyjeś mocne palce, podłożone pod kark i unoszące jej głowę. Zimny, twardy przedmiot dotknął ust Glorii i brzęknął o zęby. Płyn cudownym ogniem spłynął w dół przetyku.

Pamięć błyskawicznie wróciła.

Udało jej się usiąść, a mokra szmatka spadła na jej kolana. Szarpnęła się w tył, wciskając zgarbione plecy w narożnik sofy, jakby rozpaczliwie szukała drogi ucieczki. Podciągnęła kolana pod brodę, przybierając pozycję obronną. Blask kilku włączonych lamp oświetlał sylwetkę mężczyzny, ubranego w szare spodnie i sportową koszulkę w czerwono-czarną kratę. Postać pochylała się nad nią, trzymając w jednej ręce szklanekę. Gloria z wolna podniosła umęczony wzrok i spozjrzała w twarz Lloyda o twardych, srogich rysach, lecz pełnych troski oczach.

Sofa zdawała zapadać się pod nią, tak, jak wcześniej usuwała się spod jej stóp podłoga. Ponownie Lloyd podsunął szklanekę do ust Glorii.

Chwyliła ją obiema rękami i przechyliła, przeżykając łapczywie. Pokój przestał się kołysać. Myśli, rozczłonkowane przez wstrząs, przypominały rozrzucone fragmenty układanki. Od którego zacząć, by ją ułożyć? Oczywiście od Lloyda – centralnej części obrazu. Zaczęła coś mówić, lecz słowa rozpadały się, zanim przybrały właściwą formę.

– Ty... Jak to się stało... gdzie...? – udało się jej w końcu wyjąkać. A potem niemal niedosłyszalnym szeptem zadała absurdalne pytanie: – *Dla czego ty żyjesz?*

Wywołało ono na ustach Lloyda ledwie widoczny uśmiezek. Wyprostował się i spojrział na nią z góry, jak myśliwy, lustrujący upolowaną ofiarę – na poły z triumfem, na poły z poczuciem straty.

– To wymaga pewnych wyjaśnień – rzekł. Wyglądał jakoś inaczej. Młodziej. Skóra na kościach policzkowych bardziej napięta.

Blask żywotności w oczach. Przez chwilę, w przyćmionym świetle lamp, przypominał Glorii tamtego, pełnego temperamentu mężczyznę, którego poślubiła wiele lat temu.

Przetarła oczy i mocno potrząsnęła głową.

– Jeszcze... drinka – poprosiła. – Ale z wodą. Nie chcę... być pijana.

Gdy szedł do kuchni, patrzyła z niedowierzaniem na jego szerokie barki, znajomy chód, ale bardziej wyprostowaną postawę, niż pamiętała. Usłyszała brzęknięcie butelki o szklankę i bulgot nalewanej whisky. To nie było złudzenie. *Matko boska!*

Wrócił, niosąc jedną whisky z sodą. Pociągnęła łyk i obserwując ukradkiem, jak Lloyd przysuwa fotel do sofy, czuła grozę i fascynację zarazem wobec faktu, że on w ogóle się *rusza*. Umysł Glorii funkcjonował, jednak panował w nim zbyt wielki mętlik, żeby myśli obrały tam jakiś logiczny kierunek. Jakby przebudziła się w świecie, gdzie wszystko jest do góry nogami. Gdy powoli zaczęło się jej przejaśniać w głowie, jedno uczucie zdominowało pozostałe: potworny strach przed Lloydem.

Jego źrenice zwężyły się, gdy zauważył jej lęk.

– Nie zamierzam cię zabić – uspokoił żonę lodowatym tonem.

Bez słowa popatrzyła na niego okrągłymi oczami ponad krawędzią szklanki.

– Oczywiście mógłbym to zrobić. Nikt by się nie dowiedział, że to ja. – Uśmiechnął się krzywo. – Jestem martwy.

Groza ścisnęła ją za gardło. Pociągnęła solidny łyk drinka.

– Co... co się wtedy stało? – zapytała.

Przejechał palcami gęste włosy z pasmami siwizny. – Rzecz jasna, nie wykręcisz się z tego – rzekł z odcieniem pogardy, lecz nie złości. Jego usta przybrały zacięty wyraz. – Wiem wszystko.

Gloria się wzdygnęła. Aż do tej chwili podświadomie zakładała, że Gregg spartaczył robotę – że Lloyd nadal żył, gdy został wyrzucony z łodzi do wody, odzyskał przytomność i się uratował.

– To było naprawdę bardzo proste – od kiedy już wiedziałem o tobie i Flandersie. A dowiedziałem się o was przez przypadek. – Jego głos zabarwiła gorycz. – Któregoś wieczora ocknąłem się w łóżku. Nie miałem pojęcia, że zostałem tam zaniesiony. Coś mnie obudziło – chyba to, że miałem twarz wciśniętą w poduszkę – nie mogłem złapać oddechu. Miałem zadyszkę, czułem się okropnie i pomyślałem, że lepiej wyjdę na zewnątrz, na świeże powietrze. Ze szczytu schodów usłyszałem ciebie i Gregga w salonie. – Przerwał na moment i dokończył: – Cieszyliście się sobą w najlepszej.

Gloria wcisnęła się głębiej w narożnik sofy, zasłaniając twarz szklanką. Skręciła się nerwowo, czując, że sukienka oblepiła jej mokre od potu plecy.

Głos Lloyd'a był wyprany z emocji, mówił dalej, jakby tylko recytował. – Gdy obudziłem się następnego ranka, pomyślałem, że może śniłem. Ukróciłem swoje pijaństwo, chociaż o tym nie wiedzieliście. Część drinków rozlewałem na boki, kiedy nie patrzyliście, część lądowała w donicy. I, oczywiście, troszkę też wypijałem. – Jego oczy zachmurzyły się na to wspomnienie.

Gloria odwróciła głowę, chowając twarz w miękką poduszkę. Przyłożyła zimną szklankę do policzka, by stłumić dygotanie dłoni.

– Z początku miałem zamiar wynająć detektywa, żeby zgromadził dowody. Bezstronnego świadka, by zrobić zdjęcia. Potem rozwiódłbym się z tobą i zostawił cię bez złamanego centa. W gruncie rzeczy już miałem wprowadzić to w czyn, kiedy pewnej nocy usłyszałem, że Gregg mówi coś o zamordowaniu mnie. Wtedy wstrzymałem się i słuchałem dalej. Kiedy wyszliście na taras – *już po wszystkim* – zszedłem na dół i

stałem za kotarą. I wreszcie poznałem cały plan. Jak dla mnie, była to dziwaczna gra. Zastanawiałem się, jak długo wytrzymacie, mając nadzieję, że to alkohol będzie zabójcą, a nie sama ty czy Gregg. – Urwał, więc podniosła głowę i obrzuciła go pełnym łęku spojrzeniem. – W końcu zdecydowałem się popchnąć cię do działania.

Wzięła głęboki oddech.

– Hawaje... – wykrztusiła.

– Właśnie. To wniosło do naszej gry sporą dawkę emocji. Czasami zachodziłem w głowę, czemu nigdy nie pytasz, dlaczego zawsze wracam bez choćby jednej ryby. Zbyt pochtaniało mnie rozważanie, jak zaplanować dalsze ruchy.

Nie mogła dłużej czekać.

– Co zrobiłeś Greggowi?

Na ponurej twarzy Lloyda pojawił się sardoniczny uśmiech. – Będziesz musiała uzbroid się w cierpliwość, Glorio. Pozwól mi przynajmniej mieć satysfakcję z przedstawienia ci wszystkiego po kolei.

– *Gregg nie żyje?*

– Dojdziemy do tego. – Rozwalił się wygodnie w fotelu. – Może powrócimy do nocy tego tak zwanego morderstwa? Według mnie, jak na ironię, Gregg zorganizował wszystko doskonale. O ile pamiętasz, jak zwykle zaniósł mnie do łóżka. Myślał, że jestem pijany w trupa. Potem, zamiast zostać z tobą i czerpać rozkosz z... *cudzołóstwa*, ruszył do własnego domu tą ścieżką między palmami. – Uśmiechnął się lodowato: – Ja stałem za jedną z tych palm.

Oderwała twarz od poduszki, wybałuszając na niego wielkie oczy.

– A wiesz, czym go uderzyłem? – Poczekał, aż zaprzeczy ruchem głowy. – Żeglarską knagą...

Gloria aż podskoczyła, jakby jej całe ciało było jednym nerwem, napiętym do granic możliwości. Chwyliła kurczowo szklankę i jednym haustem dopiła drinka.

– Wniosłem go po cichu tylnymi schodami i ułożyłem w moim łóżku. Kiedy nakryłem go pościelą po same uszy, byłem zaskoczony, jak bardzo przypomina mnie samego, kiedy śpię. Nawet jego włosy, posrebrzone blaskiem księżyca, wyglądały jak moje. Wytarłem żeglarską knagą i postawiłem z powrotem na biurku.

Glorii wyrwało się drżące westchnienie na wspomnienie własnych doznań.

– Teraz pozostało mi tylko dalsze działanie zgodnie z waszym planem – ciągnął Lloyd. – Poszedłem do domu Gregga i waliłem w tę maszynę przez całą noc. Prawie do piątej, kiedy przyszedłem tutaj, wkradłem się tylnymi schodami do swojego pokoju i wpakowałem Gregga do śpiwora. Nie musiałem nawet zmieniać stroju, bo zakładałem, że Flanders przebierze się za mnie.

Gloria była zdumiona odwagą męża.

– A co... Co stałoby się, gdybym weszła na górę, kiedy tam byłeś...?

– Byłem na to przygotowany – rzekł spokojnie. – Słyszałem, jak wchodzisz na schody. Mógłbym uderzyć Gregga jeszcze raz i go dobić. Ale byłem przekonany, że zrobisz to *ty*, własnoręcznie. Wtedy tkwilibyśmy w tym obydwój. Może nawet błagałabyś mnie o pomoc. – Roześmiał się kpiąco. – Sam pomogłem. Wykonałem dokładnie to, co Gregg przeznaczył dla mnie – dopłynąłem z nim łodzią do żerowiska wielkich ryb drapieżnych i wyrzuciłem go za burtę. Jeśli kiedykolwiek znajdą ciało albo to, co z niego zostało, myślę, że uznają to za przypadkowe utonięcie. Dajmy na to w sytuacji, gdy Gregg na desce surfingowej próbował opłynąć te skały na Point.

Kiedyś Gloria nawet nie byłaby w stanie wyobrazić sobie Lloyd'a jako człowieka zdolnego do tak brutalnego czynu. Teraz mogła. Głęboko w jego oczach dostrzegła błysk fanatycznego poczucia sprawiedliwości.

– Skoro mowa o desce – rzucił od niechcienia – była sporym udogodnieniem. Znalazłem ją tam, gdzie ją położył – na plaży pod naszym pomostem. Lecz wróćmy do Gregga. Gdy dopłynęliśmy na wyznaczony obszar, zaczął wracać do przytomności. Pomogłem mu się docucić za pomocą whisky.

Gloria była przerażona i pełna niedowierzania zarazem.

– Docucić go? Dlaczego?

Lloyd skrzywił się mściwie i przechylił w przód, opierając dłonie na kolanach.

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, odczuwałem sadystyczną przyjemność, widząc wyraz jego twarzy, gdy dowiedział się, że wiedziałem o wszystkim i go przechytryłem. Po drugie – chciałem, żeby coś napisał.

Zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc.

– Oświadczenie. Wyczerpujący opis spisku przeciwko mnie. – Lloyd wbił w nią oskarżycielski wzrok. – Wymieniając *ciebie* jako jego partnerkę.

– Dobry Boże, chcesz powiedzieć, że to napisał.

Uniósł w górę otwarte dłonie. – A jaki miał wybór? Albo to, albo *ewną* śmierć. Trzymałem go na muszce. Napisał i podpisał, klnąc przez cały czas.

– Ale... jaką miałbyś z tego korzyść? Nie mógłbyś pokazać tego policji bez przyznania, że zrobiłeś coś Greggowi. – Ledwie wykrztusiła te słowa: „zrobiłeś coś”.

– Miałem zamiar użyć tego jako ostatniej deski ratunku; w przypadku gdyby później nie udało mi się znaleźć czegoś jeszcze bardziej dla ciebie zgubnego. Musisz przyznać, że nigdy nie powiedziałaś policji o oświadczeniu Gregga i tym samym nie naraziła siebie. Dopóki, rzecz jasna, pod wpływem desperacji, przestałoby ci zależeć, czy będziesz żyć, czy wydasz na siebie wyrok. Jednak nawet wtedy nie byłbym winien temu, co spotkało Flandersa. Powiedziałbym, że po napisaniu oświadczenia próbował mnie rozbroić. Jego pisemne wyznanie byłoby dowodem, że musiałem walczyć w obronie własnej przeciw mordercy. Ale *ty* – ty zostałabyś skazana za spisek, mający na celu zamordowanie *mnie*. Wystarczy znów to oświadczenie.

Słuchała tylko jednym uchem. Jej umysł tętnił obrazem Gregga.

– Co zrobiłeś...

– Greggowi? – Lloyd zamilkł, patrząc na nią z fałszywym ubolewaniem przez dłuższą chwilę, jakby chciał pogłębić jej udręczenie niepewnością. Potem, prawie beznamiętnie, wyjaśnił:

– Gdy tylko otrzymałem gotowe oświadczenie, uderzyłem go kolbą pistoletu. Potem chwyciłem go za nogi, zepchnąłem za pokład i tak długo trzymałem mu głowę pod wodą, aż się utopił. Kiedy byłem pewien, że całe życie z niego uszło, puściłem go i obserwowałem, jak jego ciało pograża się w morzu. – Zerknął na nią spod oka. – Nawet nie podejrzewałaś, że jestem do tego zdolny, co?

Przycisnęła pięści do ust. – Nie! *Nie!*

– Cóż, gdyby tak było – dodał od niechcienia – nigdy nie miałbym na karku żony i jej kochasia, próbujących mnie zamordować.



– Ty... *parszywy... sukinsynu!* – Ból Glorii stał się tym bardziej dojmujący, że jej podejrzenia co do Gregga okazały się bezpodstawne. Gregg nie oszukał *jej* – to on został oszukany przez Lloyda.

Mąż, pozornie niewzruszony, przyglądał się Glorii przez dłuższy czas.

– Nie chcesz wysłuchać reszty? – zapytał w końcu.

Posłała mu jadowite spojrzenie, lecz bez słowa skinęła głową.

– Czy obserwowałaś z tarasu? Widziałaś może kogoś, leżącego na desce i płynącego w stronę brzegu?

Przytaknęła ponownie.

– A więc o tym już wiesz. I o moim spacerowaniu w tę i z powrotem za weneckimi żaluzjami w mieszkaniu Gregga. I o stukaniu w tę maszynę. Próbowiałem sklecić ten pierwszy list do ciebie. Nie miałaś pojęcia, że wiedziałem o tych liścikach, podpisywanych „G”, prawda? Usłyszałem którejś nocy, jak mówisz coś o tym do Gregga. O ile się nie mylę, żartowałaś z niego, że nie *podpisuje się* całym imieniem, a tylko pierwszą literą. W każdym razie skończyłem list i... – Usta Lloyda skrzywiły się złośliwie. – I położyłem nefrytowy kolczyk pod tapczanem.

– A więc to tak...

– Właśnie tak. Zabrałem go z twojej toaletki. Mam nadzieję, że przysporzył ci sporo kłopotów.

Nie odpowiedziała. Po co dawać mu więcej satysfakcji?

– Później wyszedłem i podłożyłem list pod twoimi... *naszymi* drzwiami. I odjechałem twoim ślicznym, nowiutkim X-KE. Zatrzymałem się w motelu na przedmieściach San Diego i wysłałem ci drugi list. Wiedziałem, że będziesz mieć podejrzenia co do pasa na pieniądze, więc o nim napomknąłem. A także pomyślałem, że możliwe, iż przeoczyłem jakiś ślad krwi, która mogła skapnąć z rozciętej głowy Gregga. Dlatego wspominałem o rozbitym nosie. Ale, oczywiście, najważniejszym powodem napisania tego listu było coś zupełnie innego...

– Chciałaś, żebym ci napisała o wszystkim, co dotyczy morderstwa – odparła Gloria beznamiętnie. – Wtedy byłabym w to wplątana i zamknąłbyś mi usta.

– Dokładnie tak. A ty zareagowałaś idealnie. Mając twoją listowną odpowiedź, nie potrzebuję nawet oświadczenia Gregga, mimo to

zachowałem i jedno, i drugie. Wszystko jest w bezpiecznym miejscu – razem z pieniędzmi i akcjami. Dołączyłem do tego instrukcje, mówiące, żeby listy natychmiast przekazać policji, gdybym przypadkiem zginął gwałtowną śmiercią.

– Pomyślałeś o wszystkim...

– A nad czym innym miałem myśleć na łodzi? Stało się to dla mnie rodzajem gry, w którą grałem codziennie – próbując za każdym razem wymyślić coś nowego, czym mógłbym pogrążyć cię jeszcze bardziej.

– Na przykład rozbicie jaguara.

– Och, na to wpadłem stosunkowo wcześniej. Choć z początku miałem tylko jeden cel, by zrzucić go z urwiska – żeby dać jasność co do śmierci Flandersa i tym samym uciąć dalsze poszukiwania jego czy pieniędzy. Wtedy jednak otrzymałem twój list i postanowiłem zostawić kopertę w wiatrówce – wiatrówce Gregga... Jak zdołałaś wywinąć się z tego przed policją?

– Nie ja, Seth Spiegal – rzekła krótko.

– To wszystko wyjaśnia. Mały, cwany adwokacina. – Lloyd zapalił papierosa i wyciągnął się w fotelu. – Policja musiała uznać to za tragiczny przypadek, że samochód uderzył w barierkę dokładnie w miejscu, gdzie była uszkodzona. Prawdę mówiąc, trochę się najeździłem, nim znalazłem ten słaby punkt. Potem poszło już gładko. Może z wyjątkiem wędrówki na piechotę. W końcu dotarłem do miasta i następnego ranka, pod przybranym nazwiskiem, kupiłem używany samochód. – Popatrzył na Glorię z pogardą. – Wyobrażam sobie, że w tym samym czasie ty już zdążyłaś posmakować nieco zasłużonej kary.

Utkwiła w nim nieruchomy wzrok. – Myślę, że jesteś szalony.

Uniósł brwi ze zdziwienia i po chwili zmarszczył je srogo.

– Obawiam się, że to ty jesteś szalona. Nie przyszło ci do głowy, że zasłużyłaś, aby pozbawić cię wszystkiego, co ci dałem – domu, pieniędzy, akcji? Nawet jaguara, chociaż nigdy nie był naprawdę twój? Wiele czasu i fatygi kosztowała mnie likwidacja materialnej strony tego małżeństwa, lecz doprowadziłem wszystko z powrotem do stanu, od jakiego zaczynaliśmy. Ja – z sumą blisko ćwierć miliona dolarów, a ty raptem z dwudziestoma dolarami. – Uśmiechnął się podle. – Pamiętasz? Dokładnie tyle

miałaś przy sobie, kiedy się z tobą spotkałem.

Pamiętała aż za dobrze. W salonie koktajlowym, podczas ich pierwszej randki, Lloyd miał przy sobie jedynie banknoty o wysokim nominale. Kelnerka poprosiła o coś drobniejszego, więc Gloria pożyczyła mu dwadzieścia dolarów. „To wszystko, co mam na tym świecie” – powiedziała wtedy ze śmiechem.

Wyraz jego twarzy stał się surowy, niemal wzdorczy.

– Myślę, że teraz się napiję – oznajmił. – To będzie pierwszy drink, odkąd zostałem zamordowany.

Wstał i wyszedł do kuchni.

W głowie Glorii szalała burza myśli. Oświadczenie Gregga i list, który napisała, przedstawiały ją jako współniczkę zabójstwa Lloyda. Obecnie jednak stała się współwinną, jakkolwiek nieумыślnie, lecz niemniej winną, śmierci Gregga. Ale policji, zdaje się, odpowiadało, że Gregg zginął w rozbitym jaguarze. I żadna z ofiar – ani martwa, ani żywa – nie może ujawnić prawdy. W jakiej sytuacji stawało to Głorię?

Odpowiedź przyszła jej do głowy zniemacka. Aż zatrząsała się od stóp do głów. *Nie groziło jej nic dopóty, dopóki Lloyd pozostanie w ukryciu i nie stanie mu się nic złego.* Była w tej samej sytuacji, co wtedy, gdy myślała, że Gregg żyje i ucieka przed policją! Ta sama ironia losu! Tak jak kiedyś pomogła w zaplanowaniu śmierci Lloyda, tak teraz musi zrobić wszystko, by ochronić jego życie!

Jeśli zdemaskuje go jako zabójcę Gregga, wystarczy, że Lloyd podsunie policji jej list – by udowodnić, że Gloria i Gregg byli kochankami i usiłowali zabić i obrabować jej męża. Byłoby mu łatwo przekonać Dillona i Friendly'ego, że odzyskał przytomność po wrzuceniu do wody i dopłynął do brzegu. Mógłby wytłumaczyć swoje zniknięcie, jak by tylko chciał – amnezją, ucieczką ze strachu, albo tym, że sam ukradkiem tropił Flandersa, chcąc uniknąć miana rogowca (zwłaszcza gdyby miał przy tym ujawnić swoją impotencję). Nie musiałby nigdy okazywać oświadczenia Gregga – które przeczyłoby jego śmierci w jaguarze, chyba że policja w jakichś okolicznościach uznałaby Lloyda za mordercę. Mordercę, którego można usprawiedliwić, bo walczył w obronie własnego życia. W innym przypadku jedynie Gloria ponosiłaby winę jako współsprawca w usiłowaniu

morderstwa i okradaniu ofiary.

*Boże, dopomóż!* Była całkowicie we władzy Lloyda. Mógł zrobić z nią, co tylko chciał.

Lekkim krokiem wrócił do salonu, niosąc klarowną whisky z wodą sodową w wysokiej szklance. Śledziła go szklistym wzrokiem zaszczutego zwierzęcia, gdy zapadł się w fotelu, opierając stopy na stoliku do kawy. Sącył drinka, kontemplując nostalgicznie szklankę.

– Odkąd pamiętam, potrzebowałem tego, żeby poczuć się naprawdę ważnym. Przypuszczam, że zaczęło się to od mojej matki. Nie mówię o piciu, lecz o przekonaniu, że być może żadna kobieta mnie nie zaakceptuje. – Spojrzał na Glorię, żeby sprawdzić, czy obudził jej ciekawość. Miała twarz bez wyrazu. – Potem była moja pierwsza żona – Norma. Myślę, że to ona wpędziła mnie w chłanie, chociaż sama nie piła. Chyba nigdy nie mówiłem ci o Normie, prawda?

Gloria zachowała milczącą rezerwę.

– *Prawda?* – naciskał.

– Nie mówiłeś – rzuciła szorstko.

– Wobec tego powiem ci – oznajmił nonszalancko, lecz w jego oczach pojawił się smutek, a pociągła twarz spochmurniała. Popatrzył z powątpiewaniem na szklankę i odstawił ją na stolik do kawy, ciężko opuszczając nogi na podłogę. – Była suką. Moja matka sprawiła, że zacząłem panicznie bać się seksu, lecz po kilku latach z Normą stałem się praktycznie eunuchem. Przez cały czas tego małżeństwa ta zdzira zrobiła dla mnie tylko jedną przyzwoitą rzecz. – Wzniósł rękę w parodii salutu. – Popęlniła samobójstwo.

Gloria zagryzła wargi, poskramiając zdumienie.

– Nigdy mi nie mówiłeś...

Zbył to wzruszeniem ramion. – Wszyscy mi współczuli, nie mając pojęcia, że naprawdę się cieszyłem. Wreszcie byłem wolny. Aż spotkałem ciebie i uwierzyłem, że znów mogę być mężczyzną. Jednak stare nawyki trudno przełamać. Podchodziłem do ciebie tak, jak do Normy – mam na myśli łóżko. Choć z nią szybko dałem sobie spokój, jeśli chodzi o te rzeczy...

O, nie, tylko nie to! – pomyślała. – Tylko nie dyskusja o stosunkach seksualnych. Do czego to może prowadzić? Do analizy jej intymnego pożycia z Greggiem? Nie, nie, *blagam*.

– Lloyd ... – rzekła głośno, prostując nogi. – Jestem bardzo, ale to bardzo zmęczona. Rano możemy ustalić, na czym stoimy.

– Wiem, na czym stoimy, już teraz. – Sięgnął po szklankę, pociągnął łyk i odstawił z powrotem. – Jedyne próbowałem ci przekazać to, że teraz między nami wszystko jest inaczej. – Spojrzył badawczo w jej twarz. – Zrozum, teraz się nie obawiam twojej młodości ani tego, że nie jestem w twoich oczach wystarczająco męski.

– Mówisz bzdury – ucięła, lecz nie była w stanie zdobyć się na drwiący ton.

Leniwie otaksował ją wzrokiem, uśmiechając się wyzywająco. – Kiedy tylko skończę tego drinka, zbadamy nasze odmienne relacje.

Wstała niepewnie, ciskając mu piorunujące spojrzenie.

– Zanim kompletnie się upodlisz, lepiej ci powiem... – wyszczała. – Relacja doktora Fowlera potwierdziła, jaki jesteś męski.

Błyskawicznie sięgnął po szklankę, a kostki jego palców pobieleły, gdy zacisnął dłoń.

– Śmieszne – rzucił sztywno. – To jedyna rzecz, której nie przewidywałem. – Wstał. – Teraz chodź tutaj.

– Lloyd, nie próbuj udowodnić...

– Powiedziałem, chodź tutaj. – Jego głos był szorstki, jak papier ścierny. – Lepiej zrozum to teraz dobrze, Glorio. Albo robisz, co mówię, albo będziesz robić to, co ci rozkaże policja. Co wybierasz?

Nawet jeśli z taktownego, rozsądnego mężczyzny, którego poślubiła, przeistoczył się w bezwzględnego mordercę, Lloyd w roli dominującego samca sprawiał naprawdę fantastyczne wrażenie. Lecz patrząc w jego oblicze, pełne nieugiętej woli, wiedziała, że zrobi to, co powiedział. Jedy-  
nym wyjściem było pozwolić, by zbłądził się, potwierdzając własną impotencję.

– Chodźmy na górę, do sypialni – przyzwoliła lodowatym tonem.

– Nie, tutaj – warknął. – Tam, gdzie *on* to robił.

Jakby otrzymała postrzał z pistoletu – odskoczyła, przerażona.

– O mój Boże, *nie!*

Wpatrywał się w nią niewzruszenie. – Tu. I teraz.

Co za różnica, czy tutaj, czy gdzie indziej potwierdzi swoją niemoc? Z cichą radością niemal pragnęła, by duch Gregga był tutaj jako świadek. Podeszła do wyłącznika i zgasiła światło. A gdy była już rozebrana, nie

podeszła do Lloyda. Położyła się po swojej stronie dywanu i czekała, aż on do niej podejdzie.

Gdy to zrobił, przekonała się, że to, co powiedział doktor Fowler, było oczywistą bzdurą. A przynajmniej bzdurą, jeśli chodziło o tego zupełnie nowego mężczyznę – w tym momencie. A dla niej... być może Lloyd stanowił po prostu odreagowanie zgromadzonego, długo tłumionego pragnienia... Może była to nieujarzmiona potrzeba bliskości z innym, równie samotnym człowiekiem, nieważne, z kim... A może Gloria stworzyła iluzję, że trzyma w objęciach silne ciało Gregga, tak bliskie i gorące. Cokolwiek to było, jej mąż, Lloyd Worthington, doprowadził ją na szczyt niemal bolesnej rozkoszy.

Już później, gdy leżeli obok siebie, paląc papierosy, Lloyd odezwał się pierwszy: – A teraz co o tym sądzisz?

– Sądzę, że jesteś starym sukinsynem – odparła, lecz w jej głosie nie było złości.

W gruncie rzeczy, sama nie bardzo wiedziała, co sądzi, dręczyła ją tylko jedna myśl: „Dobry Boże, jak można nazwać taką kobietę jak ja?”

Po krótkim czasie Lloyd wstał i się ubrał. Nie dotykając Glorii ani nie mówiąc słowa, wyszedł kuchennymi drzwiami i zniknął, idąc w dół ścieżką.

Zebrała swoje rzeczy i właśnie miała iść na górę, gdy zauważyła białą kopertę, leżącą na gzymsie kominka. Otworzyła ją i znalazła szeleszczący, studolarowy banknot.

## 15.

**K**iedy Lloyd przybył następnej nocy, wślizgując się przez oszklone drzwi, prowadzące na taras, Gloria była już przygotowana. Wcześniej, poświęcając wiele starań dla podkreślenia urody, wmawiała sobie, że robi to tylko, żeby zachować poczucie własnej wartości. Teraz, z doskonale upiętymi, jasnymi włosami, perfekcyjnym makijażem, ubrana w opiętą, turkusową suknię, miała świadomość, że jej motyw był całkiem inny: musiała jakoś zrównoważyć władzę, jaką mąż nad nią zdobył.

Stojąc w przyćmionym świetle lamp salonu, dostrzegła, że taksuje ją wzrokiem pełnym niechętnego podziwu. Sama była zaskoczona radością, jaką jej to sprawiło – jakby upłynęła cała wieczność, odkąd mężczyzna patrzył na nią z pożądaniem. Sączyła whisky z wodą sodową i jemu również zaproponowała to samo. Odmówił.

– Ostatniej nocy powiedziałem sobie, że to mój ostatni drink – wyjaśnił. – Był to rodzaj testu. Zdałem go ledwo ledwo, lecz nie jestem pewien, czy dałbym radę jeszcze raz.

Usiedli tak, jak poprzedniego wieczoru – ona, wtulona w narożnik sofy, on wyciągnięty w fotelu, naprzeciwko niej. Przez dłuższy czas nawet nie wspomnieli o tym, do czego w końcu doszło między nimi wczoraj. Właściwie mówiła głównie Gloria, relacjonując wydarzenia tonem pozbawionym goryczy, lecz naznaczonym subtelną nutą męczeństwa, by podkreślić wyczerpujący koszmar, przez który przeszła. Szukała w twarzy męża choć cienia współczucia, lecz go nie znalazła. Dostrzegła natomiast odblask nowej, wewnętrznej dyscypliny, która przypominała jej siłę, którą emanował Lloyd, gdy go poślubiła. Zamordował Gregga, jej kochanka, i za to go nienawidziła, lecz obudził w niej pewną nostalgię, pamięć dni, gdy Lloyd Worthington oznaczał dla niej ochronę i poczucie bezpieczeństwa, tak rozpaczliwie potrzebne jej teraz.

Potem przypomniawszy sobie o studolarowym banknocie.

– Znalazłam pieniądze, które zostawiłeś – nawiązała rzeczowo. – Czy jest to klucz, określający nasze obecne relacje?

Zapalił papierosa i wypuścił chmurę dymu, zanim raczył odpowiedzieć.

– Jak na razie, tak – rzucił oschle.

A więc została kurewką swojego męża – „sto dolarów za noc”. No cóż, przynajmniej była to niezła stawka. Maskując urazę, spojrzała na niego przymilnie i uwodzicielsko.

– A ile jeszcze zamierzasz tak to ciągnąć, Lloyd?

Wpatrywał się w żar na czubku papierosa. – Mam nadzieję, że to nie potrwa długo.

Była zaintrygowana. Niedługo – to znaczy do kiedy? Postanowiła dociekać dalej.

– Dotąd, aż pohamujesz swój wstręt?

W jego oczach błysnął przelotny smutek. – Odczuwałem wstręt przez długi czas. Przyzwyczaiałem się. Nie, to nie o to chodzi. Myślę, że najprędzej da temu kres ugoda majątkowa. Od czterech dni jestem uznawany za zaginionego. Jeszcze przez jakiś czas wszyscy będą przypuszczać, że może się odnajdę. Lecz i tak policja przeprowadzi dochodzenie. Wobec tego będziesz musiała zrealizować mój testament i wystąpić o ubezpieczenie. Tym wszystkim, z mojego polecenia, kieruje Bill Torrance. Jeśli tego nie zrobisz, policja będzie zadawać jeszcze więcej pytań. Lecz wciąż jeszcze jest czas.

– Muszę się stąd wyprowadzić za trzy, cztery tygodnie – zauważyła. Na próżno usiłowała złagodzić oskarżycielski ton. – Pamiętasz? Sprzedałaś dom.

– Owszem – potwierdził zimno. – Pamiętam. Lecz miałem nadzieję, że przedtem podejmiesz stosowną decyzję.

– Decyzję? A co ja mam do powiedzenia w mojej sytuacji?

– Decyzję, że jestem mężczyzną, którego naprawdę chcesz, mimo wszystko – rzekł powoli.

Gloria znieruchomiała z otwartymi ustami.

– Ty chyba oszalałaś, Lloyd – odparła uszczypliwie. – Chcesz powiedzieć, że mógłbyś dalej żyć razem z żoną, która próbowała cię zabić?

Lloyd zdobył się na cyniczny, znużony uśmiešek człowieka, który podejrzewa, że życie jest jedną wielką zdradą.

– Co w tym takiego dziwnego? Przypuszczam, że miliony mężczyzn żyją, mając u boku żony, które chętnie wyprawiłyby ich na tamten świat. I drugie tyle facetów, którzy chcieliby zabić swoje żony. Ty jesteś wyjątkiem, ponieważ, jak zahipnotyzowana, dążyłaś do wprowadzenia swojego zamiaru w czyn. Lecz teraz *przyczyna* morderstwa zniknęła – on nie żyje. W pewien sposób sam byłem *inspiratorem* własnej zguby. Jesteś młoda i pełna temperamentu, a ja cię zaniedbywałem. Nic dziwnego, że po wszystkich tych latach zwróciłaś się ku innemu mężczyźnie.

Znów obudziła się w Glorii przebiegłość. Nie może okazać, że tak szybko dała się ugłaskać.

– Zwróciłam się również przeciwko tobie, chciałam cię zabić – przypomniała z lekkim odcieniem skruchy.



Lloydowi wyrwało się ciche westchnienie, lecz natychmiast się opanował.

– Niełatwo przebaczyć i tego nie przebaczyłem. Ale poniosłaś już karę. Spróbuję przyjąć, że byłaś tymczasowo niespełna rozumu.

Musiła pozwolić, aby sam się przekonał.

– Skąd ci jednak przyszło do głowy, że teraz mogę żywić do ciebie...  
– Ostrożnie ominęła słowo „miłość” – ...jakikolwiek uczucie prócz nie-nawiści?

– Po pierwsze – raz na zawsze skończyłem z piciem. Po drugie – to, co wydarzyło się zeszłej nocy. Tu, w tym pokoju.

Gloria wbiła wzrok w szklanę.

– Byłam samotna. Wszystko się we mnie zaplątało... – Zamknęła oczy na samo wspomnienie. – Ty to rozplątałeś.

Począł, aż na niego spojrzy. – Było ci dobrze?

Gloria zawahała się. – Tak, było mi dobrze. *Potrzebowałam* tego... – przyznała załamującym się głosem.

– Czy nie była to tylko sprawa hormonów? Czy zadowoliliby cię ktośkolwiek?

Zadawała sobie w duchu to samo pytanie, obawiając się odpowiedzi.

– Ja... nie wiem.

– Właśnie o tym musimy się przekonać.

Spojrzała na niego ciekawie spod rzęs. – Ale co się stało... że znów z tobą wszystko w porządku?

Po raz ostatni zaciągnął się, po czym zgasił papierosa w popielniczce.

– Czy naprawdę jesteś w nastroju, żeby tego wysłuchać?

– Tak – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Opowiadał beznamiętnie, głosem należącym jakby do kogoś innego. To zaczęło się od jego matki, („jak wszystko zresztą, nieprawdaż?”) surowej kalwinistki, która wpajała mu wyświechtany banał, że seks nie sprawia kobiecie przyjemności, lecz jest ceną, jaką płaci ona, żeby mieć dziecko.

– Dobra żona może potrafiłaby wprowadzić mnie z błędu. Ale nie, musiałem poślubić akurat Normę. – Przerwał dla wzmocnienia efektu. – Chcę przez to powiedzieć, że naprawdę musiałem się z nią ożenić, a przynajmniej myślałem, że muszę.

Lloyd był wtedy młodzieńcem po dwudziestce, który dopiero stawiał pierwsze kroki w biznesie. Wydano weekendowe przyjęcie i alkohol łał się strumieniami. Gdy się obudził w łóżku, Norma leżała naga obok niego. Nie pamiętał, żeby coś między nimi zaszło, lecz ona zapewniała go, że kochali się przez całą noc. Żeby Lloyda o tym przekonać, sprowokowała go, aby posiadał ją jeszcze raz. Kilka tygodni później zawiadomiła go, że jest w ciąży. Bez okazania najmniejszego oporu, ożenił się z Normą. Sporo lat później odkrył, („ona, oczywiście, sama to wyznała”) że na kilka dni przed tym, gdy po raz pierwszy wylądowali razem w łóżku, miała założoną antykoncepcyjną diafragmę. Udawała, że jest w ciąży.

– Wkrótce po naszym ślubie, gdy wróciłem z jakiejś delegacji służbowej, symulowała poronienie. Miałem autentyczny celibat w małżeństwie. Ona nalegała, żebym prosił o pozwolenie, kiedy poczuję pożądanie. Byłem tak głupi, że to robiłem, *prosiłem*. A ona zawsze odmawiała, wykręcając się migreną albo jakąś inną niedyspozycją. Upłynęło wiele czasu, nim zrozumiałem, dlaczego chciała, żebym *prosił*. Po prostu sprawiało jej przyjemność odrzucanie mnie i upokarzanie...

Nic dziwnego, że był tak nieśmiały, gdy się z nią kochał, pomyślała Gloria. Gdyby tylko wiedziała, mogłaby wszystko zmienić – z pewnością miała doświadczenie. Lecz zmieniła temat:

– Powiedziałeś, że popełniła samobójstwo – przypomniła.

– Tak, gdy byliśmy małżeństwem już prawie osiem lat. – Głos Lloyda nagle przestał być obojętny. – Osiem żałosnych lat! Norma nagle odkryła, że jest zakochana. – Jego czoło pobruździł ból. – I to w kim? Nie w mężczyźnie. W jednej ze swoich przyjaciółek. Moja żona była lesbijką.

Gloria się wzdrygnęła. Boże, jak bardzo można oszukać mężczyznę!

– Chcesz powiedzieć, że przez cały czas o tym nie wiedziała?

– Nie. I szok był dla niej zbyt wielki. Rzuciła się z dziewiątego piętra na chodnik. Już przed tym zacząłem naprawdę ostro pić – przydawało mi to tupetu, dawało poczucie własnej wartości. Do czasu, gdy cię spotkałem, chlałem butelkę za butelką.

– Ale nieźle to ukrywałeś...

– Tak, ale po naszym ślubie zaczęło mi się to odbijać na zdrowiu. Typowy przypadek postępującego alkoholizmu. Tak powiedział doktor Fowler. A wzorce seksualnego pożycia, utrwalone przy Normie, jakoś przeniknęły w *nasze* relacje. Byłaś tak młoda i, jak sądziłem, krucha... Bałem się ciebie zranić. Poza tym – nawet jeśli stałem się bardziej realistyczny w podejściu do kobiet – podświadomie czułem, że kieruje tym wszystkim tylko *moja* żądza. Rozsądek podpowiadał mi, że to nieprawda, lecz zbyt długo byłem emocjonalnie uwarunkowany.

– Co cię zmieniło?

Jego szczęki stężały, ściągając policzki, co nadało obliczu Lloyda rys brutalności. Powoli, dobitnie powiedział: – *Podglądanie ciebie i Gregga.*

Gloria była oszołomiona. – Chcesz powiedzieć, że naprawdę *nas podglądałeś?*

Zacisnął kurczowo ręce, ściskając poręcze fotela, aż zmiął pikowaną narzutę.

– Tak, ze szczytu schodów. Dwa razy. Później przestałem. Nie mogłem znieść widoku twojej rozkoszy.

Ręka Glorii drżała, gdy podniosła szklankę do ust.

– Pomyślałabym raczej, że powinno ci to zaszkodzić.

Parsknął z wyrazem pogardy dla samego siebie. – Nie. Leżałem w łóżku, na wpół pijany i wyobrażałem sobie, że jestem nim. Coś jak dziecięce, seksualne fantazje. I wtedy... – Mimo opalenizny na jego twarzy pojawił się szkarłatny rumieniec. – Wtedy odkryłem, że wcale nie jestem impotentem. – Zapalił następnego papierosa, obserwując dopalającą się zapałkę, po czym zgasił ją jednym ruchem. – Istny paradoks, co? Facet, który przyprawił mi rogi, jednocześnie przywrócił mi męskość.

Przeszył ją dreszcz. – To... co najmniej dziwaczne.

– Wcale nie – rzucił sardonicznie. – I kiedy stwierdziłem, że mógłbym was przechytryć, poczułem się silny jak byk. Nie musiałem być niewolnikiem waszej młodości ani lęku przed obsesją, że seks jest czymś niepożądanym. Ja tu rządziłem i wiedziałem już, czego chcesz. Nigdy nie czułem się tak wobec kobiety. Próbowałem coś z tym zrobić – to dlatego tak zarządziłem naszym majątkiem i odebrałem ci wszystko. Lecz tylko okłamywałem samego siebie.

– A jesteś pewien, że tego właśnie chciałam?

Uśmiechnął się pod nosem. – Czyż nie?

Gloria wychyliła się i odstawiła pustą szklankę na stolik do kawy. – Tak – szepnęła.

Odniosła wrażenie, że przyznanie mu racji uczyniło jej zależność jeszcze bardziej poniżającą. Jakoś musi zrównoważyć jego władzę. Jediną bronią Glorii było jej ciało, które już teraz aż gotowało się w środku od zmysłowej żądz. Wstała i sięgnęła do zapięcia na plecach turkusowej sukni. Usłyszała, że Lloyd wstrzymuje oddech, i obserwowała, jak w napięciu przechyła się w przód, gdy rozpinала suwak i pozwoliła sukni opaść na podłogę. Stała przed nim, rozchylając lekko usta w uśmiechu, ubrana jedynie w biustonosz, figi i szpilki na nogach.

– Ostatniej nocy wszystko odbyło się tak szybko – mruknęła.

– Nie było czasu, żeby ci pokazać, jaka naprawdę potrafi być kobieta...

**G**dy odszedł, Gloria znów znalazła kopertę na kominku – następne sto dolarów. Leniwie zadała sobie pytanie, kiedy Lloyd zamieni banknot na tysiąc dolarowy.

Usiadła naga w fotelu, który opuścił, a myśl o pieniądzach przypomniła jej wzmiankę męża o testamencie i ubezpieczeniu. Tego ostatniego nawet nie brała wcześniej pod uwagę, kiedy obliczyła swój aktualny stan gotówki.

Jak duża suma może jej przypaść? Co stałoby się, gdyby spróbowała zaciągnąć pożyczkę na poczet ubezpieczenia?

Bill Torrance wiedziałby to. Czemu nie porozmawiać z nim na ten temat podczas weekendu, u niego w domu?

## 16.

**L**aguna. Ostatni, sobotni dzień urlopu – kapitan Friendly usiadł samotnie przy stoliku z parasolem na tarasie różowego hotelu. Założył granatowe spodnie i szkarłatną koszulkę polo – najwyraźniej dopiero co nabyte –

które nadawały mu niemal groteskowego wyglądu – jakby posąg jakiegoś rzymskiego senatora ubrano dla zabawy w nowoczesny strój. Od czasu do czasu patrzył w dal, na przeciwny brzeg, wyęzając wzrok, by wyłowić srebrnoszary zarys przystani Worthingtonów. Wznoszący się powyżej dom skryty był wśród drzew na urwisku, lecz kapitan, zaglądając do wnętrza oczyma wyobraźni, widział przechadzającą się bez celu kobietę – kobietę przeraźliwie samotną.

Była teraz wolna od kary wymiaru sprawiedliwości, lecz nie od kary, wymierzonej jej przez los. Los? Czy tak abstrakcyjna, niezbadana siła mogła wytłumaczyć ciąg nieszczęść, które osiągały nieszczęsną Głorię Worthington na każdym kroku? Od dnia, kiedy zniknął jej mąż, nieustannie spadały na nią coraz to nowe ciosy. Przypadek? O wiele za dużo tych przypadków. Może bardziej, jakby ręka Opatrzności...

Nagle wychylił się w przód na żółtym, płóciennym krześle, zaciskając wielkie dłonie na drewnianych poręczach. Patrzył w dół – na opiekuna plaży, który zbierał pozostawiony sprzęt plażowy – lecz był całkowicie zatopiony we własnych myślach.

Gdy dziesięć minut później nadszedł porucznik Dillon, kapitan wciąż trwał w tej samej pozycji. Dillon był po służbie, miał na sobie cywilne ubranie, w którym wyglądał o wiele młodziej.

Patrząc na przyjaźnie uśmiechniętą twarz, Friendly nie mógł się powstrzymać od porównania jej ze zrozpaczonym obliczem, które ujrzał po utarczce z Sethem Spiegalem. „Dobry Boże, Abe! – rzekł wtedy Dillon. – Ten mały sukinsyn mnie dobił”. Kapitan żałował teraz, że nie uczestniczył w tym spotkaniu. Wynik, jak wiedział, byłby ten sam, lecz wołałby usłyszeć z pierwszej ręki, w jaki sposób Spiegalel wykorzystał długi ciąg paskudnych zdarzeń i utkał z nich nieskazitelny, ochronny płaszcz dla Głorii Worthington.

– Piekielnie mi przykro, że jutro wyjeżdżasz – powiedział Dillon, przysuwając sobie krzesło i siadając obok. – Jestem pewien, że to nie koniec sprawy Worthingtonów. Na pewno nie.

W umyśle Friendly'ego kształtowała się ludzka mozaika. Skoncentrował się na niej, układając fragmenty po swojemu, by pasowały do całości.

– Prawdopodobnie – rzekł z namysłem – nie poświęciliśmy wystarczająco dużo uwagi jedynej osobie, która może znać wszystkie odpowiedzi.

- Komu?
- Lloydowi Worthingtonowi.

Dillon uśmiechnął się ze znużeniem. – Mówisz tak, jakby Worthington nadal żył.

- Omówiliśmy już wspólnie tę możliwość.
- No tak, oczywiście. To dlatego rozesłałem dookoła zgłoszenie o jego zaginięciu. Rutynowa procedura.

Friendly zapatrzył się w horyzont. – Być może byliśmy zbyt rutynowi. Za bardzo skupiliśmy się na udowodnieniu winy Flandersa... i Glorii Worthington.

– Niestety... – jęknął porucznik, a po twarzy przebiegł mu skurcz na bolesne wspomnienie hańby w biurze Brinkmana.

– Dużo rozmyślałem na temat Lloyda Worthingtona – ciągnął kapitan. – Sądzę, że są pewne przesłanki, pozwalające przypuszczać, że on żyje.

Czarne brwi Dillona uniosły się w wyrazie zdumienia.

– Ale ta krew na pokładzie – przypomniiał. – Może nie udowodnimy, że należała do Flandersa, jednak pokazuje to niezbicie, że oprócz Worthingtona był tam *ktos* jeszcze. Ty nie wątpisz chyba, że krew należała do Flandersa, co?

– Nie, bo to właśnie Flanders wniósł nam pewne wątpliwości odnośnie domniemanej śmierci Worthingtona.

– Idę o zakład, że starszek Worthington wciąż miał w sobie iskierkę woli walki – rozważał Dillon. – Złoił Flandersowi skórę i upuścił mu trochę krwi. Potem Flanders na dobre wyrzucił go za burtę rybom na pożarcie. Następnie zwinął całą gotówkę i akcje, dopłynął do brzegu i poszedł do domu, potwierdzając swoje alibi. A to alibi było chyba tylko dla zamknięcia ust Glorii Worthington, żeby miał dostatecznie dużo czasu na ucieczkę jaguarem. To samo zadanie pełnił list, który później przysłał kochance. Może wcale nie miał zamiaru jej zwozдить, dopóki się nie zorientował, ile szmalu wchodzi w grę. Cały majątek przypadłby żonie Worthingtona dopiero w spadku – a w takim razie do diabła z nią. Tylko że Flanders rozwalił się w wypadku i zginął.

Friendly skinął dostojną głową.

– Wiem, Rod – sami byliśmy przekonani, że tak wszystko musiało się odbyć. Jednak spójrzmy na to z innego punktu widzenia. Co powiesz

na ruchy Lloyda Worthingtona *przed* zbrodnią? Uznaliśmy ewentualne powody jego dziwnego zachowania, idąc właściwie tylko za twoim wytłumaczeniem biegu zdarzeń...

– Po tym, jak dostałem w kość od Setha Spiegala, jestem otwarty na wszelkie sugestie.

Friendly przeszedł zatem do tego, co zaprzętało mu głowę przez większość popołudnia. Do faktu, że tuż przed swoim zniknięciem Lloyd Worthington podjął z kont bankowych praktycznie wszystko, co miał – prawie ćwierć miliona dolarów, łącznie z wartością akcji. Musiał trzymać swoją fortunę albo na łodzi, albo przy sobie. Decyzja niezwykle ryzykowna i pozornie bezsensowna – jak podkreślił kapitan. W każdym razie Worthington tak zrobił – policjanci mieli na to potwierdzenie urzędników bankowych. Jaka mogła być motywacja podjęcia tych pieniędzy? No tak, jasne – Worthington zamierzał kupić posiadłość na Hawajach. Jego żona mówiła, że wspominał o przeprowadzce na wyspy, zaś pośrednik w handlu nieruchomościami, Miscia, potwierdził, że Worthington był do tego stopnia zdecydowany, iż zawarł już z nim umowę. Ponadto przeszłość Worthingtona przedstawiała go jako człowieka od dawna przyzwyczajonego do obracania wielkimi sumami pieniędzy.

– Choć wydawało się to nieprawdopodobne – ciągnął Friendly – zaakceptowaliśmy wszystko całkowicie. Owszem, mieliśmy pewne wątpliwości, ale przystaliśmy na to. Jednak powiedz mi... – w oczach kapitana widać było zdumienie – jak wyjaśnić fakt, że ten człowiek ani słowem nie wspominał o podjęciu takiej kwoty kobiecie, która *jest jego żoną od piętnastu lat*?

– Hm... – mruknął Dillon. – Pewnie zawsze sam się zajmował swoimi finansami, nie chcąc zawracać jej głowy.

– Ależ Rod – *ćwierć miliona dolarów!* To o wiele za dużo, by o tym nie wspomnieć, chyba że istniała po temu jakaś *istotna przyczyna*. A dom? Ten dom, należący do nich od lat, który polubili tak bardzo, że zamieszkali w nim na czas rekonwalescencji Worthingtona? Sprzedał go, nawet nie konsultując się z żoną. Ta wiadomość spadła na nią jak grom z jasnego nieba po zaginięciu męża.

– Tak – potwierdził Dillon. – Zgodziliśmy się, że to dziwne. Uznaliśmy że był mistrzem niespodzianek – w wielkim stylu. To samo z jaguarem.

– To kolejna sprawa. Tuż przed tym, zanim wyruszył w swój ostatni rejs, kazał dostarczyć żonie nowiutkiego jaguara. Prezent, za który *nie zapłacono*.

– *Piekielnie* dziwne, zgoda. Ale...

– Lecz nie na tyle dziwne, by podważyć nasze przekonanie, że Lloyd Worthington został zamordowany przez Gregga Flandersa i swoją żonę, Głorię. – Friendly potarł kanciasty podbródek, jakby sam działał sobie na nerwy. – Zwróć uwagę na wynik działań Worthingtona. Jego żona została pozbawiona prawie całkowicie środków do życia, ich wspólnych dotąd. Wymiar sprawiedliwości może nie być w stanie jej ukarać – niemniej jednak już została ukarana.

Dillon wydał wargi. – Powiedziałbym, że to kara, na którą w pełni zasłużyła.

Kapitan przeniósł spojrzenie bladoniebieskich oczu na porucznika.

– Jednak – i w tym sęk – ta kara albo została wymierzona przez przypadek, albo była *zaplánowana*.

Żrenice Dillona się zwiężyły. Wpatrywał się we Friendly'ego przez dłuższą chwilę.

– Chcesz powiedzieć, że Worthington zrobił to wszystko z wyrachowaniem, zanim zniknął?

– Chyba winniśmy rozważyć taką możliwość.

– W takim razie musiałyby wiedzieć, że Flanders sypia z jego żoną. Dlatego właśnie chciał ją karać tak drastycznie? – W głosie Dillona pojawiła się nuta skrywanego ożywienia.

Friendly odruchowo sięgnął do łańcuszka od zegarka, którego nie miał, i zamiast tego zaczął nerwowo skubać kołnierzyk szkarłatnej koszuli. – Sugeruję o wiele więcej. Jeśli wiedział o romansie, całkiem możliwe, że wiedział także o spisku na swoje życie. Mógł podsłuchać, jak o tym rozmawiali.

– Dlaczego nie zawiadomił policji?

– Prawdopodobnie dlatego, że nie mógł nic udowodnić. I zapewne kierował się pragnieniem osobistej zemsty. Pamiętaj, to dumny mężczyzna, który stał się impotentem. Zdrada żony sprawiła, że poczuł się moralnie rozgrzeszony ze wszystkiego, do czego mógłby się posunąć.



– Nawet morderstwa? – Dillon oblizał usta.  
– Tak, nawet morderstwa.  
– Przypuśćmy, że wszystko, co mówisz, jest prawdą, nawet to, że wiedział o romansie i o planie zabicia go. Czy nie mogło być tak, że oni dopadli go, zanim zdążył ich ubiec?

– Nie sądzę. Worthington zadziałał pierwszy. Mamy na to dowód i *twoja* w tym zasługa. Przypomnij sobie pierwszą rewizję w domu Flandersa. Odkryłeś, że na wszystkich klamkach u drzwi zostały dokładnie usunięte odciski palców. Na pewno nie istniał żaden powód, żeby Gregg Flanders usuwał ślady swoich linii papilarnych we własnym domu. Zatem musiał to być ktoś inny.

– Pomyślałem, że może były to odciski palców pani Worthington...

Friendly obalił tę możliwość. – Gdyby wytarte ślady należały do Glorii Worthington, później pojawiłyby się nowe, kiedy morderca wrócił z łodzi.

– A wiemy, że *ktos* powrócił. Zarówno pani Colby, jak i pani Worthington kogoś widziały, choć nie widziały jego twarzy. A teraz słuchaj, jeśli ktoś z zewnątrz – kogo dotąd nawet nie braliśmy pod uwagę, lecz z grupą krwi 0 – popełnił zbrodnię, nie poszedłby do domu Flandersa i nie kręcił się po mieszkaniu. Wzięłyby jak najszybciej nogi za pas. Nie, według mnie musiał to być Worthington, który wprowadzał w czyn alibi, które Flanders zaplanował dla siebie.

– A więc myślisz, że na łodzi to Worthington rzucił się na Flandersa i go zamordował?

– Albo zaczął się na Flandersa, zanim wszedł na łódź. Ogłuszył go albo zabił, a potem zabrał na pokład. Moim zdaniem to logiczna teoria.

W oczach Dillona mignął błysk wyczekiwania.

– Pani Colby mówiła, że widziała Worthingtona, gdy zmierzał tego ranka na przystań, taszcząc na plecach coś w rodzaju wielkiej torby lub śpiwora.

– Właśnie dlatego popieram ostatnie wyjaśnienie. Sąsiadka faktycznie widziała *Worthingtona* – *nie* Flandersa, jak przypuszczaliśmy. W tej torbie czy śpiworze był Flanders, nieprzytomny lub martwy.

Dillon był już w pełni przekonany.

– A później Worthington musiał wziąć jaguara – ciągnął, idąc za tropem. – To jasne, pewnie miał kluczyki.

– Albo kluczyki zostawiono w samochodzie.

Porucznikowi zrzędała mina. – Ale ta kraksa. Kurtka Flandersa... no i koperta?

– Worthington po prostu zabrał Flandersowi dokumenty przed wciągnięciem go na łódź. Kurtkę znalazł, gdy przebywał w jego domu. A co do koperty – był to genialny ruch. Załatwił za jednym zamachem trzy sprawy, które były dla niego najważniejsze.

– Trzy sprawy?

– Tak. Po pierwsze, sądzę, że to, co zawierał list – ten, który pani Worthington wysłała teoretycznie do kochanka – udowadniał jej udział w morderstwie męża, co mogło być przydatne Lloydowi Worthingtonowi później. Po drugie, sama koperta, odkryta przez policję, dołożyła się do kary, którą wymierzył żonie, ale raczej nie doprowadziłaby do jej skazania.

– Co sam już dobrze wiem!

– Po trzecie, to zdawało się potwierdzać ponad wszelką wątpliwość, że Flanders zginął, *uciekając przed policją*. Wszyscy daliśmy się na to nabrać. Flanders z pewnością nie pozostawiłby tej koperty, gdyby wypadek był mistyfikacją. A w ogóle – o ile mam rację – wszystko poszło dokładnie tak, jak Lloyd Worthington sobie zaplanował. Zrujnował żonę, zamordował jej kochanka i zniknął z całym swoim majątkiem.

Porucznik Dillon gwizdnął przeciągle.

– Wiesz, Abe... – rzekł powoli – myślę, że trafiłeś w sedno. Co do joty. Jak sądzisz, co by się stało, gdybyśmy teraz powiedzieli o tym Brinkmanowi?

– To samo, co stało się ostatnim razem.

– No tak... Seth Spiegal prawdopodobnie udowodniłby, że to ja jestem mordercą. – Dillon chwilę pomyślał. – A czy ta twoja genialna intuicja nie podpowiada ci, gdzie może się teraz ukrywać Lloyd Worthington?

– Niestety, nie.

– No zaraz! A co z Kona?

Friendly wąpił w to. Kona spełniła swoje zadanie. Worthington musiał wziąć pod uwagę, że policja będzie go szukać, zanim zostanie zatwierdzony

sądowy werdykt o jego śmierci. – Po wszystkich swoich zachwytach nad urokami Kona wiedział, że nie pominiemy tego miejsca.

– No tak, policja na całych Hawajach została powiadomiona.

– Jednak przysłała mi do głowy jedna rzecz – ciągnął Friendly z namysłem. – A w najlepszym razie wyjście, dające pewną nadzieję. Sprawy finansowe Worthingtona prowadzi od lat jego stary przyjaciel – niejaki Wiliam Torrance. To prawnik – choć nie należy do śmietanki palestry – i ktoś w rodzaju eksperta finansowego. Jest maklerem giełdowym, tu w Lagunie, a także zajmuje się poradami prawnymi. Dowiedziałem się w banku, że Torrance jest głównym powiernikiem majątku Worthingtona. Być może nadejdzie czas, gdy Lloyd Worthington poczuje, że powinien się skontaktować ze swoim zarządcą. Po pierwsze chciałby rzecz jasna uniemożliwić żonie położenie ręki na reszcie jego majątku... Na twoim miejscu miałbym oko na Billa Torrance'a.

– Zrobię, jak mówisz. – Dillon wstał, gotów od razu wkroczyć do akcji. Położył dłoń na ramieniu Friendly'ego. – Mam nadzieję, Abe, że będziesz ze mną w kontakcie. Bo mówisz, że wyjeżdżasz jutro rano?

Friendly namyślał się przez chwilę i postanowił podjąć ostateczną decyzję przed wyjściem kolegi.

– Nie. Zdecydowałem, że zostanę tu nieco dłużej. Choćby po to, żeby zobaczyć, czy moja teoria się sprawdza.

– Niezły urlop!

– Mam przeczucie, że stanie się o wiele bardziej interesujący.

## 17.

**G**loria podniosła głowę i spojrzała z uwagą na Billa Torrance'a, odrzucając falę długich, jasnych włosów na kwadratowe oparcie fotela. Założyła nogę na nogę tak, by spódniczka ześliznęła się z kolana na udo. Sięgając po drinka, którego podawał jej Torrance, wyprężyła plecy, podkreślając wydatny biust pod obcisłym, błękitnym sweterkiem.

Wypuszczając z dłoni szklanę, Bill Torrance pospiesznie otaksował wzrokiem jej kusząco pochyloną sylwetkę, po czym z wolna obrócił się na pięcie i z pozorną nonszalancją podszedł do małego, biało-czarnego barku w kącie salonu. Pochylił się nad blatem, wpatrzony niby od niechcienia w kostki lodu, wirujące w jego szkockiej. Ten wysoki, kościsty mężczyzna pod sześćdziesiątkę o prostych, czarnych włosach i zimnych, szarych oczach był naprawdę atrakcyjny, jak uznała Gloria. Kto wie, do czego mogłoby między nimi dojść, gdyby nie był tak lojalnym przyjacielem Lloyda.

Nie odzywał się przez kilka chwil, odkąd Gloria oznajmiła mu, zduszonym z rozpaczy głosem, że jest kompletnie zrujnowana. Zareagował jedynie zdziwionym uniesieniem brwi i jeszcze bardziej skupił się na drinkach, które szykował przy barku.

Teraz popatrzył na nią sceptycznie.

- Chcesz powiedzieć, że w ogóle nie masz pieniędzy?
- Tylko tyle, żeby nie umrzeć z głodu. Dosłownie.

Zastanawiała się, co pomyślałby Bill, gdyby wiedział, że jest panienką na noc za sto dolarów. Gdy zauważyła, że jego sceptycyzm się pogłębia, dodała płacząco:

– Seth Spiegel musiał ci powiedzieć. Lloyd zabrał wszystko ze sobą: nasze oszczędności, nasze akcje. A potem Gregg Flanders... – Urwała, jakby miała wybuchnąć płaczem, podpierając czoło opuszkami palców.

Bill stał się nagle troskliwy. – Przykro mi, Glorio. Myślałem, że dysponujesz własnym, zasobnym kontem czekowym.

Potrząsnęła przecząco głową, nie podnosząc wzroku.

Bill ciągnął: – Mogę pożyczyć ci trochę pieniędzy, dopóki wszystko się nie wyjaśni. Nie ma sprawy.

Podniosła głowę, mrugając powiekami, jakby strząsała łzy.

– Dziękuję, Bill, ale czy to konieczne? Mimo wszystko jest przecież ubezpieczenie. – Dopadła ją porażająca myśl. – Dobry Boże, mam nadzieję, że nie było zaległości w opłatach...

Uśmiechnął się powściągliwie. – Ależ skąd. Składki ubezpieczeniowe były płacone na bieżąco...

– Poza tym są przecież akcje. Nie mogły zostać wycofane tylko dlatego, że zaginęły świadectwa udziałowe.

– Nie. Akcje są rejestrowane. W miejsce starych, wycofanych, zawsze wystawiane są nowe. Prawdopodobnie trzeba tego dokonać na drodze oficjalnej. – Torrance w zadumie sączył drinka. Kąciki jego ust opadły w dół.

Gloria usiadła prosto i obciągnęła spódnicę na kolanach. Trzeba było wcielić się w rolę małej, dzielnej wdówki.

– Myślę, Bill, że powinnam bez problemu otrzymać od ręki pożyczkę na poczet ubezpieczenia albo akcji. Albo i na jedno i na drugie. Nawet jeśli nie są wystawione na mnie, stanowią część wspólnoty majątkowej. Jeśli Lloyd odnajdzie się żywy – wzniosła oczy, jakby gorąco tego pragnęła – z całą pewnością wystawi upoważnienie odnośnie tej pożyczki. Jeśli nie zostanie znaleziony – z powagą opuściła wzrok – wtedy majątek i tak przejdzie na mnie. Czyż nie tak jest napisane w jego testamencie?

– Owszem, jest tak napisane. – W głosie Billa pojawił się cień podejrzliwości. Choć był taki nieufny wobec wszystkich kobiet, odkąd rozwiódł się z niewierną żoną ponad dwadzieścia lat temu. – Jak myślisz, ile pieniędzy potrzebujesz?

– Nie jestem pewna. Na ile Lloyd jest ubezpieczony?

– Sądzę, że na sto dwadzieścia pięć tysięcy.

– Do tego akcje są warte około stu tysięcy. Jaką pożyczkę można by zaciągnąć na poczet takiej sumy?

Bill spojrzął na szklankę Glorii i zauważył, że jest w niej jeszcze sporo, więc zaczął robić dla siebie nowego drinka przy barku.

– Zwykle górna granica pożyczki wynosi dwie trzecie – odparł. – Powiedzmy, sześćdziesiąt pięć tysięcy. Lecz oczywiście nie potrzebujesz aż...

– A co powiesz na sto tysięcy dolarów? – wtrąciła Gloria niewinnie. – Na poczet akcji i ubezpieczenia?

Lód zadźwięczał w szklance. Bill odwrócił się gwałtownie, otwierając usta ze zdziwienia.

– Rany! Po co ci, do diabła, aż tyle forsy?

Gloria zrobiła skrzywdzoną minę. – A co w tym dziwnego, Bill? Bądź co bądź dom został sprzedany bez mojej wiedzy. Chciałabym kupić inny. Poza tym chciałabym udać się w podróż, zostawić to wszystko na jakiś czas za sobą. Do tego mam tony niespłaconych długów.

– Ale sto tysięcy! To cztery razy więcej, niż potrzebujesz. Domu nie kupuje się przecież za gotówkę. – Skończył robić drinka i pociągnął łyk.

Zaperzyła się, jakby była zwykłą, ograniczoną kobietą, dla której skomplikowane procedury biznesu są niezrozumiałe i bezsensowne.

– A ja może kupię – oświadczyła. – Po co płacić bankowi te wszystkie odsetki za raty? Potrzebuję też samochodu. Ten stary austin-healy już się rozpada. Dla mnie to oczywiste, że trzeba czymś zastąpić tego jaguara.

Bill spacerował po pokoju. – Tylko co, do licha, powiedziała by na to Lloyd?

– Myślę, że jeszcze by temu przyklasnęła – szepnęła. I dodała, bez ironii w głosie: – Lloyd nigdy nie chciałby widzieć mnie w nędzy...

Torrance podszedł do krzesła, stojącego naprzeciwko Glorii i usiadł. Z namysłem wpatrywał się w swoje buty, wydymając usta. W końcu, unikając jej wzroku, uśmiechnął się krzywo.

– Obawiam się, że potrzebujesz małych korepetycji z procedur prawnych – rzekł protekcjonalnie. – Nie możesz niczego tknąć, aż zostanie sędownie potwierdzona śmierć Lloyda i poświędzona autentyczność testamentu. To może zabrać dużo czasu, mniej więcej rok, albo i dłużej.

Gloria nie okazała zdziwienia. – A czyż nie jest prawdą, że powiernicy mogą zlecić natychmiastową wypłatę *części* majątku? A sąd też prawdopodobnie przychylił się do tej prośby?

– Możliwe, ale kwota, o jakiej mówisz, nawet nie wchodzi w grę. Sąd jedynie mógłby ci przyznać jakąś skromną zapomogę, wystarczającą, byś spłaciła długi, i cykliczny dodatek na życie.

Uśmiechnęła się kokieteryjnie. – Ale to ty jesteś naszym głównym powiernikiem, Bill. Nie mógłbyś ich skłonić, by trochę bardziej poszli mi na rękę?

– Nie, nie mogę. Poza tym, Glorio, nie zrobiłbym tego, nawet gdybym mógł. – Zmrużył powieki, jakby oślepiło go słońce, aż w kącikach oczu ukazały się płytkie zmarszczki.

Gloria poczuła wewnętrzny niepokój, ale dorzuciła zdawkowo: – I jesteś moim przyjacielem. Dlaczego byś tego nie zrobił?

– Po pierwsze, majątek jest nadzorowany przez zespół powierników, aby zapobiec pochopnym działaniom spadkobiercy i szastaniu pieniędzmi.  
– Uśmiechnął się półgębkiem i dodał, niby żartobliwie: – Do diabła, ze stówką w kieszeni mogłabyś zniknąć i nie dać więcej znaku życia! Wtedy ja bym został z większą częścią majątku i nie wiedział, co z tym fantem zrobić.

Gloria dopiła drinka i wstała.

– No cóż, zrób, co się da, Bill. Zobacz, na ile możesz okazać się hojny, a ja zadzwonię do ciebie za kilka dni...

No tak, rozważała w drodze powrotnej, przynajmniej teraz miała lepsze pojęcie, na czym stoi. Była zaskoczona, że prawie nie czuje rozczarowania w związku z pesymistycznymi prognozami Torrance'a. W gruncie rzeczy, to nawet by jej nie przyszło do głowy, że mogłaby zgarnąć sto tysięcy z majątku. Może dwadzieścia pięć albo trzydzieści – wystarczająco, by zyskać nieco finansowej swobody – wystarczająco, by w razie potrzeby uciec od tyranii Lloyda, wydzielającego po sto dolarów co noc. Choć trudno byłoby nazwać to wydzielaniem. Solidnie zapracowała na te pieniądze, szczególnie ostatniej nocy. Widziała po oszołomionej reakcji męża, że ich relacje się zmieniły, jakkolwiek niewiele – rozluźniając swoją niewolniczą zależność, jednocześnie przywiązywała go do siebie.

Powróciła myślą do rozmowy z Billem Torrancem.

Z prawdziwą ulgą przyjęła fakt, że Lloyd jej nie wydziedziczył. Dodała wszystkie kwoty. Ubezpieczenie: 125 tysięcy dolarów. Akcje: 100 tysięcy. Gotówka: 140 tysięcy. Po śmierci Lloyda odziedziczyłaby sumę trzystu sześćdziesięciu pięciu tysięcy dolarów!

Lecz Lloyd był żywy, żywy i pełen energii. Gdyby kiedykolwiek się dowiedział, że próbowała wyrwać taki kawał majątku, natychmiast wypłynąłby na powierzchnię, powstając ze swego wymyślanego, podwodnego grobu i nie tylko uniemożliwiłby jej zabranie choćby centa, ale jeszcze wpakowałby ją do więzienia. Gloria upadła na duchu. Prawdopodobnie może mieć co najwyżej nadzieję na skromną zapomogę, jak zaznaczył Bill. Żeby położyć rękę na pieniądzach, mogłaby zrobić tylko jedno – podjąć decyzję, na którą liczył Lloyd, i stać się znów jego kochającą, wierną żoną, a potem czekać, aż mąż umrze naturalną śmiercią. Chyba że...

Ta myśl owładnęła Glorią z taką siłą, że przejechała skrzyżowanie na czerwonym świetle. *Chyba że uda jej się zniszczyć oświadczenie Gregga i własny list!*

Do tej chwili pragnęła, aby te dwie rzeczy zostały zniszczone jedynie po to, by uniknąć groźby uwięzienia. Teraz dostrzegła, że usunięcie tej przeszkody otworzyłoby jej drogę do majątku Lloyda. Bez istniejących namacalnych dowodów swojej winy mogłaby swobodnie wystąpić o rozwód z Lloydem, za zaniedbywanie jej i opuszczenie. A nawet więcej, o *wiele* więcej. Za alkoholizm, za impotencję – to wszystko było w aktach doktora Fowlera. Za okrucieństwo – sprzedaż domu, ucieczkę z oszczędnościami ich życia... Nikt nie wie, że Lloyd skończył z piciem. Nikt nie wie, że był teraz zdrow jak ryba i jurny jak ogier. Gdyby też wyszło, że zamordował Gregga, nawet jeśli działał w obronie własnej, to tym lepiej. Zabójstwo zostałoby włączone do listy zarzutów.

Lloyd mógłby wtedy perorować ile wlezie o udziale Glorii w morderczym zamachu, a i tak brzmiałoby to jedynie jak paranoiczna teoria spisku niedorobionego męża. Co prawda, Gloria nie otrzymałaby *całej* fortuny – nie przysługiwałoby jej ubezpieczenie – lecz niewątpliwie wyszłaby z tego zwycięsko. Pomyśleć, że była bardziej niż zdecydowana zadowolić się stoma tysiącami dolarów tylko po to, żeby uciec, zmienić nazwisko i żyć gdzieś w ukryciu! Dzięki ugodzie rozwodowej mogłaby zdobyć co najmniej o połowę więcej, zachować nazwisko i bez lęku stawić czoła światu.

Lecz najpierw musiała znaleźć oświadczenie i list. Gdzie Lloyd mógł je trzymać? To jasne. Gdzie, jak nie w najbardziej oczywistym z miejsc – tam, gdzie nocował, gdy wychodził każdej nocy. Jednak lokalizacja jego azylu nie była już tak oczywista. Gloria nie miała najmniejszego pojęcia, w jakim kierunku się udawał, czy mieszkał na wsi, czy w mieście; w apartamencie, domu czy przyczepie.

Była pewna, że musiał przyjeżdżać samochodem. Nawet sobie nie wyobrażała, by miał się ukrywać właśnie tu, w Lagunie, pod samym nosem Dillona i Friendly'ego, nie wspominając o znajomych, którzy mogliby go rozpoznać. Gdzie Lloyd parkował samochód? Wiedziała, że nie na podjeździe. Może w jakimś zacisznym zakątku w pobliżu plaży...



Istniał tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Pójdzie za nim. Dziś w nocy. Na myśl o tym zadrżała ze strachu.

**B**yło po jedenastej, kiedy Lloyd cicho wślizgnął się do salonu z tarasu. Posępny i zamknięty w sobie, trzymał ręce w kieszeniach, krążył niespokojnie przed sofą, na której siedziała Gloria. Próbowwała zachęcić go, by przysiadł obok i z nią pogawędził, lecz zbywał ją od niechcienia półsłówkami, nawet nie próbując się do niej zbliżyć.

– Jesteś dziś jakiś nieswój, Lloyd. Czy coś się stało? – zapytała w końcu.

Przystanął i z wolna potrząsnął głową, jak w oszołomieniu.

– Nie, nic się nie stało. Po prostu jestem dziś wyjątkowo zmęczony rolą uciekiniera.

Gloria podchwyciła ten wątek. – Wcale nie musisz być uciekinierem, Lloyd.

Dostrzegła tęskny błysk w jego oczach. Zapalił papierosa, grając na czas. – Co przez to rozumiesz?

– Myślę, że możesz wyjść z ukrycia, wymyślić jakąś historię. Powiedzmy, o amnezji.

– A ty?

– Zostanę z tobą. Nie będzie wielu pytań, jeśli zostaniemy razem.

Tęsknotę w jego oczach zastąpiła podejrzliwość.

– Chcesz powiedzieć, że *pragniesz* ze mną mieszkać?

Wiedziała, że to zabrzmia niewiarygodnie.

– Chcę powiedzieć, że mogłabym *spróbować*. Jesteś teraz inny. – Przesunęła wilgotnymi dłońmi po udach. – *Zupełnie* inny. – Czuła, że mąż ją obserwuje. – I ja także jestem inna. To... wiesz, o czym mówię... to było tak, jak mówiłeś: chyba musiałam być zahipnotyzowana.

– I możesz być znowu – dorzucił cierpko.

– Nie. Jeśli ty zostaniesz taki, jaki teraz jesteś.

Usiadł obok Glorii, wpijając wzrok w jej twarz.

– Zawsze myślałabym, że to dlatego, iż mam cię w garści – rzekł łagodnie.

Poczuła skurcz żołądka. Teraz, decydujący moment. – Jest tylko jeden sposób, żeby dowieść, że to nieprawda – szepnęła.

Lloyd czekał.

– Jedyne sposoby. Musisz zniszczyć to oświadczenie i list – dokończyła.

Wstrzymała oddech, gdy zapadła długa cisza. W końcu Lloyd wstał z sofy.

– No cóż, Glorio, to był niezły ruch.

– O czym ty mówisz? – obruszyła się, zgorziona.

Przeszedł na drugą stronę salonu, rzucając przez ramię: – Nawet o tym nie myśl. Bez tych dowodów byłbym stracony. – Obrócił się na pięcie i rzucił Glorii lodowate spojrzenie. – Nie pojmujesz, że ja wiem, czego naprawdę pragniesz – pieniędzy.

Skoczyła na równe nogi. – To nieprawda! – wrzasnęła z furją.

Dyszała z wściekłości – po części na siebie za głupią nadzieję, że uda jej się usunąć dowody podstępem. Teraz pozostało jej zrobienie tego, czego tak się bała.

Twarz Lloyda zwiotczała w wyrazie zadumy. Powiedział niemal ze skruchą: – Wybacz, lecz nie ma czasu, by to omówić. Może jutro... – urwał nagle, odwrócił się na pięcie i wyszedł kuchennym wyjściem bez słowa pożegnania.

Gloria, kiedy tylko usłyszała trzaśnięcie drzwi, natychmiast zrzuciła z nóg szpilki i wskoczyła w sandały. Gdy uznała, że Lloyd zszedł ścieżką na bezpieczną odległość, ostrożnie otworzyła kuchenne drzwi, wymknęła się na zewnątrz i cichutko zamknęła je za sobą. Jasny blask księżycy przeświecał między drzewami, lecz ona skradała się w mrocznym cieniu domu. Kiedy przechodziła obok garażu, zaczęła nasłuchiwać, lecz nie wychwyciła ani śladu obecności męża. Zeszła ze ścieżki, ale szła wzdłuż niej, prześlizgując się przez gąszcz krzewów, omijając paprocie i aralie, świdrując wzrokiem ciemność.

Już prawie dotarła do chodnika przy szosie, gdy nagle odskoczyła.

Lloyd stał w miejscu, gdzie ścieżka dochodziła do chodnika, lekko się kuląc, wyciągając szyję, żeby sprawdzić obie strony szosy. Wycofał się, odwrócił i zaczął iść prosto w kierunku Glorii.

Przywarła nieruchomo do pnia palmy, chwytając szorstką korę. Księżyc oświetlał całą postać jej męża, otaczając go widmowym blaskiem, gdy przeszedł dziesięć kroków od drzewa, za którym stała. Lloyd przystanął i wyteżył słuch. Nocna bryza poruszyła palmami.

Gdzieś w oddali zawył pies. Oprócz tego – głucha cisza. Zauważyła, jak Lloyd z ulgą prostuje ramiona. A potem skręcił i zniknął między drzewami po przeciwnej stronie ścieżki.

Przez chwilę uważnie nasłuchiwała, wychwytyjąc trzask gałązek i szelest, gdy przedzierał się przez gąszcz. Wydawało się, że idzie równoległe do szosy.

Zesztywniała ze strachu wychynęła zza pnia palmy i stąpając bezszelstnie w płaskich sandałach, zeszła ze ścieżki na chodnik. Minęła już północ i jak okiem sięgnąć nie było ani żywej duszy. Gloria skręciła w prawo i szybkim krokiem ruszyła skrajem szosy, czując się straszliwie odsłonięta w świetle wysokich, ulicznych latarni. Co kilka sekund przystawała i nastawiała uszu, lecz nie docierał do niej żaden dźwięk z pograżonego w mroku pasa roślinności, oddzielającego szosę od morza. Lloydowi udało się jakoś jej umknąć. Gloria postanowiła dojść tylko do różowego hotelu, jakieś dwieście jardów dalej.

Na ostatnim skrzyżowaniu przed hotelem przystanąła, zamierzając zawrócić. Była to ślepa uliczka, nie szersza niż zaułek, prowadząca w dół, do budki z napojami przy deptaku po drugiej stronie. Gloria rozejrzała się i wtedy go dostrzegła. Wsiadał do samochodu, zaparkowanego w głębokim cieniu na końcu uliczki. Auto było jakimś starszym modelem dwudrzwiowego sedana w ciemnym kolorze. Chevrolet, pomyślała. Instynktownie okręciła się na pięcie, cofnęła o parę kroków i skryła się za pniem palmy.

Po chwili ujrzała samochód – szary w świetle latarni – wyjeżdżający na szosę i skręcający w lewo, w stronę, gdzie stała. Przejechał zrywami na drugą stronę pustej ulicy i nagle wystrzelił do przodu, gdy Lloyd wrzucił drugi bieg. Długo patrzyła za szybko oddalającym się samochodem, mijającym ścieżkę do jej domu i znikającym za zakrętem.

Gloria wypuściła powietrze przez zaciśnięte zęby. To dopiero początek, pomyślała. Jutro w nocy, gdy Lloyd wyjdzie, ona pojedzie austinemhealy bliżej autostrady. I zaczeka. Potem, kiedy Chevrolet przemknie obok, pojedzie jego śladem.

## 18.

**S**nop światła reflektorów odbił się od skłębionej mgły, tworząc nieprzeniknioną ścianę blasku. Gloria zredukowała biegi, zjeżdżając austinem-healy na pobocze szosy i zatrzymała go z chrzęstem.

Niemal do tej chwili wszystko układało się zgodnie z jej planem. Zaczekała na podjeździe i kiedy szary sedan Lloyda przemknął obok domu, wjechała na autostradę i ruszyła za nim, zachowując bezpieczny dystans. Miłą na północ Lloyd skręcił w boczną drogę. Na szosie było tylko kilka aut, ale to wystarczyło, by Gloria nie rzucała się w oczy i jednocześnie miała szary samochód w polu widzenia. Po przejechaniu czterech mil wjechali w tuman gęstej, przygruntowej mgły, która wypełniała dolinę jak kłęby bawełny. Gloria podjechała bliżej do chevroleta męża, garbiąc się i prawie opierając podbródek na kierownicy, żeby widzieć zarówno rozmyte, różowe smugi tylnych świateł, jak i białą linię pośrodku szosy. Wlekli się żółtym tempem następne trzy mile, aż pokonali kolejny zakręt. I wtedy blask tylnych świateł zniknął. Gloria zwolniła i zatrzymała wóz, obserwując licznik przebiegu – od swojego podjazdu przejechała prawie osiem mil.

Teraz, siedząc w zaparkowanym austinie-healy, utrzymując silnik na jałowym biegu, paliła papierosa i zachodziła w głowę, co robić. Gdzieś z tyłu, na zakręcie szosy musiał być jakiś zjazd – oddalony chyba tylko o kilkaset jardów. Wrzuciła bieg, ruszyła i zawróciła. Może udałoby się jej usłyszeć odgłos silnika samochodu Lloyda.

Przejechawszy jakieś dwieście jardów, Gloria zahamowała i przekręciła kluczyk w stacyjce, wyłączając zapłon. Opuściła szybę i przyłożyła zwinętą dłoń do ucha. Wydało się jej, że słyszy chrzęszczący dźwięk gdzieś po lewej stronie, jakby samochód pracował na niskim biegu. Mgła wdzierająca się przez okienko do środka skłoniła Glorię, żeby zrezygnowała z ryzykownego szpiegowania – zbyt łatwo mogła zboczyć z drogi, nie mając żadnego punktu orientacyjnego. Musiałaby spróbować jeszcze raz, kiedy indziej. Sfrustrowana i wściekła, usilnie szukała jakiegoś sposobu, żeby zostawić znak, dzięki któremu rozpozna to miejsce.

Grzebiąc w torebce, natrafiła na szminkę. Potem wyciągnęła ze schowka

na rękawiczki dużą, aluminiową latarkę i wysiadła, rzucając stożek żółtego światła na drogę. Betonowa nawierzchnia, aż prosząca się o naprawę. Gloria przeszła na drugą stronę i przykucnęła, skulona, na drżących nogach, po czym nakreśliła szminką cztery grube linie, długie na trzy stopy i mniej więcej tyle samo od siebie oddalone. To, w połączeniu ze znajomością przejechanego dystansu, powinno zapewnić jej ponowne znalezienie tego miejsca. *O ile* nie będzie mgły.

Wracając do samochodu, zerknęła na zegarek. Dopiero wpół do jedenastej. Lloyd zjawił się w domu o dziewiątej i został mniej niż pół godziny. Sprawiał wrażenie głęboko pogrążonego w depresji, mówił niewiele, lecz od czasu do czasu rzucał Glorii spojrzenie, pełne skrytej tęsknoty. Uczynił tylko jedną znaczącą uwagę: niedługo, bardzo niedługo będą musieli podjąć decyzję odnośnie ich odmiennych stosunków, być może razem stąd uciec. Powiedziała, że zastanowi się nad tym, udając, że ma wybór. Znow unikał jakiegokolwiek fizycznego kontaktu. Była zaskoczona i zatrwożona własnym poczuciem zawodu. Zdała sobie sprawę, że potrzeba seksualnej rozkoszy stała się dla niej niemal nałogiem. Było to ziarno, które rozkwitło za sprawą jej i Gregga. Lecz teraz przerodziło się w szkaradny chwast, który wzrastał na każdej glebie.

Wspomnienie Gregga zakwitło w jej umyśle. Gregga, który wcale nie zdradził Glorii, podczas gdy ona zdradziła go swoimi podejrzeniami. Gregga, który myślał jedynie o utworzeniu drogi do ich małżeństwa, a który został poświęcony w ofierze w imię namiętności do niej. A mąż Glorii odegrał rolę kata. Dziwaczny paradoks – nienawidziła Lloyda, a mimo to wzbudzał w niej pociąg seksualny. Nie, skorygowała to zaraz ponuro, po prostu przechodziła etap seksualnej pobudliwości.

Przez całą drogę powrotną gorycz i wyrzuty sumienia rozdzierały jej duszę. Gdy wjeżdżała na podjazd, w jej oczach lśniły łzy. Wtem inne uczucie dźgnęło Glorię jak nóż – strach. Reflektory jej auta oświetliły tył samochodu, zaparkowanego przy wjeździe do garażu. Był to policyjny wóz patrolowy.

Omijając go, wjechała do środka, wysiadła i wyszła na zewnątrz, na spotkanie z porucznikiem Dillonem, który właśnie opuścił swoje auto i stał sztywno w świetle przednich reflektorów.

– Co *pan* tu robi, poruczniku? – zapytała Gloria wyniośle.

– Właśnie odjeżdżałem, pani Worthington – Dillon próbował okazać nonszalancję, lecz był wyraźnie speszony. – Miałem do pani kilka pytań.

Gloria wyciągnęła rękę tak, by snop światła oświetlił jej przegub i ostentacyjnie spojrzała na zegarek.

– Już po jedenastej – rzuciła szorstko. – Raczej dziwna pora na wizyty, nieprawdaż?

Dillon przestąpił z nogi na nogę. – Owszem. Ale...

– Zwykle o tej godzinie już śpię – przerwała mu Gloria w pół słowa. Starła się, żeby nie zabrzmiało to jak tłumaczenie, więc podtrzymała ton urazy w głosie. – Ale tym razem postanowiłam pojechać na przejażdżkę, wyrwać się z tego domu.

– Rozumiem. Ja chciałbym tylko wiedzieć...

– Mógł pan zatelefonować. – Poczula, że musiała wyprowadzić go z równowagi.

Zauważyła, że drgnęły mu mięśnie szczęki.

– Ale krążyłem akurat samochodem po okolicy – rzekł sucho.

Wyprostował się i założył ręce za plecami, przyjmując swobodną pozycję i odyskując pewność siebie. – Proszę mi powiedzieć, pani Worthington, czy miała pani jakieś informacje na temat miejsca pobytu pani męża?

Chwiejnie zrobiła krok w tył. – *Mojego męża! Ależ oczywiście, że nie!* Natychmiast bym was zawiadomiła.

Odchrząknął z niedowierzaniem, lecz odparł: – Tak też myślałem.

Zaatakowała ponownie: – W takim razie dlaczego zadaje pan tak idiotyczne pytanie?

W przyćmionym blasku reflektorów dostrzegła, że policjant poczerwieniał, jakby go spoliczkowała.

– Nie uważam, że to idiotyczne pytanie. Moim zdaniem całkiem możliwe, że pani mąż nadal żyje.

Z trudem przełknęła ślinę. – No, no, panie poruczniku, cóż za nagła zmiana frontu. Cóż za odmiana po tych wszystkich miłutkich sprawach, o których mówił pan w biurze Brinkmana. Jak się nie mylę, twierdził pan, ni mniej, ni więcej, że mój mąż został zamordowany, a ja byłam współniczką tego morderstwa.

Twarz Dillona stężała w wyrazie zawziętości, jakby jej wyniosła postawa była naturalną kolejną rzeczą.

- Myślimy, że istnieje inna opcja, którą należy rozważyć.
- „Myślimy”? Chce pan powiedzieć, że tak sądzi *kapitan Friendly*?
- *Obydwaj* tak myślimy...

– Wątpię, czy w ogóle pan myśli, panie Dillon. Skąd to nagłe mniemanie, że być może mój mąż wciąż żyje? Czy sugeruje pan, że pan Flanders mimo wszystko jest niewinny?

– Nie. Wciąż twierdzimy, że Flanders maczał w tym palce. Jednak podejrzewamy... – mówił teraz bez przekonania. – Podejrzewamy, że istnieje znikoma szansa, iż pan Worthington być może przeżył napad.

Gloria stłumiła przyływ nagłego przerażenia.

- *Jeżeli* przeżył, nie uważa pan, że powinien wrócić do domu?
  - Pewnie by wrócił, chyba że został uderzony tak mocno, że stracił pamięć. Przynajmniej tymczasowo. – Oczy Dillona błysnęły wyzywająco.
- Dlatego pomyślałem, że przyjdę i sprawdzę, czy nie dostała pani od niego jakiejś wiadomości.

Nie mogła się oprzeć, żeby mu jeszcze raz nie dociąć.

– On wtedy raczej nie zadzwoniłby *do mnie*, poruczniku. Nie w przypadku, gdybym pomagała ułożyć plan jego zabójstwa. A pan myśli, że by to zrobił?

Dillon niespiesznie posłał jej złośliwy uśmiech.

- Może o tym nie wie... – mruknął.

Tupnęła energicznie obutą w sandał stopą. – Do diabła z panem! Niczego się pan nie nauczył, co?! Myślałam, że wszystko już ustaliliśmy w biurze prokuratora.

Uśmiech Dillona stał się niemal demoniczny.

– Oficjalnie też uznałem w tej sprawie stanowisko prokuratora. – Odwrócił się, potrącając Glorię, gdy w trzech długich krokach dopadł drzwiczek radiowozu. – Jak na razie to wszystko. – Wślizgnął się za kierownicę, docinając jej w odwecie: – Jestem pewien, że to *pani* do nas zadzwoni, gdy dostanie jednak wiadomość od męża...

Zacząła go przeklinać, lecz ryknął zapuszczany silnik, gdy policjant zawrócił samochód i przyspieszając, zjechał z podjazdu.

Gloria stała, roztrzęsiona i zdezorientowana. Lecz jedno było jasne: koniec z wizytami Lloyda. Policja musi posiadać informacje, których wcześniej nie ujawniała... O wiele więcej informacji – Gloria była tego pewna – niż sugerował Dillon. W dodatku dom był najwyraźniej pod policyjnym nadzorem, przynajmniej tymczasowo.

Jutro wieczorem będzie musiała jakoś wyjechać Lloydowi naprzeciw i go ostrzec. Jeśli przyłapią go tutaj, pomyśli z pewnością, że to ona na niego doniosła. Wiedziała, że zareagowałby błyskawicznie: sprezentowałby policji jej list i oświadczenie Gregga.

Sprawą pilniejszą niż kiedykolwiek stało się teraz zniszczenie dowodów.

Następnego dnia, późnym poniedziałkowym popołudniem, porucznik Dillon argumentował Friendly'emu, że coś się chyba dzieje. Stojąc za biurkiem, miarowo uderzał pięścią w blat, ze wzrokiem utkwionym w siedzącego naprzeciwko kapitana.

– Do diabła, Abe, mówię ci, że ona coś knuje. Po co miałyby jechać do tej zakazanej okolicy o dziesiątej w nocy?

– Być może chciała po prostu wyrwać się z domu – odparł Friendly łagodnie. – To całkiem zrozumiałe.

Dłoń Dillona przecięła powietrze. – Właśnie tak powiedziała. Akurat to nikogo by nie zdziwiło. Ale dlaczego, kiedy wjechała w mgłę, po prostu nie zawróciła? Ta mgła była gęsta jak zupa. Ale nie – ona musiała w nią wjechać. Straciłem ją z oczu – i to ja zawróciłem.

Friendly zerknął niespokojnie na porucznika. Sprawiał wrażenie, że zbyttno się angażuje w tę całą sprawę.

– A dlaczego pojechałeś potem do niej do domu?

– Bo chciałem dać jej do zrozumienia, że jeszcze nie urwała się z haczyka. Myślę, że jeszcze niejedną raz powinna jej się noga. Pytałem, czy ma jakieś wiadomości na temat męża. – Na zdumienie spojrzenie Friendly'ego, skwitował bez skrpułów: – A czemu nie? Bądź co bądź, Lloyd Worthington jest wciąż notowany tylko jako zaginiony.

Friendly skubał nerwowo masywny podbródek.

– Czy, według ciebie, to prawdopodobne, że mogła jechać na spotkanie z nim?



Dillon parsknął z dezaprobatą.

– Ładne mi spotkanie! Przecież nawet jest wątpliwe, czy on w ogóle żyje. A jeśli przeżył, a ona o tym wie – to wie również, że zabił jej kochanka. Nie wspominając o tym, że zrobił z niej nędzarkę. Mój Boże, jedynym powodem do takiego spotkania byłoby to, że chciałaby...

– ...go zabić?

– Dokładnie tak. – Dillon padł na krzesło i odchylił się w tył, splatając dłonie na karku. – Jednak gdyby była sprytna – a jestem cholernie pewien, że jest – odniosłaby większą korzyść, oddając go w nasze ręce. Po tym, co jej zrobił, i do tego gdyby zabił Gregga Flandersa, przyznano by jej niezłą ugodę rozwodową. Mogłaby wyprzeć się, że miała kochanka, składając to na karb rojeń zazdrosnego, podstarzałego mężczyzny, który miał już z górki.

Negując to, Friendly energicznie potrząsnął głową.

– Zapominasz o liście, Rod – tym, który Gloria Worthington wysłała do San Diego. Do Flandersa, jak sądziła. Ale o ile moja teoria jest słuszna, odebrał go Lloyd Worthington. Później podrzucił *kopertę*, znaną w zdemolowanym samochodzie, lecz zachował *list*. Jeśli list zawiera to, co podejrzewam, obciąża ją udziałem w zabójstwie męża. Dlatego *ona musi* siedzieć cicho. – Kapitan myślał logicznie i szybko. – I rozważ to. Jeśli Worthington ma list, może zostać schwytany i nie spędzić w więzieniu nawet jednego dnia. List udowodniłby, że działał w obronie własnej przeciw napastnikowi, nastającemu z premedytacją na jego życie. Udowodniłby, że jego żona była tu współniczką, o ile nie inicjatorką mordu. W związku ze śmiercią Flandersa, cała wina spadłaby na nią. Wtedy mąż mógłby się z nią rozwieść, nie płacąc jej ani centa. I to ona prędzej trafiłaby do więzienia, nie on. Może ten Seth Spiegel wykazał się sprytem odnośnie informacji, które na wtedy zdobył, ale ja już widzę jego minę, gdy Lloyd Worthington kiedyś pokaże mu ten list. I pamiętaj, że Seth Spiegel tak naprawdę jest adwokatem Lloyda Worthingtona, a nie jego żony.

Dillon, marszcząc brwi, kiwnął się z krzesłem do przodu.

– Jeśli Worthington ma ten list, czemu się, do diabła, nie ujawni? Po co żyć jak zaszczute zwierzę? Jeśli może tym załatwić swoją żonę, to

czemu tego nie zrobi? Czy nie szłoby to w parze ze wszystkim, co dotychczas jej wyrządził?

– Być może uzależnił to od jej decyzji – odrzekł Abe z zadumą.

– Być może miał jakiś powód, który nam wydawałby się niezrozumiały. Myślę, że w tej kwestii jego podejście byłoby cokolwiek irracjonalne...

Dillon wywrócił oczami. – Chryste, chyba nie sądzisz, że pragnąłby, żeby do niego wróciła?!

– To byłoby nieprawdopodobne.

Dillon uśmiechnął się niewesoło. – I na pewno nie pożałowałby jej ciała – wspaniałego, co by nie mówić.

– Nie... – westchnął Friendly niemal z żalem. – Godne ubolewania, ale tego by nie pragnął. – Otrząsnął się i powrócił do profesjonalnego tonu. – W każdym razie możemy być pewni, że jego żona chce odzyskać ten list. Musisz ją mieć na oku.

– Dokładnie to robię. Jednak musimy wzmocnić siły – dodał żartem. – Są *dwie* osoby, które musimy mieć na oku.

Friendly pytająco uniósł brwi.

– Bill Torrance – choć biorąc pod uwagę to, co robił dotychczas, wydaje się czysty jak łąza – dokończył Dillon.

## 19.

**W** ukośnych promieniach popołudniowego słońca linie, wykonane szminką na spękanej nawierzchni szosy, wyglądały jak ślady krwi. Gloria, zadowolona z siebie, odetchnęła, sunąc wzdłuż pobocza na drugim biegu i lustrując wzrokiem porośnięte drzewami przydroże w poszukiwaniu jakiegoś zjazdu. Po przejechaniu około trzydziestu jardów, pod nawisem gałęzi, znalazła to, czego szukała – dwie kamieniste koleiny, biegnące pod kątem prostym do jezdni. Zatrzymała samochód, wysiadła i odsunęła gałąź, wchodząc na drózkę. Przeszła jeszcze dziesięć kroków – tam, gdzie nic nie przesłaniało drogi na długości mniej więcej ćwierć mili.

Była pewna, że gdzieś tam, być może za wzgórzem, Lloyd siedzi sam na sam ze swoimi myślami. A także z całą swoją fortuną, oświadczeniem Gregga i jej listem.

Rozważała, czy iść dalej, ale nagle zmieniła zamiar. W świetle dnia ryzyko wpadki było zbyt wielkie. Poza tym, stojąc samotnie na leśnej drodze, straciła zimną krew – musiałaby najpierw znów ją odzyskać. Lecz po druzgocącej scysji z porucznikiem Dillonem wczorajszej nocy nie mogła pozwolić, by upłynął następny dzień, a ona nie zdobyła dowodów, które Lloyd zgromadził przeciwko niej.

Zadrżała w przeczuciu zuchwałości tego, co musi zrobić. Kiedy Lloyd opuści tej nocy jej dom i podjedzie do tej dróżki, ona musi już tu być.

Wróciła do domu tuż po piątej. Pozostało jej tylko niekończące się oczekiwanie. Wypiła dwa drinki, żeby rozluźnić skurczony żołądek, a później zmusiła się do przełknięcia kilku łyżek zupy i szklanki mleka. Pałac nieustannie, skuliła się w fotelu i kartkowała stertę czasopism, wcześniej rozrzuconych w nieładzie na podłodze. Gdy skończyła, wyszła bez celu na taras i usiadła na murku, napawając się dodającym otuchy widokiem purpurowego słońca, zachodzącego za horyzont. Następnie – ponieważ Lloyd mógłby się zastanawiać, dlaczego zastał ją w spodniach i swetrze – poszła na górę i przebrała się w tunikę w kolorze szampana.

W końcu, o dziewiątej, oczekiwanie stało się nie do zniesienia. Napiła się w kuchni czystego bourbona i kiedy poczuła, że alkohol działa, wymknęła się chwiejnie w mrok.

Po omacku doszła ścieżką jak najbliżej szosy; przeszła przez podjazd i przystanęła pod kępą palm. Na niebie świeciły gwiazdy, lecz noc była bezksiężycowa, więc stała w smolistej ciemności, nic nie widząc i słysząc tylko monotonne, nieustanne cykanie świerszczy. Minęło dwadzieścia minut.

Wtedy usłyszała słaby szelest w zaroślach.

Wyszła na skraj podjazdu. Znajoma sylwetka wychynęła nagle w polu widzenia. Bez tchu wyszeptała imię męża.

Postać znieruchomiała jak posąg, a następnie ożyła i ruszyła w jej kierunku.

Lloyd chwycił Głorię za ramiona.

– O Boże! – warknął ze złością. – Co ty tutaj robisz?

– Musisz wracać. Policja obserwuje dom.

Usłyszała, jak Lloyd robi szybki wdech.

– Teraz?

– Nie, nie sądzę, że teraz. Ale wczorajszej nocy był tu porucznik Dillon. Chciał wiedzieć, czy nie dostałam jakiejś informacji na twój temat – gdzie możesz teraz być.

Mocniej zacisnęła dłonie na ramionach Glorii.

– Według ciebie oni myślą, że żyję?

– Nie wiem. On mówił coś o nowej opcji w ich śledztwie... – Szarpnęła się lekko, więc ją puścił, zwieszając ciężko ręce po bokach.

– W takim razie może tak przypuszczają – rzekł ochryple. – Musimy coś zrobić, i to szybko.

– Co my *możemy* zrobić?

– Nie wiem... jeszcze.

Gloria miała obawy, że to wszystko trwa zbyt długo. W każdej chwili samochód Dillona mógł wjechać na podjazd.

– Lloyd, musisz odejść – wracaj do swojej kryjówki, gdziekolwiek się ona znajduje. Jedź tylko inną trasą. Na wypadek, gdyby cię śledzili.

Ujął w dłonie jej twarz i lekko przyciągnął do siebie. – Czy uciekniesz ze mną?

Wahała się tylko przez mgnienie oka. – Tak...

– Wobec tego będę z tobą w kontakcie. Do jutra. – Powiódł opuszkami palców po jej policzkach, jakby chciał się upewnić, że Gloria naprawdę istnieje. Rzucił jej ostatnie spojrzenie, pełne bólu i czułości zarazem, nim zawrócił i pośpiesznie zniknął pomiędzy drzewami, przemykając chyłkiem jak spłoszone zwierzę.

Zaczekała, wyęzając słuch, dopóki granie świerszczy nie zagłuszyło ostatnich odgłosów jego przeprawy, po czym zbiegła ścieżką do garażu. Po chwili siedziała już za kierownicą austina-healy i zjeżdżała podjazdem, skręcając następnie w lewo na Coast Highway.

W czystym, nocnym powietrzu dotarcie do zjazdu zajęło jej niecałe piętnaście minut. Przyhamowała i zredukowała biegi, skręcając na leśną ścieżkę, czując wstrząs, gdy auto podskoczyło na wysokim krawężniku jezdni, a koła wtoczyły się w kamieniste koleiny. Turkocząc, przejechała jeszcze jakieś pięćdziesiąt jardów, zatrzymała samochód przy zagajniku drzew cyprysowych, a potem wrzuciła wsteczny bieg i wjechała tyłem pod nisko zwieszające się gałęzie. Zgasiła reflektory, wysiadła i ruszyła pod górę leśną drogą, widmową w świetle gwiazd, do miejsca, gdzie

przechodziła ona stopniowo na stok odległego wzgórza. Gdzieś tam czekały dowody, które zwróciłyby jej wolność.

Pierwotny plan Glorii polegał jedynie na wyśledzeniu, gdzie Lloyd ukrył cenne papiery. Później obmyśliłaby jakiś sposób, żeby je porwać i uciec. Była pewna, że mąż musi je sprawdzić, gdy wróci, szczególnie tej nocy, kiedy obawiał się, że policja być może coś zwęszyła. Wątpiła, czy Dillon, mimo całego swojego zadęcia, miał przeciwko niej jakieś konkretne dowody. Był zwykłym fanatykiem, skupionym na własnej karierze, mającym nadzieję, że ją zaszczuje i zmusi do popełnienia jakiegoś głupiego błędu. Ignorował werdykt Nelsona Brinkmana i jeśli będzie to dalej ciągnął...

Hałas silnika wyrwał Głorię z zamyślenia. Przykucnęła i mrużąc oczy, spojrzała w stronę szosy; tam, gdzie sama wjechała. Dwa snopy światła zakołysały się, kiedy samochód, który przyjechał z przeciwnego niż ona kierunku, skręcił z autostrady na leśną drogę. Lloyd usłuchał jej rady i wybrał inną trasę. Podkraśla się z powrotem do swojego auta i przycupnęła za tylnym błotnikiem. Słysząc było tylko jej oddech, płytki i świszczący, kiedy samochód przetoczył się obok, w odległości niecałych dziesięciu jardów. Był to szary Chevrolet sedan.

Kolebiąc się, pojechał dalej drogą na wzgórze, aż czerwone tylne światła zmieniły się w ledwie widoczne punkciki. W połowie stoku przednie reflektory zakręciły i przystały między drzewami. Świeciły jeszcze przez około pięć sekund, po czym zgasły. Gloria usłyszała odległy trzask zamykanych drzwiczek.

Tam było miejsce, którego szukała.

Przez kilka minut trwała w całkowitym bezruchu, wsparta nagim ramieniem o zimny metal karoserii. Przytłaczało ją ogromne i przerażające osamotnienie, jakby zniecacka znalazła się po ciemnej stronie księżyca. Potem niespokojny trzepot ptasich skrzydeł w koronie drzewa nad głową przywrócił jej poczucie rzeczywistości; wsiadła szybko za kierownicę. Wyprowadziła samochód z zarośli, nie włączając świateł, i ruszyła pod górę, podskakując na czarnych korzeniach, lecz mglisty księżyc służył jej teraz za przewodnika. Wjechała kawałek na wzgórze, wyłączyła silnik i nasłuchiwała przez otwarte okno. Wokół panowała martwa cisza, jakby z ziemi zniknęły wszelkie żywe istoty. Ponownie ruszyła i wrzuciła wsteczny bieg, szybko parkując auto między drzewami przy trakcie, lecz tym

razem ustawiła je przodem do zjazdu ze zbrocza. Zamierzała przebyć resztę drogi pieszo – nie było to więcej niż kilkaset jardów. Wyciągnęła dużą latarkę ze schowka na rękawiczki i ruszyła przed siebie na trzęsących się nogach.

Biegnąc truchcikiem po stoku, usłanym kamieniami, które wbijały się w podeszwy jej sandałów, dotarła w niespełna kilka minut do miejsca, gdzie, jak oszacowała, widziała ostatni błysk reflektorów w wysokich zaroślach.

Nisko schylona, przesłoniła latarkę wolną ręką i zapaliła ją, kierując wąski strumień światła na ubitą ziemię. Oświetlając z kolei miękki grunt na poboczu drogi, zauważyła świeże ślady opon, wiodące do prześwitu między drzewami. Tam jakiś blask migotał jak robaczek świętojański, przeświecając przez gęste listowie. Wyłączyła latarkę, zeszła z drogi na zwirowany podjazd. Mrugając oczyma i trzymając przed sobą wyciągnięte ręce, zrobiła niepewnie kilka kroków w przód, jakby badała wejście do mrocznej jaskini.

Dom, który nagle wyłonił się przed nią, był niewielką, kwadratową, parterową chatą, tchnącą aurą zgrzybiałości i rozpadu. Jedyne, na w pół przysłonięte okno naprzeciwko Glorii – wskazujące na mieszkalną część domu – ukazywało wewnątrz oświetlone gołą żarówką. Chevrolet Lloyda stał zaparkowany na wprost Glorii, która rozejrzała się, lecz nie dostrzegła żadnego garażu.

Teraz cała aż wibrowała z nieopisanego przerażenia. Jej oddech przeszedł w spazmatyczne sapanie, jakby jej pierś opinał pas, który powoli zaciskał się coraz mocniej. Brzmiało to jak... – tu przeszył ją dreszcz od stóp do głów – jak dyszenie Gregga po tym, jak walnęła go żeglarską knagą w łóżku Lloyda. Na palcach podkradła się do okna. Wstrzymując oddech, przycisnęła policzek do łuszczącej się, okiennej ramy i zajrzała do wnętrza.

Pokoik był skąpo umeblowany, jak izdebka w myśliwskim domku – dwa proste krzesła z oparciem, wygnieciony tapczanik i kwadratowy, drewniany stół, stojący pośrodku na wyświechtanym, zrudziałym dywaniku. Lloyd stał przy stole, pod wiszącą żarówką, zwrócony do Glorii plecami. Była odrobinę zaskoczona, widząc szklankę w jego dłoni. Gdy wrzucił coś do ust i popił, zrozumiała, że w szklance jest tylko woda. Może popijał aspirynę, pomyślała, a może jakieś mocniejsze lekarstwo.

Coś, co pomoże mu się uspokoić po wstrząsie, jaki zafundowała mu wcześniej. Prawdopodobnie tęsknił za whisky, lecz wiedział, że nawet jeden drink złamałby jego wolę.

Lloyd odszedł ze szklanką w dłoni na drugi koniec pokoju i zniknął w maleńkim kantorku – aneksie kuchennym, jak się domyślała. Wyszedł za parę chwil i wrócił do stołu. Przesunął go o kilka stóp, schylił się i odwinął wystrzępiony róg dywanu. Przyklęknął i pomajstrował chwilę przy klepce podłogowej, która odskoczyła, ukazując wnękę pod spodem.

Miała więc rację! Zafascynowana, zapominając o strachu, obserwowała, jak nerwowe ręce Lloyda...

Ręce, które dokładnie w tym samym momencie ścisnęły Głorię w pasie jak kłamra, bynajmniej nie były nerwowe, lecz pewne i silne. Z zaskoczenia ugięły się pod nią kolana. Stłumione: „ohhh!” wyrwało się jej z szeroko otwartych ust. Walczyła, żeby się wyzwolić, dźgając łokciami stojącego za plecami napastnika. Jego ramiona zacisnęły się mocniej, jak stalowe haki. Choć kopała i waliła pięściami na oślep, została z łatwością uniesiona nad ziemię i zawleczona przed front domu.

Usłyszała skrzyp otwieranych drzwi i ujrzała Lloyda, znieruchomiłego na progu. Oczy męża lśniły strachem i złością – a także świadomością porażki. Cofnął się, gdy mocarne ręce bez pardonowo wepchnęły Głorię do środka. Zahaczywszy o stół, usłyszała szorstki głos, mówiący:

– *Teraz mi uwierzysz, Lloyd!*

Zanim się odwróciła, już wiedziała, że głos należał do Billa Torrance'a.

Bill dopadł Głorii w dwóch krokach i spojrzał na nią z góry wzrokiem przepelnionym odrazą.

– Im więcej o tym myślała, Lloyd, tym bardziej robiła się chciwa. W końcu spróbowałaby zgarnąć dla siebie wszystko!

Kuląc się przy stole, Gloria poczuła bolesny ucisk w gardle. Usiłowała przybrać oburzony wyraz twarzy, lecz nie dała rady. Obróciła się w stronę Lloyda, który teraz stał, wsparty plecami o zamknięte drzwi i sprawiał wrażenie starego i znużonego człowieka. Błagalnie uniosła brwi.

– Lloyd, *musiałam* wiedzieć, gdzie mieszkasz, w razie gdybyś kiedykolwiek potrzebował pomocy – wykrztusiła. – Nie wiedziałam, że Bill jest we wszystko wtajemniczony. Myślałam, że masz tylko *mnie*.

Twarz Lloyda była pusta. Tylko błysk w jego oczach powiedział jej, że wychwycił kłamstwo.

– *Nie mam* ciebie – szepnął zboląłym głosem. – Nigdy nie miałem. I nigdy nie będę miał.

Wyprostowała się, opierając dłonie o stół. Wiedziała, że nie ma żadnego wyjścia, lecz dodała: – Mówiłam ci, że odejdę razem z tobą. Miałam zamiar to zrobić. I *nadal* mam.

Bill parsknął. – Powiedziała ci to, kiedy chciała, żebyś uwierzył, że śledzi cię policja. Wtedy opuściłbyś to miejsce, a ona mogłaby pójść z tobą. Potem wymyśliłaby jakiś sposób, żeby cię ograbić do cna i prawdopodobnie prysnąć za granicę.

Gloria podniosła na Billa zdziwiony wzrok, zaś on odpowiedział jej spojrzeniem pełnym drwiny.

– Twój kochany mężulek zadzwonił do mnie zaraz po tym, jak opuścił cię dzisiejszej nocy.

Zdumienie w jej oczach zmieniło się w nienawiść.

– A więc ty wiesz o wszystkim, od samego początku...

Lloyd przysunął jedno z krzeseł do stołu i usiadł naprzeciw Glorii.

– Nie, nic podobnego – odpowiedział za Torrance'a. – Bill o niczym nie wiedział, aż do pierwszego wieczoru, kiedy wróciłem. – Usiłował się uśmiechnąć, lecz uzyskał tylko żałosny grymas. – Po tym, jak spędziliśmy razem tę noc, chciałem, w ramach możliwości, podjąć całą gotówkę. – Jego twarz zwiotczała w wyrazie zwątpienia.

– Dobry Boże, naprawdę chciałem tak zrobić, abyśmy mogli się stąd wyrwać, po prostu zniknąć...

Otarł oczy rękawem ciemnoniebieskiej bluzy, szybko wstał i wyszedł do kantorka z aneksem kuchennym. Gloria usłyszała odgłos bieżącej wody.

– Jediną nadzieją dla ciebie, Lloyd, jest samotny wyjazd – krzyknął za nim Bill. Jego wysoka, kanciasta sylwetka pochyliła się groźnie nad Glorią – A ty lepiej usiądź. *Ty* nie pojedziesz nigdzie. – Pchnął nogą w kierunku stołu jeszcze jedno drewniane krzesło, na które się osunęła,



gdy tylko wrócił Lloyd. Ponownie usiadł naprzeciwko niej, ze wzrokiem wbitym w stół.

Dlaczego dłużej udawać, po co naprawdę przyszła? Być może, jeśli uda jej się ująć to we właściwe słowa...

– Lloyd, nie przyszłam tu po twoje pieniądze. Chciałam odzyskać mój list i oświadczenie Gregga. Nie mogłabym żyć z tobą pod jednym dachem i jednocześnie wiedzieć, że według ciebie jest tak... bo wystraszyłam się szantażu. Ty wiesz, że cię pragnęłam. – Wyciągnęła do Lloyda rękę, lecz on cofnął dłoń. – Tak jak było między nami – *wiesz*, że naprawdę cię pragnęłam...

– Pragnęłabyś każdego mężczyzny – odparł.

– Chryste... – wtrącił Bill, przemierzając skrzypiącą podłogę. – Ona rozłożyłaby nogi przede mną, gdybym obiecał jej te sto tysięcy, po które przyszła. Sto tysięcy zielonych! A teraz ci wmawia, że nie przyszła tu po twoje pieniądze! Wobec tego oświadczam ci, Lloyd, że gdyby mogła, wydlubałaby złote plomby z twoich zębów. – Patetycznym gestem wskazał na Głorię. – Potrzebowałaś pieniędzy jedynie na codzienne wydatki, na opłatę rachunków, może na kupno nowego domu. No tak – i jeszcze na podróż. Cóż, z pewnością wydałabyś je na podróż – bilet w jedną stronę na koniec świata! – Zwrócił się do Lloyda, który ukrył twarz w dłoniach. – I jak, Lloyd, chcesz to dalej ciągnąć?

Lloyd trwał przez chwilę w milczeniu i w całkowitym bezruchu.

– Tak – odparł cicho. – Lecz ona z tego nie skorzysta. Tylko ja.

– Lloyd, czemu nie zmartwychwstaniesz? Powiedz, że straciłeś nad sobą kontrolę. Powiedz cokolwiek. Ja będę cię wspierał. Uwierz, że strony policji nic ci nie grozi. A wtedy możesz dać tej dziwce to, na co zasługuje. Masz wszystkie niezbędne dowody. A raczej *ja* je mam. Niech przez kilka parszywych lat gnije w jakimś śmierdzącym więzieniu. Możesz zacząć jeszcze raz, nowe życie. Bóg mi świadkiem, stać cię na to i możesz sobie na to pozwolić.

Lloyd popatrzył na niego bezradnie. – Ja... Ja po prostu nie potrafię jej tego zrobić.

Gwałtownie przechylił się w stronę Glorii, a ona cofnęła się pod niespodziewanym strumieniem jego słów, pełnych goryczy.

– Mój Boże, czemu to zrobiłaś?! – wykrzyknął. – Nigdy nie dałaś mi szansy. Te wszystkie wspólne lata! Te durne, zmarnowane lata! I w końcu

musiała z ciebie wyleźć ta twoja parszywa nimfomania! Pieprzyłaś się z Greggiem, a kiedy okazało się, że i ja to potrafię, pieprzyłaś się ze mną! Nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy – ale pieprzyłabyś się z *kimkolwiek!* Czy ty nie pojmujesz, że to rozpusta niemal doprowadziła cię do zbrodni, nawet bardziej niż twoja chciwość? Zawsze się tym kierowałaś – *zawsze!*

– Och, nie, Lloyd! Nie, nie! – Przeraziła ją teraz świadomość tego, co było skryte w jej wnętrzu.

Bill wyciągnął plik nowych, złożonych dokumentów z kieszeni.

– Dokończmy to, Lloyd – rzucił mrukliwie. Rozłożył papiery i położył na stole, wskazując dolny róg kartki, leżącej na wierzchu. – Podpisz tutaj, dokładnie w miejscu, gdzie jest wydrukowane twoje nazwisko.

Lloyd popatrzył na ozdobne arkusze akcji. Wziął od Billa pióro, potem, roztrzęsiony, wstał i jeszcze raz wyszedł do kuchennego kantorka. Znowu Gloria usłyszała szum wody, płynącej z kranu.

Gdy wrócił, w jego oczach lśniły łzy. Usiadł, zerkając przez chwile z powątpiewaniem na akcje, po czym z ociąganiem zaczął je podpisywać. Kiedy skończył, cisnął pióro na stertę papierów i ponownie skrył twarz w dłoniach.

Bill Torrance zabrał pióro i wsunął do kieszonki. Obszedł stół i ścisnął Lloyda za ramię.

– Weź się w garść, Lloyd – rzucił twardo. – Teraz musimy zdecydować, co zrobić z *nią*.

W pokoju rozległ się niski, spokojny głos: – Myślę, że *ja* będę miał coś do powiedzenia na ten temat...

Gloria instynktownie odwróciła głowę w stronę drzwi. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzała, był pistolet. Lśnił w przyćmionym świetle żarówki i celował dokładnie w głowę Lloyda.

Już zanim spojrzała wyżej, wiedziała, że niemożliwe stało się możliwe. Wsparty nonszalancko o framugę drzwi, z sardonicznym uśmiechem na ustach, Gregg dokończył:

– No to teraz wszyscy umarli zmartwychwstali.

## 20.

Gloria, odwrócona w tył, wbiła paznokcie w drewniane poręcze krzesła, nie będąc w stanie się odezwać, ani nawet poruszyć. Jej umysł rejestrował mgliście oczywiste dowody życia: znajome, lśniące, stalowe oczy, złoto-brązowe włosy, szczupłą, nonszalancką postać Gregga – lecz była zdeorientowana, jakby nagle znalazła się jak Alicja po drugiej stronie lustra, w krainie Szalonego Kapelusznika. Zbyt głęboko uwierzyła w ostateczną śmierć Gregga, zbyt długo prześladowała ją wizja jego zmaltretowanego ciała, dryfującego bez celu po powierzchni morza, by mogła się bezkrytycznie pogodzić z jego obecnością w tym pokoju.

Skądś, pozornie z bardzo daleka, dobiegł ją głos Lloyda, pełen kompletnej beznadziei:

– Miałem przeczucie, że to nie przejdzie...

A po chwili niepewne słowa Torrance'a: – Wszystko świadczy przeciwko tobie, Flanders. Nie masz szans.

Gregg jednym susem znalazł się w pokoju, kopnięciem zamykając za sobą drzwi.

– Tak myślisz, Torrance? – Poruszył ręką, w której trzymał pistolet. – Słyszałem, że nazywają to wyrównywaczem szans.

W tym absurdalnym śnie Gloria usłyszała samą siebie, jak wymawia imię Gregga i powtarza je raz po raz, z coraz większym zrozumieniem. W końcu zerwała się z miejsca i zaczęła iść w jego stronę, wyciągając ręce, by chociaż dotknąć jego twarzy.

Szorstki rękaw jego szarej marynarki musnął twarz Glorii, gdy odsunął ją łagodnym gestem.

– Nie teraz, Glorio. Najpierw musimy troszkę naprostować sytuację.

– Gregg, ale jak to się stało, że ty... – Patrzyła na zmianę to na Lloyda, to na Billa. W jej oczach nagle zabłysła wściekłość. Wymierzyła palec w męża. – Ty! Ty wiedziałeś przez cały czas, że on żyje! – wykrzyknęła.

– Tak – zdołał wykrztusić Lloyd i wbił wzrok w blat stołu.

– *Oszukiwał cię przez cały czas, z premedytacją* – wtrącił Gregg

jadowicie. Obrzucił Lloyda pełnym wzgardy spojrzeniem. – I jak, zadowoliliście moją dziewczynę, Worthington?

Lloyd poderwał głowę do góry, ukazując zaczerwienione i podpuchnięte oczy.

– Jesteś zwykłym bydlakiem! – syknął.

– Gregg, proszę cię, proszę... – jęknęła Gloria. Stała bezradnie tuż obok kochanka, nie mając pojęcia, jak się zachować. Wciąż pragnęła go dotknąć, upewnić się, że naprawdę istnieje.

Gregg posłał jej cierpki uśmiech.

– Spokojnie, Glorio. Zobaczmy najpierw, po co przybyłem na to spotkanie. – Machnął pistoletem w stronę Lloyda. – Po pierwsze, sądzę, że lepiej będzie, jak twój seksowny mąż udzieli ci pewnych wyjaśnień.

Twarz Lloyda pobruździł wyraz morderczej nienawiści, lecz on sam milczał.

– Dalej, Lloyd – szydził Gregg. – Byłeś twórcą mistrzowskiego kontrplanu. Najwyższy czas, żebyś wstał i nam go przedstawił.

Lloyd trwał w milczeniu.

– Nie pochwalisz się swoim wyczynem? Może kropelka trunku rozwiąże ci język. – Gregg skinął na Głorię. – W moim wozie – stoi tuż za bryką Lloyda – jest trochę gorzały w schowku na rękawiczki. Przynieś ją.

– O, nie – zaoponowała Gloria. – On nie może pić.

Gregg uniósł brew. – Nigdy nie mógł. I zwykle mieliśmy z tego cholerny powód do radości. – Wciąż patrzyła na niego z powątpiewaniem, więc dorzucił niecierpliwie: – No, leć już po to...

Uświadomiła sobie, że Gregg był jej jedynym obrońcą. Bez słowa wzięła latarkę ze stołu i wyszła, zostawiając otwarte drzwi.

Po minucie wróciła, niosąc dwie półlitrowe butelki bourbona. Postawiła je na stole, dostrzegając przy okazji, że blat pokryty jest grubą warstwą kurzu.

– Teraz proszę o kilka szklanek – polecił Gregg tonem zapobiegliwego gospodarza. – Wzniesiemy toast za żywych!

Lloyd wreszcie przemówił:

– Ja nie. Proszę tylko o trochę wody. Muszę to popić. – Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął buteleczkę z pigułkami. Wytrząsnął jedną na dłoń i odstawił buteleczkę na stół.

Gloria wyszła do kuchni i wzięła dwie szklanki, jedną napełniając do połowy wodą. Gdy wróciła do pokoju, postawiła ją przed Lloydem, zaś drugą w zasięgu ręki Gregga. Wyszła jeszcze raz i gdy wróciła z dwiema pozostałymi szklankami, Lloyd właśnie połykał lekarstwo.

– Dziś twoja kolej, żeby polewać – rzucił do niej Gregg.

Otworzyła butelkę i nalała alkoholu do trzech szklanek, pomijając Lloyd.

– Dla twojego nerwowego mężulka też – rozkazał Gregg, wskazując lufą Lloyd.

Tym razem zacisnęła zęby i zaprotestowała, potrząsając głową.

Z pogardliwym uśmiechem Flanders podszedł do stołu i dolał Lloydowi porządną porcję whisky do odrobiny wody, która pozostała na dnie szklanki.

– Na rany Chrystusa, Flanders! – wykrzyknął! Bill Torrance, rzucając się w jego stronę. – Zostaw go w spokoju!

Gregg wycelował pistolet między oczy Worthingtona.

– Wypij to – zażądał tonem rozkapryszzonego dziecka.

Lloyd spojrział najpierw na pistolet, później na szklankę. Na jego twarzy pojawił się wyraz rezygnacji.

– W zasadzie, co to za różnica – mruknął. Wypił drinka jednym haustem. A potem zamknął oczy, jak człowiek pogrążony w modlitwie.

– Następny – polecił Gregg i trzymał Lloyd na muszce, dopóki ten nie napełnił szklanki po raz drugi, aby było w niej tyle, co w pozostałych.

Flanders sięgnął po swojego drinka i pociągnął długi łyk. – Za wolność!

Zerkał spod oka, czy piją. Gloria przełknęła zawartość prawie w całości, Torrance ledwie umoczył usta. Lloyd wbijał w swoją szklankę poząddliwy wzrok.

Gregg sięgnął po czworokątną buteleczkę z pigułkami i zauważył napis na etykiecie.

– Jedna co cztery godziny lub w razie niezbędnej potrzeby – odczytał głośno. – No cóż, jak przypuszczam, każdy lekarz powiedziałby, że jesteś teraz w potrzebie. Jednak proszki nie zastąpią alkoholu, prawda, Lloyd? Czemu nie skorzystać jeszcze trochę z magicznej terapii doktora Flandersa? – Brzęknął pistoletem w szkło, przysuwając mu bliżej drinka.

Lloyd zamrugał. Oblizał usta. A potem bez słowa chwycił szklankę i wypił whisky duszkiem, jakby to była woda.

– Nasz mały bohater – podsumował Gregg i zwrócił się do reszty: – Teraz wszyscy usiądźmy sobie wygodnie. Ty – wskazał lufą na Torrance'a, a następnie na tapczan pod ścianą – siadaj na tym wyrku. Glorio – ty siądziesz przy stole. Możesz potrzebować oparcia, gdy twój sprytny mążulek zacznie mówić. No właśnie, Lloyd, opowiedz wreszcie naszej damie, jakim to jesteś mistrzem intrygi.

Twarz Lloyd'a pokryła się teraz szkarłatnymi plamami, a jego oczy nienaturalnie błyszcząły.

– Ja... Ja... – urwał i mlasnął, czując suchość w ustach. Bez namysłu sięgnął po butelkę, nalał sobie whisky i przełknął jednym haustem.

Gregg zaczął go prowokować. – Powiedział ci, że nie żyję, prawda, Glorio? Że mnie utopił?

Gloria obróciła krzesło, by siedzieć twarzą do niego.

– Tak – potwierdziła. – Och, Gregg, on powiedział, że to ciebie wtedy uderzyłam, podczas gdy on zaczął się przy ścieżce...

– To wszystko prawda. – Flanders ostrożnie przesunął po włosach palcami i obmacał potylicę. – Sukinsyn. To ja byłem facetem w śpiworze.

Gloria ze zdumieniem popatrzyła na Lloyd'a, którego twarz, pod wpływem drinków, przybrała wyraz rozleniwienia.

– Jeśli to prawda, Lloyd, to czemu go nie zabiłeś?

Lloyd sprawiał wrażenie głuchego. Jak w powolnej pantomimie, nalał sobie następnego drinka i przełknął go zachłannie. Opuścił głowę i schował twarz w dłoniach, a jego ramiona zaczęły spazmatycznie drgać.

– O Boże, o Boże... – jęczał łamiącym się głosem. – Jak mogłaś nawet myśleć, że byłbym zdolny kogokolwiek zabić, nawet *jego*?

– Flanders – ingerował Bill ze swojego miejsca na skraju małego tapczanika – może po prostu sam jej to powiesz i załatwione.

– Myślę, że to powinno wyjść z ust wielkiego człowieka – odparł Gregg.

Z desperackim wysiłkiem Lloydowi udało się odzyskać odrobinę zimnej krwi.

– Tak, ja sam to opowiem. Opowiem, jaki byłem piekielnie głupi. – Otarł oczy rękawem i nalał jeszcze pół szklanki bourbona, lecz jej nie ruszył. – Gdy wniosłem go na pokład, zaczął odzyskiwać przytomność. Pomogłem mu się pozbierać. – Oczy męża Glorii rozszerzyły się ze zdumienia na wspomnienie własnego szaleństwa. – Miałem swój powód. Wszystko dokładnie zaplanowałem. – Przerwał, wracając myślą do tamtej chwili. – Wlałem w niego trochę whisky, a nawet obandażowałem mu głowę, więc w końcu doszedł do siebie na tyle, że rozumiał, co do niego mówię. Powiedziałem mu, że wiem o morderczym spisku, że wszystko słyszałem i obserwowałem od tygodni.

– Gdy to usłyszałem – wtrącił Gregg, skrzywiony – o mało znów nie zemdlałem.

– Trzymałem go na muszce – ciągnął Lloyd. – Byliśmy w kabinie, a on leżał na jednej z koi. Powiedziałem, że zamierzam go zabić. Sądzę, że mi uwierzył, bo zaczął błagać, żebym tego nie robił. Obiecał, że odejdzie. – Lloyd posłał Glorii zgnębione spojrzenie. – Powiedział, że nigdy nie będzie próbował się z tobą zobaczyć.

– Do diabła, a co innego miałbym powiedzieć? – wpadł mu w słowo Gregg. – Palec tego skurwiela cały czas drżał na spuście.

– Nie wierzyłem mu – mówił dalej Lloyd. – Powiedziałem, że puszczę go tylko wtedy, kiedy napisze i podpisze wyczerpujące oświadczenie. Odmówił. Powiedział, że to zwykły podstęp, że przekażę to oświadczenie policji, gdy tylko dotrę do brzegu. Kłóciłem się z nim, lecz nie miał zamiaru ustąpić. Groziłem mu...

– A ja już wiedziałem, że nie miał zamiaru strzelać – wtrącił znów Gregg. – Chyba że spróbowałbym się na niego rzucić.

Lloyd ponownie sięgnął po szklankę, tym razem, żeby się napić. Ręka drżała mu tak, że płyn aż zafalował. – To wtedy pokazałem mu bilet na samolot.

Whisky zniknęła w jego gardle.

– Bilet na samolot? – zapytała Gloria.

– Właśnie. Obawiałem się, że nigdy nie przyjmie mojej propozycji bez jakiejś opłacalnej zachęty. Wobec tego, pod fałszywym nazwiskiem, kupiłem bilet lotniczy w jedną stronę, żeby opuścił kontynent.

– Nawet się nie domyślasz, gdzie – dodał Bill Torrance z głębokim sarkazmem.

– A gdzie, jak nie na Hawaje – parsknął Gregg. – Na wymarzoną wyspę Lloyd.

– Zgadza się – potwierdził Lloyd, nalewając whisky. – Do Honolulu. Wysłałbym go o wiele dalej, ale wtedy musiałby wyrobić sobie paszport. Nie zaufałbym mu do tego stopnia.

– Jak mogłeś myśleć, że tam zostanie? – Gloria, obserwując męża, zauważyła, że alkohol dodaje mu teraz fałszywej pewności siebie.

Lloyd machnął niedbale ręką w kierunku Gregga. – Jak widzisz, nie został. Ale wtedy byłem przekonany, że był to niezły ruch. Po pierwsze – miałem jego oświadczenie. I tak jak mu powiedziałem, zostawiłem instrukcje dla policji, w razie gdyby przytrafiło mi się coś złego. Po drugie – odpowiednio poparłem mój pomysł. Zaoferowałem mu coś, co ceni ponad wszystko. Gotówkę.

Bill prychnął z odrazą. – Dziesięć tysięcy dolarów.

– Lloyd! – zdumiała się Gloria. – Mógłbyś przecież tylko pozwolić, żeby odszedł, i miałbyś to z głowy. Czemu tego nie zrobiłeś?

– Ponieważ – odrzekł z goryczą – miałem nadzieję – ależ byłem szalony – że zrozumiałaś tę lekcję. Że może był to z twojej strony jakiś przejściowy obłęd. Myślałem, że uda mi się skłonić cię do powrotu. Nie mogłbym tego zrobić, póki on był w pobliżu.

– I sądziłeś, że pieniądze mogłyby go powstrzymać?

– Miałem taką nadzieję, tak myślałem. Byłem gotów poświęcić na niego dwadzieścia pięć tysięcy... Nie wiedziałeś o tym, prawda, Flanders?

Gregg wzruszył ramionami. – Nie wiedziałem, ale teraz to i tak nie ma żadnego znaczenia. Chcę zgarnąć wszystko. – Otaksował Głorię wzrokiem od góry do dołu. – I szanowną panią także.

Gloria z zaskoczeniem stwierdziła, że nie wywarło to na niej żadnego wrażenia. Grając na czas, zapytała: – Kiedy wrócisz?

– Tej samej nocy, kiedy Lloyd po raz pierwszy przyszedł do ciebie, do domu. – Spojrzał na nią z zaciętym, niedwuznacznym uśmiechem. – Widziałem was razem.

Siedziała jak ogłuszona.

– Gregg, ja nic nie mogłam poradzić...

– Wiedziałem, że nie mogłaś – uciął. – Podobnie jak ja nic nie mogłem poradzić na to, do czego *mnie* zmusił. Lecz jest pewna różnica. Ja



nienawidziłem kręcić się po cichu, do czego zostałem zmuszony. Byłem zameldowany w hotelu w Honolulu jako pan Markham. I wciąż figuruję tam pod tym nazwiskiem. Miało to posłużyć jako przykrywka, na wypadek, gdyby Lloyd zechciał zadzwonić i sprawdzić, czy stamtąd nie zwiąłem. W hotelu powiedziałem, że wyjeżdżam na Maui i wrócę mniej więcej za tydzień. Zapłaciłem za rezerwację pokoju.

– *A ja zadzwoniłem* – wtrącił Lloyd ponuro.

– Od tej pory żyłem jak uciekinier – ciągnął Gregg. – Nie sprawiało mi przyjemności to, co musiałem zrobić. – Przerwał, spojrzął na Glorię i dodał uszczypliwie: – A tobie sprawiało przyjemność to, co ty musiałaś zrobić?

Gloria była zbyt zażenowana, by odpowiedzieć.

– Oczywiście – odparł za nią Lloyd ze złośliwą satysfakcją. – *Sprawiło* jej to przyjemność. I to wielką. – Zanim dopił whisky, uniósł rękę, jakby w geście skromnego toastu.

To Gregg zmusił ją, by przyjęła pozycję obronną...

– Ale tylko ciebie naprawdę pragnęłam, Gregg – szepnęła omdlewającą.

Jej kochanek uśmiechnął się z pobłażaniem.

– Nie zawracaj już sobie tym głowy. – Śledził każdy ruch Lloyda, jeszcze raz nalewającego sobie z butelki. – Myślę, że z łatwością sprawię, że zapomnisz o tym moczymordzie.

– Co masz zamiar zrobić? – zapytała, a w jej głowie zakiełkowało koszmarnie podejrzenie. – Chyba nie zamierzasz go...

– Zabić? Nie, to nie będzie konieczne. Po prostu uwolnimy Lloyda od jego ciężkich pieniędzy i ruszymy w świat.

– Czyżbyś zapomniał o własnoręcznie napisanym oświadczeniu? – przypomniał Bill.

– Mój Boże, i o moim liście!

– Jakim liście?

Opowiedziała mu o wszystkim. Gregg nadal wydawał się bez troski.

– Bez obawy. Jestem pewien, że leży sobie grzecznie, schowany razem z moim oświadczeniem. I z pieniędzmi Lloyda.

Gloria poczuła przyływ ulgi. Wskazała ręką na dywanik.

– Pod klepką w podłodze. Jestem pewna, że tam są. Widziałam, jak Lloyd tam zaglądał.

Gregg potrząsnął głową. Przysiadł na brzegu stołu, patrząc na skulonego Worthingtona.

– Nie, tam ich nie ma, prawda, Lloyd? Sam zajrzałem tam ubiegłej nocy, kiedy ty zabawiałeś się w domu. Ma tutaj kilka tysięcy dolarów, i to wszystko. Reszta kasy i inne interesujące nas rzeczy muszą być tam, gdzie nasz przyjaciel Torrance trzyma akcje. W sejfie w jego biurze.

– Te akcje Bill ma przy sobie – oznajmiła Gloria. – Lloyd dopiero co je podpisał.

– Wiem. Zatem to twoja część majątku, Lloyd. My weźmiemy resztę. Możesz spieniężyć akcje, tak, jak planowałeś. Będziesz miał sto tysięcy w kieszeni, zabierzesz je sobie, gdzie tylko chcesz. Mam nadzieję, że dokonasz właśnie takiego wyboru, ponieważ to pozwoli nam uwolnić się od glin.

– A jeśli powie o wszystkim policji? – zapytał Torrance.

Gregg skwitował to urywanym śmiechem. – Owszem, to też jest jakiś wybór. Ale byłaby to katastrofa, Lloyd. Pamiętaj, nie będziesz miał ani mojego oświadczenia, ani listu. Zabiorę je i zniszczę. Gliniarze mogą zwalić na mnie kradzież pieniędzy – z pewnością już to zrobili – lecz nie będą w stanie tknąć twojej żony. Rozstaniemy się z Gorią na jakiś czas. Ona wyjedzie w podróż i spotkamy się później. A co się stanie, jeśli puścisz parę? Twoja żona wróci i dzięki ugodzie rozwodowej zgarnie wszystko, co do centa, z twoich pieniędzy, uzyskanych z akcji. Będzie tylko biedną żoną, będącą poza wszelkimi podejrzeniami, która została oszukana przez knującego spisek, bezdusznego męża. Nie wyjdzie ci na dobre, jeśli oświadczysz, że zamierzała cię obrabować i zabić. Nikt nie uwierzy. Wyjdzie raczej na to, że zamierzałeś zabrać wszystko i porzucić żonę, a ja, dowiedziawszy się o tym, zwinąłem forszę. Wybór należy do ciebie – piśniesz słówko glinom, a oni wykończą cię w sądzie.

Bill sztywno wstał z tapczanu. – Zapominasz, że jestem świadkiem tego, co się tutaj dzieje.

– A co z ciebie za świadek? Od lat byłeś służalcem Lloyda, prowadziłeś wszystkie jego interesy, jesteś jego najlepszym przyjacielem. Rozumiecie się jak para *złodziei*. Kiedy Lloyd udawał, że nie żyje, ty

ukryłeś tymczasem jego akcje i pieniądze. To musiałyby się wydać. Wyszędłbyś na współnika w spisku, mającym na celu doprowadzenie pani Worthington do ruiny. Nie miałbyś żadnych szans. – Gregg wyprostował się i zrobił zamaszty ruch ręką. – Przyznaję, że moja wizja jest daleka od doskonałości, jak wszystko zresztą, ale w takim razie jak oceniacie swoje szanse? Wyglądają raczej marnie.

Lloyd i Bill wymienili spojrzenia.

– Spójrzcie prawdzie w oczy – dodał Flanders. – Jesteście przegrani.

Lloyd nalał sobie następnego drinka. Wzruszył z rezygnacją ramionami, sprawiając wrażenie, że już go nie obchodzi to, co się stało.

– Przypuszczam, że to ty trzymasz karty – mruknął. – Co dalej?

Gregg zwrócił się do Billa: – Torrance, ty pojedziesz ze mną do swojego biura – i to zaraz. Otworzysz sejf i oddasz mi całą forszę, która tam jest. Do tego *oświadczenie*. I list Glorii.

– A jeśli odmówię?

– To już nie żyjesz.

Sądząc po wyrazie twarzy, Bill dał się przekonać.

– Ty tu rządysz – powiedział.

– Niezupełnie. Lloyd, ty masz broń. Oddaj mi ją.

Lloyd otworzył szufladę. Gregg obszedł stół i wyjął z niej rewolwer kalibru trzydzieści osiem. Sprawdził, czy został naładowany, po czym podszedł do Glorii i wcisnął jej broń do ręki.

– Ty zostajesz z Lloydem.

Odskoczyła od broni jak od jadowitego węża.

– Och, Gregg, pozwól mi jechać z tobą!

Zacisnął jej wątle palce na kolbie rewolweru.

– Nie ma potrzeby. Poza tym, za duże ryzyko. Lloyd jest teraz niemal kompletnie zalany – ale to raczej powinno ci wszystko ułatwić. Usiądź na tym krześle, naprzeciwko niego i trzymaj go na muszce. – Objął ją i pocałował. – Pilnuj go, dopóki nie wrócimy.

Kiwnął na Billa Torrance'a. – Wyłaź. Pojedziemy moim wozem. Ty prowadzisz.

Torrance nawet nie drgnął. Gregg podszedł i zdecydowanym ruchem przystawił mu lufę pistoletu za uchem. Makler Lloyd poczłapał do drzwi.

Gregg odwrócił się na progu, obserwując, jak Worthington nalewa następnego drinka, wychlapując trochę whisky na blat, grubo pokryty kurzem.

– Jeszcze jedno, Lloyd. Jeśli obmyślasz jakiś inny sposób, żeby wleźć mi w drogę, odpuść sobie, bo i tak przegrasz.

Dotykając ustami brzegu szklanki, Lloyd burknął obojętnie:

– Jak to?

– Wróć wtedy i cię zabiję – wycedził Gregg.

## 21.

**K**apitan Abraham Friendly jeszcze otrząsał sen z powiek, gdy wypadł z różowego hotelu, pędząc w kierunku radiowozu, zaparkowanego przy krawężniku i jednym szybkim ruchem wślizgnął się na miejsce pasażera obok Dillona. Poszedł spać wcześniej i kiedy usłyszał w słuchawce głos porucznika, rozedrgany od tłumionych emocji, był jeszcze na wpół pogrążony w najpogodniejszym ze snów od początku zasłużonego urlopu. Podczas nieustającego monologu Dillona, Friendly zrzucił staroświecką koszulę nocną i wlokąc za sobą długi sznur od telefonu, począłpał do szafy po tweedowy garnitur o prostym fasonie. Rewelacje młodego policjanta wskazywały na dramatyczny zwrot wydarzeń, uzasadniający decyzję kapitana o pozostaniu w Lagunie jeszcze przez jakiś czas.

Funkcjonariusz po cywilnemu, niejaki sierżant Russo – poinstruowany przez Dillona, by monitorował wszelkie posunięcia Billa Torrance'a – wpadł na jakiś trop. Ubiegłej nocy jechał za samochodem maklera, gdy ten zjechał z autostrady na peryferia, przez co najmniej sześć mil, dopóki nie zgubił go we mgle. Tej nocy śledził Torrance'a na tej samej trasie, sprawdzając tym razem czas po ośmiu milach, nim zauważył, że jego ofiara zniknęła mu przed nosa. „Otóż to! – brzęczał w słuchawce głos Dillona. – Moim zdaniem musimy poszukać zjazdu na odcinku tych ośmiu mil, na bocznej drodze z Coast Highway”.

Gdy skręcili z autostrady w boczną drogę, Friendly sprężył się w fotelu, przechylony w przód, jego oczy lśniły, nozdrza zafalowały, jak u zbłąkanego zwierzęcia, które nagle zwietryło znajome terytorium. Zerknął

w bok, na Dillona, dostrzegając mściwie zacięte usta i lodowatą zawziętość spojrzenia – pomyślał wtedy, jak bardzo różni się ich motywacja. Dillon łaknął osobistej zemsty i kary za zło. Friendly'ego bardziej pociągało znalezienie rozwiązania zagadki.

– Musiał spotkać się z Worthingtonem – warknął porucznik, przerywając ciszę. – Po co dwa razy pod rząd jechałby na to odludzie?

– To faktycznie podejrzane – przyznał Friendly łagodnie. – Ale dlaczego Worthington miałby zatrzymać się tak blisko domu? Zrobiłby o wiele lepiej, umawiając się z Torrancem w jakimś wielkim mieście, na przykład Los Angeles. – Okręcił kilkakrotnie w palcach złoty łańcuszek od zegarka. – Niewykluczone, że próbuje dotrzeć do swojej żony i wymierzyć jej jeszcze gorszą karę, być może nawet ją zabić. O ile żyje, bez wątpienia czytał już aktualne wiadomości, że została oczyszczona z zarzutów. Czy ich dom jest pod obserwacją?

– Mam go na oku – mruknął ponuro Dillon. – Ale prócz pobieżnego przeszukania nie mogłem zrobić nic więcej. W takich przypadkach policja ma po prostu za krótkie ręce.

– To może byłoby rozsądniej zadzwonić do pani Worthington i przekonać się, czy jest teraz w domu.

Dillon uśmiechnął się z przekąsem.

– Sugerujesz, że znów zaczynam ją prześladować? – Milczał przez chwilę. – Kilka mil stąd jest stacja benzynowa – zadzwonię stamtąd. Chyba że to będzie dalej, za naszym domniemanym zjazdem z trasy. Przekonajmy się, co znajdziemy najpierw.

W milczeniu przejechali kilka mil, oddalając się od zatłoczonej arterii. Gdy byli już daleko od autostrady, nagle zauważyli nadjeżdżający z przeciwka samochód na długich światłach. Dillon zamamrotał pod nosem i błysnął kilkakrotnie reflektorami. Żadnej reakcji. Światła pędzącego wozu rosły w zastraszającym tempie, były coraz jaskrawsze i kompletnie oślepiły Dillona, gdy auto przemknęło obok.

– Ci cholerni piraci! – parsknął policjant z wściekłością.

Friendly gwałtownie obrócił głowę. Wykręcając szyję, patrzył przez tylną szybę.

– Gnał jak wariat – słyszał oburzenie w głosie porucznika. – Jakby go...

– Rod, dam głowę, że ten samochód to austin-healy – przerwał mu Friendly. Obrócił się już, zacisnął usta i w zamyśleniu zmarszczył brwi. – Prowadziła kobieta. Widziałem ją tylko przelotnie – lecz mogła to być Gloria Worthington. Takie same długie blond włosy.

Radiowóz wyrwał do przodu, gdy Dillon gwałtownie przyspieszył.

– Rany! Co się tutaj dzieje?!

– Nie powiem ci na sto procent, ale...

– Ale będzie najlepiej, do cholery, gdy dojedziemy do tej stacji benzynowej i sprawdzimy, czy ona jest w domu!

**K**iedy Gregg odjechał z Billem Torrancem, Gloria przestawiła krzesło pod ścianę przy drzwiach i usiadła na nim sztywno, zakładając nogę na nogę i opierając dłoń z rewolwerem na kolanie. Ponad pół godziny upłynęło w całkowitym milczeniu.

Doprawdy, wyglądało na to, że Lloyd prawie osiągnął stan, w którym już wkrótce nie będzie mógł mówić. Pochylony nad stołem, z łokciami wspartymi ryzykownie na krawędzi, kiwał się w przód i w tył, próbując zerwać zabezpieczającą folię z drugiej butelki bourbona. W końcu wsadził paznokieć pod cienki plastik, który powoli rozdarł i odrzucił, po czym odkręcił metalową nakrętkę. Łokieć ześliznął mu się przy tym ze stołu i Lloyd bujnął się do przodu. Udało mu się złapać równowagę, więc oparł szyjkę butelki o brzeg szklanki i nalał sobie whisky.

Pierwszy łyk alkoholu – a może sama świadomość, że miał do niego nieograniczony dostęp – sprawiły, że natychmiast odżył. Ostrożnie postawił szklankę przed sobą i kontemplował jej zawartość z pijackim zadowoleniem.

– Gloria... – rzekł bełkotliwie. – Ty nigdy tego nie zrobisz.

Przerwał ciszę tak nagle, że aż podskoczyła.

– Owszem, zrobię – odparła cicho.

Przecząco pokręcił głową.

– Może Gregg. Nie ty.

Mimo ponurego nastawienia Lloyda, rozmowa z nim sprawiła jej ulgę.

– Dlaczego nie, skoro jesteście razem?

Nie patrząc na nią, pokiwał palcem.

– No, ja... Wątpię, żebyście byli razem. A jak już, to niedługo. Niepewność, którą poczuła, kiedy drzwi zamknęły się za Greggiem, teraz przeszyła ją dreszczem.

– Jeśli już musisz mówić, Lloyd, to mów o czymś innym.

– Zostawi cię. Bez centa. Zabierze wszystko i cię zostawi.

– Whisky przez ciebie przemawia, Lloyd – ucięła, lecz poczuła, jak narasta w niej obawa.

– Nawet jeśli nie zada się z inną, zostawi cię. Wie, kim teraz jesteś. Wywłoka.

Glorii udało się zmienić gniew w złośliwą ironię. – Najwyraźniej wywłoka jest dla ciebie w sam raz.

– Niece... – Próbował spojrzeć jej prosto w oczy. – Nic nie mogłem na to poradzić. Ja ciebie kochałem.

Mimowolnie ją to poruszyło, lecz zachowała zgryźliwy ton. – To dlatego zrobiłeś ze mnie dziwkę?

Drżącą ręką uniósł szklankę do ust i opróżnił zawartość.

– Nie, zrobiłem to dla siebie. To jedna z rzeczy, przez które stałem się facetem. Przez to, że dawałem ci pieniądze, poczułem się silniejszy niż ty. Psychicznie. – Przerwał, dolewając whisky. – Ale Gregg... On jest *naprawdę* silniejszy od ciebie. Bo na niczym mu nie zależy. Tylko na forsie. I na samym sobie.

– Ja znam go *lepiej*...

Upił łyk drinka, zaczął coś mówić, urwał i wreszcie wybuchnął:

– Gloria... My ciągle możemy być razem!

Boże, pomyślała, on nigdy nie odpuści.

– O *czym* ty mówisz?

Dźwignął się na nogi, machając desperacko rękami.

– Do diabła... Jeśli odchodzisz z Greggiem, w porządku... wezmę akcje i będę siedział cicho. Ale ty i ja – możemy mieć *wszystko* dla siebie. Jest czas, żeby wysłać za nim gliniarzy, którzy zwiną go razem z forszą. Będziemy trzymać się razem, a jemu się dostanie za tę całą sprawę. I wszystko dla nas!

– Nic z tego! Przestań! Czekam na Gregga!

– A skąd wiesz, że wróci? Może zabrał kasę i właśnie zwiewa?

– Kropelki potu perliły się na wymizerowanej twarzy Lloyda. Dziko wywrócił oczami. – Mówię ci... On pojechał tam tylko w interesie

Gregga Flandersa, w swoim własnym. Wyrzuci cię jak zużyte skarpety. Słyszałaś, jak o tobie mówi? Jakbyś była jakąś szmatą.

– Lloyd, zamknij się! – Potrząsnęła z wściekłością rewolwerem.

– Nie mógł cię z sobą zabrać, co? Dlaczego nie? Myślisz, że możesz mu zaufać – a powinnaś? Czy nie on sam zaplanował to wszystko – żeby mnie zamordować? Nie wciągnął cię w to? Mówię ci, Gloria, on zawsze wykorzystywał innych dla swojego celu. Skąd wiesz, że nie ma jakiegoś planu co do *ciebie*?

Lloyd, zataczając się, obszedł stół, opierając jedną dłoń płasko na blacie i wymachując wskazującym palcem drugiej przed nosem.

Wyprostowała rękę i wycelowała lufę rewolweru prosto w jego żołądek. – Siadaj, Lloyd!

W jego oczach lśniło opętańcze podniecenie.

– Jezu, Gloria! Teraz my możemy wykorzystacie! Zatrzymać wszystko dla siebie! Wystarczy, że wsiądziemy do samochodu i...

Nieoczekiwanie zachłysnął się własnym oddechem. Zesztywniał z ręką zawieszoną w powietrzu. Zatoczył się krok w tył. Spazmatycznie walczył o każdy oddech. Wytrzeszczył oczy, aż wyszły mu białka.

– Glor... – Wymawiane przez niego imię przeszło w piskliwe rżężenie. Okręcił się na pięcie i przewrócił, uderzając głową o krawędź stołu. Gloria usłyszała tylko odrażający trzask.

Rewolwer upadł na podłogę. Skoczyła w stronę męża, który leżał teraz na boku, z rozrzuconymi groteskowo ramionami. Uklękła, rozdarła mu koszulę i przyłożyła ucho do piersi. Serce nadal biło. Wstała i spojrzała na niego bezradnie z góry, zastanawiając się, co dalej robić. Purpurowy odcień jego twarzy ustąpił miejsca sinei bladości. Przykucnęła i zaczęła energicznie masować jego ramię, aż po biceps, podwinawszy wcześniej rękaw koszulki. Dostrzegła rozmazaną smugę krwi na podłodze, tuż obok głowy Lloyd'a. Wstała, wyszła do małej kuchni i przyniosła dwie szklanki wody. Postawiła je na stole i rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby posłużyć jej za opatrunek. W końcu pod tapczanikiem, w pudle na brudną bieliznę, znalazła chustki do nosa. Przyklękła obok Lloyd'a, delikatnie odwróciła jego głowę i wytarła krew, odsłaniając rozcięcie, długie na trzy cale. Związała dwie chustki i obwiązała mu głowę, by osłonić ranę.



Podczas tych czynności Lloyd leżał bezwładnie, lecz Gloria zauważyła, że jego oddech stawał się coraz słabszy. Usiadła mechanicznie na krześle przy drzwiach i przez dłuższą chwilę patrzyła na męża, nie wiedząc, co mogłaby jeszcze zrobić. Nie odważyła się go przesunąć, nie tylko z powodu jego wagi, lecz także dlatego, że mogłoby mu to zaszkodzić. Potrzebowała pomocy. Lekarza. Tu jednak nie było telefonu. Do powrotu Gregga Lloyd mógł być już w stanie agonalnym, albo nawet nie żyć.

Teraz wizja umierającego męża, tak często przywoływana w przeszłości, przepełniła Glorię przerażeniem. A także czymś więcej. Współczuciem. To niesamowite, lecz wciąż istniała więź między nią a Lloydem, więź wykraczająca poza cielesną rozkosz. „Ja ciebie kochałem”, powiedział. Te słowa przywoływały wspomnienie jej samotnego dzieciństwa, kiedy były tym, czego pragnęła najbardziej na świecie.

Podniosła z ziemi rewolwer i ponownie uklękła, przysuwając policzek do ust dyszącego Lloyd'a. Poczowała słabe muśnięcia gorącego oddechu.

Zerwała się na nogi i wypadła na zewnątrz.

O latarce przypomniawszy sobie dopiero wtedy, gdy jej stopy zaczęły grzeznąć w rozmiękłym gruncie leśnej ścieżki. Mimo to szła wciąż naprzód. Na przemian, to brnąc w błocie, to podbiegając, z rewolwerem kurczowo przyciśniętym do piersi, dotarła w końcu do swojego auta, zaparkowanego pod osłoną drzew. Wskoczyła do środka, zapuściła silnik i włączyła długie światła, żeby zapewnić sobie jak najlepszą widoczność na nieznaną drogę. Samochód kołysał się i podskakiwał, dopóki nie dojechała do autostrady. Przy samej szosie przystanęła, zastanawiając się, w którym kierunku skręcić. Gdzieś musiała znaleźć telefon, zadzwonić do lekarza, do szpitala, gdziekolwiek – operator z centrali już by wiedział. Gloria nie miała pojęcia, co jest po prawej stronie, zatem skręciła w lewo, na drogę, którą przyjechała.

Przejechała mniej więcej dwie mile, gdy zauważyła nadjeżdżający z przeciwka wóz, mrugający reflektorami i zdała sobie sprawę, że wciąż jedzie na długich światłach. Przygasiła je dopiero wtedy, gdy samochód przemknął obok, a ona dostrzegła mężczyznę, który aż odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć.

Zatrzymało ją czerwone światło na skrzyżowaniu. Ta przerwa dała Glorii chwilę do namysłu. Co ona wyrabia? A co na to Gregg? Jak do tej pory była skupiona wyłącznie na tym, aby Lloyd przeżył. Jeśli tak, rozważała, czy doniósłby na nich policji? Znała odpowiedź – zrobiłby to. Dziwne, lecz znaczyło to teraz dla niej o wiele mniej niż ocalenie jego życia. Miała w pamięci koszmar nocy, gdy myślała, że go „zamordowała”... Nigdy więcej. Pieniądze czy ich brak. Gregg czy nie Gregg.

Klakson samochodu – słyszała go od kilku sekund – wyrwał ją z zamyslenia. Gdy rozbłysło zielone światło, po drugiej stronie skrzyżowania ujrzała... *Gregga!* Zajmował miejsce pasażera. Za kierownicą siedział Bill Torrance.

Samochody, jadąc z wolna, spotkały się na środku skrzyżowania. Gregg ruchem ręki nakazał jej, aby zawróciła. Mimo zakazu, zrobiła, co chciał. Wystawiając dłoń przez okno, pomachał, by jechała za nimi. W drugim ręku, jak się domyślała, trzymał pistolet.

Przejechawszy ćwierć mili, samochód Gregga zjechał na pobocze i stanął. Zaparkowała tuż za nim, wysiadła i podeszła do drzwiczek po jego stronie.

Spiorunował ją wzrokiem. – Co ty tu robisz, do diabła?

– To przez Lloyda. On...

– Poczekaj... – Gregg wyrwał kluczyk ze stacyjki i wyskoczył na zewnątrz, rzucając przez ramię do Torrance'a: – Rusz się tylko, a zastrzelę!

Bill patrzył prosto przed siebie, z ustami zaciśniętymi w wąską kreskę, jakby udawał, że nie słyszy.

Gregg odciągnął Glorię kilka kroków od drogi. Cały czas miał swój wóz na oku, celując w Torrance'a z biodra.

– A teraz, do cholery, o co w tym wszystkim chodzi?

– Lloyd stracił przytomność. Najpierw zaczął wstawać, a potem upadł. Ma okropną ranę na potylicy, w miejscu, gdzie uderzył głową o rant stołu.

Gregg spojrział na nią spode łba. – Myślisz, że nie żyje?

– Nie, chyba jeszcze żyje. Wciąż oddychał, kiedy wyjeżdżałam. Ale wyglądał dziwnie – posiniał. Trzeba wezwać do niego lekarza. – Mimo wolnie zaczęła się tłumaczyć: – Szukałam miejsca, skąd mogłabym zadzwonić. Nie podałamby własnego nazwiska.

– Chwilkę, niech pomyślę... – Gregg spojrział w stronę Torrance'a, który nadal siedział nieruchomy jak głaz. – Wiesz co? Ja pojedę i rzucę okiem na Lloyda. Ty nie rób nic. Wjedź samochodem między te drzewa, zgasz światła i czekaj. Wrócę do ciebie jak najszybciej.

Gloria, wystraszona do granic możliwości, była szczęśliwa, że może przerzucić odpowiedzialność na Gregga. Wyglądało na to, że zawsze potrafił obrócić sytuację na swoją korzyść. Przecież to samo powiedział Lloyd... Ta myśl spowodowała mętlik w jej głowie i wzbudziła lekką nieufność, zaraz jednak skinieniem głowy zgodziła się z nim. Zerkając kątem oka na Billa Torrance'a, przypomniała sobie cel wyprawy Gregga.

– Czy dostałeś to, czego chciałeś?

– Wszystko. Pieniądze, oświadczenie, list... Łatwizna, jak zabranie laski ślepcowi. Forsa jest w bagażniku. Oświadczenie i twój list spaliłem na oczach Torrance'a. – Musnął palcami jej policzek. – Już prawie mamy to za sobą, Glorio.

Odsunęła się z ociąganiem.

– To po co wiesz tam Billa z powrotem?

– Po to, żeby mieć cholerną pewność, że nie wpadnie mu do łba jakiś idiotyczny pomysł. Na przykład telefon na policję. Jeżeli wszystko jest w porządku, zostawię go tam z Lloydem. A my zaczniemy nowe życie.

– To szybciej już, Gregg – szepnęła z niepokojem. – Nie możemy pozwolić mu teraz umrzeć.

Popatrzył na nią zaintrygowany.

– Jakby nas to specjalnie obchodziło... – wycedził powoli. – Są rzeczy ważniejsze. Do zobaczenia wkrótce.

Wrócił do samochodu. Śledziła smętnie czerwone, tylne światła wozu, dopóki nie zniknęły w oddali.

## 22.

Zaparkowawszy ze zgaszonymi światłami w eukaliptusowym zagajniku, Gloria zapaliła papierosa i pogрузyła się w zadumie. Czy życie Lloyda naprawdę było w niebezpieczeństwie? Teraz w to powątpiewała. Bądź co

bądź wyszedł zwycięsko z kilkuset pijackich batalii. Uderzenie w głowę, aczkolwiek spowodowało przerażającą ranę, z pewnością nie spowodowałoby śmierci człowieka. Spójrzmy na Gregga – wciąż tryskającego życiem, pomimo dwóch potężnych ciosów, zadanych żeglarską knagą. Do tego, zdaniem doktora Fowlera, Lloyd miał serce jak dzwon.

Prawdopodobnie mąż doznał lekkiego szoku i powinien już dojść do siebie, zanim Gregg będzie na miejscu. Ta myśl sprawiła jej pewną ulgę, lecz wciąż dręczyło ją uporczywe, nieokreślone uczucie. Nie dotyczyło lęku przed policją. Ani nawet obawy, że Gregg może ją porzucić. Gloria akurat gasiła papierosa w popielnicze, gdy uświadomiła sobie, co to jest. Zaskakująco prozaiczne uczucie – brzydziła się samej siebie.

Desperacko pragnęła odebrać życie swojemu mężowi, lecz bez powodzenia. Teraz chciała go okraść, zdradzić i upokorzyć. Stawiła temu czoła już wcześniej, ale nigdy tak naprawdę nie odkupiła swych win, chociaż w jakiś sposób usprawiedliwiała swoje poczynania wszechwładną miłością. Teraz wiedziała, że to nie była miłość. Gregg stał się dla niej po prostu ucieczką z cielesnego więzienia. Z dreszczem emocji oczekiwała na gwałtowne wyzwolenie, lecz okazało się ono iluzją. Prawie każdy, kto był wystarczająco silny, władczy i wymagający, mógł stymulować tkwiące w niej zmysłowe żądze. Coś, co Lloyd nazwał formą obłędu. Znalazła się niewoli własnych, neurotycznych pragnień, a nie miłości. I nie kochała Lloyda, mimo że wzbudzał w niej współczucie i politowanie, gdyż zawsze pragnął być bardziej męski. Jak Gregg.

Nie mogłaby pokochać nikogo, ponieważ nie kochała samej siebie. I co teraz?

Światła samochodu, zjeżdżającego z głównej drogi, zdawały się przynosić odpowiedź. Gloria wysiadła ze swojego auta i stanęła wyprostowana, opierając dłoń na krawędzi opuszczonej szyby. Gregg podjechał jeszcze kilka stóp i wyłączył światła. Pozostał za kierownicą.

– Z Lloydem wszystko w porządku – rzucił niedbale.

Gloria straciła poczucie czasu, lecz była podejrzliwa.

– Jak udało ci się tak szybko to wszystko załatwić?

Jego zęby błysnęły w uśmiechu. – Pędziłem jak diabli, żeby do ciebie wrócić. Lloyd już siedzi. Torrance wylał całą gorzałę, więc chwilowo będzie skazany na małą abstynencję. Ale nasz stary ptaszek to przeżyje!

Milczała przez chwilę, czując, jak spływa na nią fala ulgi.

– Gregg... Ja...

– Zostawisz samochód przy domu. Możesz zabrać kilka rzeczy i zmykamy. Dalej polecimy samolotem z Los Angeles.

Zacisnęła palce mocniej na krawędzi szyby. Dobitnie wymawiając każde słowo, oświadczyła:

– Ja nie jadę, Gregg.

Stłumił w ustach przekleństwo. Gloria ujrzała, jak jego dłonie zaciskają się na kierownicy. W tym samym momencie zapytał, niemal łagodnie: – To znaczy, że jesteś gotowa pożegnać się ze stu czterdziestoma tysiącami dolarów?

– Tak. Ty je weź. Ja ich nie potrzebuję.

Jego oczy były jak dwa czarne tunele, skierowane prosto na nią.

– Wobec tego mnie też całujesz na do widzenia?

– Nigdy nie byłam naprawdę twoja, Gregg. To było... coś, co jest we mnie.

– No cóż, w takim razie w porządku. A jest tam nadal?

Zawahala się. – Tak, jest tam nadal. Ale już nie dla ciebie, nigdy więcej.

Z pozornie niewzruszonym spokojem zapalił papierosa.

– A więc wracasz do Lloyda?

– Tylko po to, aby się upewnić, że nic mu nie jest. Później wyjadę.

Wyrzucił zapalnik przez okno.

– No tak, do diaska! – warknął. – *Teraz* kapuję. Roisz sobie, że spikniesz się z Lloydem i *wspólnie* wydacie mnie glinom. Wtedy zapewnisz sobie udział w akcjach i myślisz, że jak mnie przydybią, dostaniesz również forszę! Ty perfidna dwulicowa suko!

Nie czuła urazy.

– Nie, to nie tak. Ale ty byś tak zrobił, co? – Już lepiej, żeby pohamowała swój język.

Jego zachowanie znów uległo metamorfozie. Uśmiechnął się, wypuszczając kłęb dymu.

– Może właśnie dlatego jesteście sobie pisani, Glorio – bo mamy ze sobą tyle wspólnego. Chodź tu, usiądź obok i pogadajmy o tym. – Zerknął na zegarek. – Nie ma co marnować więcej czasu.

– Nie. Jadę. – Ukradkowo przesunęła dłoń w kierunku klamki, czując przyptyw paniki.

– Wiesz co, Gloria? Oddam ci część pieniędzy. – Wysiadł z wozu i oparł się niedbale o bok karoserii. – Bądź co bądź, na nie zasłużyłaś.

Propozycja była tak nieoczekiwana, że Gloria zamarła w pół ruchu. Czy powinna je przyjąć? Może Lloyd zaufały jej, gdyby oddała mu pieniądze?

– Są w bagażniku – dorzucił Gregg.

Zrobiła krok w jego kierunku. On również, odrzucając niedopalonego papierosa. Otoczył ją ramionami, mocno przycisnął i pocałował. Stała, sztywna i nieczuła, jak manekin w sklepowej witrynie. Próbował ustami rozdzielić jej wargi, lecz mocno je zacisnęła.

Odsunął się, obrzucając Głorię wyzywającym spojrzeniem.

– Boisz się?

– Tak, boję się – odparła, wbijając wzrok w jego szeroką pierś.

– Odzywa się to *coś*, co jest w tobie?

– Tak.

Sięgnął wyżej, próbując zsunąć ramiączko jej letniej sukienki. Odskoczyła, rozwścieczona.

– Niech cię diabli, nie dotykaj mnie!

Przez chwilę patrzył na nią groźnie, po czym mruknął z lekkim uśmiechem:

– No, no, tym razem paniusia mówi serio.

Wychylił się w przód i wymierzył jej siarczasty policzek.

Poleciała do tyłu, wpadając na bok swojego samochodu. Próbowwała przytrzymać się drzwiczek, lecz osunęła się w dół. Stał nad nią i uderzył jeszcze raz. Upadła na ziemię z rozrzuconymi nogami, zbyt oszołomiona, żeby wydać jakikolwiek dźwięk. Dźwignął ją z ziemi, jak bezwładną kukłę.

– Masz chęć na forszę, ale na mnie to już nie – syknął. – No to zaraz się o tym przekonamy.

Mimo bólu rozsadzającego czaszkę, Gloria miała dziwne poczucie niezeczywistości tego, co działo się od tego momentu. Jej bezwładne ciało,

rzucone na tylne siedzenie samochodu. Trzaśnięcie drzwiczek. Szmer podnoszonych szyb. Trzask otwieranego schowka na rękawiczki... a potem nagły przyływ świadomości, gdy strumień whisky spłynął jej do gardła.

Odjął butelkę od jej ust i po chwili usłyszała gulgot, gdy sam się napił.

– Daj jeszcze... – wychrypiała.

Znów pałący smak ożywczego trunku.

– Możesz też wrzeszczeć, ile wlezie – rzucił. – Nikt cię tu nie usłyszy.

Ponownie przytknął butelkę do ust Glorii. Ból w głowie zelżał i przeszedł w nieprzyjemne mrowienie. Znów zaczęło wstępować w nią życie. Miała zamknięte oczy i tylko słyszała odgłos zakręcania butelki.

Kiedy poczuła rękę, dotykającą jej kolana i bezceremonialnie wsuwającą się pod sukienkę, zamachnęła się na Gregga. Pięść spadła na bok jego szyi. Jakby uderzyła w pień drzewa. Uwięził obie dłonie Glorii w jednym ręku i docisnął jej do piersi. Szarpiąc się dziko, uwolniła jedną dłoń. Usiłował ją znowu chwycić. Sukienka rozdarła się, odsłaniając biust Glorii. Złapał ją za nadgarstki i przyszpilił jej ręce do oparcia fotela.

Oddychał prawie normalnie.

– Chcesz, żeby ci trochę bardziej uszkodzić tę śliczną buźkę?

Rozdygotana, patrzyła na niego z przerażeniem, nie mogąc wykrztusić słowa. Sztywno pokręciła głową.

Powoli uwolnił z uścisku ręce Glorii, które opadły jej bezwładnie wzdłuż boków. Sięgnął w dół i zadarł jej sukienkę nad biodra. Przesunęła się lekko, by uniknąć dalszego rozdarcia materiału. Wiedziała, że ten ruch był dla Gregga sygnałem, że ją złamał. Bez pośpiechu, gdy lekko uniosła się z siedzenia, ściągnął jej figi.

Gra wstępna nie trwała zbyt długo. Jakiś impuls, jak wrząca lawa, spłynął jej do lędźwi i kiedy Gregg zdjął z siebie ubranie, zrobiła wszystko, czego zażądał. Złożył przednie siedzenia i, na kolanach, wszedł w nią. Było tak samo, jak na samym początku, gdy kochali się na miękkim dywanie w salonie.

Trwali jeszcze potem w tej samej pozycji, choć namiętność prawie doszczętnie się wypaliła.

– Widzisz? Widzisz, jacy jesteśmy? – mruknął Gregg.

I wtedy padł na nich snop światła, tak silny, że zdawał się rozjaśniać cały świat.

Gdzieś z daleka dobiegł Głorię podniecony głos Torrance'a, krzyczącego: – To samochód Flandersa! I Glorii!

Pomimo że nie była w stanie dostrzec człowieka za oślepiającym światłem latarki, oczyma wyobraźni ujrzała napawającą się triumfem twarz porucznika Dillona.

Potem był już tylko kalejdoskop obrazów i dźwięków. Ponury uśmiech Dillona, przywodzący na myśl grymas trupiej czaszki, kiedy opuścił latarkę i szarpnięciem otworzył drzwiczki. Szczęk stali kajdanek zatrzaszkujących się na przegubie Gregga... Jego zgięte ciało, slipy absurdalnie opuszczone do kostek, szeleszczące o suche liście eukaliptusa. Cichy, uspokajający głos Friendly'ego: – Spokojnie, Rod, oni nie zamierzają uciekać. – A potem ogłuszający, zwycięski krzyk Torrance'a: – No, to teraz, skurwielu, pożałujesz, że mnie wywaliłeś z wozu!

Gloria była kompletnie rozbita. Osunęła się na kolana, przyciskając twarz do złożonego przedniego, skórzanego fotela, histerycznie szlochając.

– O Boże! Lloyd! – wrzasnęła. – Dlaczego nie ratowaliście Lloyda?

– Dlatego – oparł Bill gniewnie – że twój przekłety fagas wyrzucił mnie z samochodu na środku drogi. Walnął mnie w głowę kolbą pistoletu. To dlatego znalazła mnie policja.

A kiedy Dillon sięgnął, żeby chwycić Głorię za przegub, makler dodał: – No dobra, pędźmy do Lloyda!

**C**iało Lloyda drgnęło. Zamrugał i szeroko otworzył oczy. Potrząsnął skołataną głową, ale panował w niej jednak absolutny chaos. Wiedział, że leży na podłodze, bo w końcu udało mu się skupić wzrok na suficie z surowych desek, chociaż wydawały mu się oddalone o miliony mil.

Piekielnie obolały dźwignął się na nogi. Macając przed sobą uniesionymi rękami, jak ślepiec na opustoszałej ulicy, chwiejnie dowlókł się do stołu. Z głuchym westchnieniem osunął się na krzesło. Gdzieś w jego



pijanej głowie zamajaczyło niejasne pytanie. Dlaczego był sam?

Myśli, z początku nieuformowane, powoli zaczęły nabierać sensu. Gloria go zostawiła. Dlaczego? Przecież miała czekać na Gregga. Nie wyszłaby, jeżeli nie byłoby to konieczne.

Lloyd podniósł rękę do czoła i dotknął jakiejś tkaniny. Lekko pociągnął materiał, sprawdzając, czy nie przywiera do skóry. Rozwiązał węzeł z tyłu głowy i ujrzał, że to chusteczka – a raczej dwie chusteczki, związane razem. Obmacał potylicę opuszkami palców. Spojrzał – były czerwone. Krew.

A więc tak było... *musiało* tak być – Gloria pojechała po pomoc.

Nieoczekiwanie głowa Lloyda opadła do przodu. Owładnęło nim straszliwe przeczucie. Jeszcze raz dotknął palcami rany i spojrzął na grubą warstwę kurzu, pokrywającego blat stołu. Z potwornym wysiłkiem sunął palcem po blacie, kreśląc koślawe litery własną krwią w pyle.

Przyjrzał się napisowi gasnącym wzrokiem. Jego twarz rozjaśnił niemal błogi uśmiech.

A potem ciężko padł na stół, rozpaczliwie chwytając butelkę whisky i przewracając ją. Bursztynowy trunek popłynął po blacie, zmywając literę z jednego słowa.

Niekompletny napis wyglądał teraz tak: NI GLORIA! GREGG!

Butelka potoczyła się po stole i roztrzaskała o podłogę.

## 23.

**S**nop światła porannego słońca wpadł przez okratowane okienko celi i odbił się od okularów Setha Spiegala. Krzyżując ręce na wątlej piersi, adwokat przybliżył twarz do Glorii, która osunęła się na twardą, więzienną pryczę.

– Złociutka – powiedział cicho, jakby podzielał jej ból. – Oni mają dowodów do diabła i trochę.

Nie odpowiedziała, wbijając w podłogę niewidzące spojrzenie. W jej pozbawionej snu jaźni wciąż przewijał się natłok obrazów i zdarzeń z wczorajszej nocy. Wyjące syreny, gdy ją i Gregga, skutykch razem, zawieziono z powrotem do kryjówki Lloyda. Dillon zatrzymujący ich tuż za

drzwiami, Torrance stojący obok, wciąż mamroczący pod nosem obelgi. Kapitan Friendly podchodzący szybkim krokiem do rozciągniętego na podłodze Lloyda, którego twarz jest woskowo blada. Podnosi mu powiekę i oznajmia cicho: „Nie żyje”, choć te słowa nie są już potrzebne. Kapitan z wolna się prostuje i patrzy w dół, na blat stołu, co najmniej przez minutę, jego oczy jakby dostrzegły coś na zakurzonej powierzchni.

Dillon wzywa przez krótkofalówkę policyjną ekipę. Jest północ, a pokój wypełnia się mężczyznami o twarzach bez wyrazu – badają ciało, pobierają odciski palców, robią zdjęcia, niektórzy po prostu obojętnie stoją. Dillon i Friendly pospiesznie wiozą do miejscowego więzienia dwójkę więźniów, którzy zostają tam zarejestrowani i pouczeni o swoich prawach. Gregg burczy pogardliwie: „Znam swoje prawa” i – za zgodą Dillona – dzwoni po adwokata.

Dillon, najwyraźniej sądząc, że Gloria stanowi łatwiejszy cel, zasypuje ją gradem pytań, lecz nie jest w stanie przełamać muru jej milczenia. Potem nieoczekiwanie zmienia taktykę i namawia ją kojącym głosem: „Dlaczego nie miałaby się pani z tego wszystkiego oczyścić? Proszę złożyć zeznania. Poczuj się pani lepiej”. Podczas monologu porucznika Friendly jest równie milczący jak ona.

Gloria zastanawia się, czy powinna wezwać Seta Spiegala – przeraża ją, że adwokat może odmówić – teraz, gdy jest w sposób oczywisty obarczona winą. Jednak w końcu decyduje się zadzwonić i łamiącym się głosem wszystko mu tłumaczy. Jego słynne cztery słowa: „Basta, ani słowa więcej. Będę u ciebie rano.”

A teraz, stojąc nad nią w ponurej celi, Seth Spiegala bez ogródek oświadczył, że Gloria nie ma żadnych szans – „oni mają dowodów do diabła i trochę”...

Jej głos, znużony i zubożony, przerwał ciszę.

– Wiem. Dowody są warte sto czterdzieści tysięcy dolarów – wyjąkała ze spuchniętymi ustami.

Spiegala zdjął okulary, przetarł je chusteczką z jedwabiu i założył z powrotem na kościsty nos. Podnosząc wzrok, Gloria dostrzegła, że w jego powiększonych przez soczewki oczach nie ma ani śladu dawnej poufałości.

– Mają o niebo więcej niż kradzież pieniędzy – rzekł ponuro. – Przez ramię wskazał kciukiem za siebie. – Tuż obok, w pokoju przesłuchań,

twój przyjaciel śpiewał im jak ptaszek. Wszystko wydał. Dosłownie wszystko.

Niezbyt ją to zdziwiło.

– Co znaczy „wszystko”?

– Wszystko, od początku. O spisku na życie Lloyda, o tym, jak sam cię wykiwał i w ogóle. Flanders wczoraj wieczorem załatwił sobie adwokata – to miejscowy, Tom Aston, zdolny gość – który doradził mu, żeby spróbował pójść na ugodę. I, do diabła, idzie! Mówi, że to ty wszystko ukartowałaś; że stracił głowę i dał się zrobić.

Nie zrobiło to na niej wrażenia.

– Może to zabrzmiało śmiesznie. Bo tak się składa, że było zupełnie na odwrót.

– Tak też myślałem. W sumie czemu nie. Facet gra o to, żeby odpowiadać za kradzież, a nie za morderstwo.

– Morderstwo? – Odrzuciła na plecy jasne włosy w słabym odruchu złości. – Nie ma mowy o żadnym morderstwie. To był wypadek. Lloyd sam sobie to zafundował.

Z ociąganiem opowiedziała adwokatowi, jak Lloyd doprowadził się do pijackiego amoku, przewrócił i rozbił sobie głowę o stół.

Spiegel wydał zapadnięte policzki i wypuścił powietrze. – Aj waj! Oni to wszystko wywrócą na drugą stronę. Dillon spróbuje wystąpić o oskarżenie o morderstwo z premedytacją.

Te słowa nią wstrząsnęły.

– Ale to był wypadek – powtórzyła uparcie. Zagryzła dolną wargę. – Żył, kiedy wychodziłam.

– A dlaczego wychodziłaś?

– Żeby wezwać pomoc, zadzwonić po lekarza, do szpitala.

– Ale zostałaś napadnięta i znaleźli cię bez majtek. Bez urazy.

Była zbyt wyczerpana, by się zawstydzić.

Przysiadł obok niej na pryczy i spojrzał jej w oczy. – Słuchaj. Muszę wiedzieć wszystko albo daję sobie z tym spokój. Żadnych sekretów, jak ostatnio.

Zaczęła od dnia, kiedy spotkała Gregga, a potem opowiedziała Spiegelowi o wszystkim, wspominając również o spaleniu oświadczenia i listu. Żaden szczegół jej opowieści nie zrobił na nim wrażenia.

– A więc naprawdę chciałaś oskubać Lloyda?

– Tak.

- Już wcześniej tak myślałem.
- Ale mnie broniłeś.
- Jestem adwokatem od spraw kryminalnych. To mój zawód i będę bronił każdego, winnego czy nie.
- Już ci mówiłam – syknęła lodowato. – Nie zabiłam go.
- To właśnie, Boże dopomóż, mam zamiar udowodnić – oświadczył i posępnie potrząsnął głową. – Zaczynamy dziś po południu, pod przewodnictwem szacownego Nelsona Brinkmana.

Drgnęła. – Brinkmana? Po tym, jak go wyrolowałaś ostatnim razem, wątpię, czy będzie w ogóle chciał mieć z tobą do czynienia.

– To był jego pomysł. I sędzę, że nalega właśnie z powodu tego, co stało się poprzednio. W razie czego może nawet załatwić odłożenie sprawy do jutra. Och, to jasne, że sprawa i tak trafi do sądu. Nie da się go od tego odwieść. Lecz Brinkman chce mieć cholerną pewność, że zna sprawę gruntownie, a nie tylko połowicznie, jak podczas naszego wcześniejszego spotkania. Jednym słowem, chce mieć na talerzu *wszystko*, a nie tylko to, co mu podsuka Dillon. Spotykamy się w jego biurze o drugiej. Ty przybędziesz tam razem z Flandersem i jego adwokatem, Tomem Astonem. Do tego Dillon i – prawdopodobnie – Friendly. Wątpię, czy będzie tam Torrance, ale Dillon może mieć jego zeznanie – na piśmie. Zapowiada się niezła zabawa.

Już sama myśl o tej konfrontacji przeraziła Głorię.

- A rozmawiałeś z Dillonem?

Czarne brwi Spiegala uniosły się ponad oprawki okularów.

– Powiedzmy, że mówiłem *do* niego. Równie dobrze mógłbym mówić do ściany. Tylko uśmiechał się pod nosem i znacząco pochrząkiwał. Uważa, że tym razem to dla niego bułka z masłem. A co, może nie ma prawa tak myśleć? – Spiegala wstał, nie okazując dawnej, napuszonej pewności siebie. – Po prostu pamiętaj – basta, ani słowa...

- Wiem – ucięła Gloria.

## 24.

**W** wyłożonym boazerią, biurze Nelsona Brinkmana zostali posadzeni z tyłu sali, po obu stronach wejścia, jak walczący po przeciwnych stronach

gladiatorzy, pomyślała Gloria. Ona i Gregg byli skuci kajdankami, zaś obok nich stali: zwalista policjantka i wysoki policjant. Za biurkiem, trzymając dłoń na klapie marynarki i opierając sfałdowany podbródek na piersi, siedział prokurator okręgowy i wbijał wzrok w zieloną suszkę do stempli, jakby szukał najbardziej adekwatnego sposobu, żeby rozpocząć. Po jego prawej stronie porucznik Dillon, lekko pochylony w przód, zaciśkał w dłoniach manilową teczkę, strzelając od czasu do czasu spojrzeniem w kierunku Abe'a Friendly'ego, który siedział obok, obojętny jak głąz. Naprzeciwko nich zajęło miejsce dwóch adwokatów – sztywno wyprostowany Tom Aston i Seth Spiegal, zapadnięty w wielkim, skórzanym fotelu, tak że widać było tylko jego ramię i cienkie nogi.

Seth Spiegal, pochylając się w przód i polerując okulary, rzucił uczynnie: – Jeżeli jest pan gotów, panie Brinkman, chciałbym najpierw wyjść z pewną propozycją...

Brinkman ostrożnie podniósł wzrok. – Tak?

– Z całym szacunkiem, chciałbym zasugerować, żebym został na sali albo ja ze swoją klientką, albo pan Aston ze swoim klientem. Nie obydwaj na raz.

– Mamy coś do ukrycia, panie Spiegal? – zapytał Tom Aston, usiłując bez powodzenia nadać opryskliwemu głosowi bardziej układny ton. Był to otyły mężczyzna o rumianym obliczu, emanujący aurą wyższości, który kiedyś sprawował funkcję zastępcy prokuratora w Los Angeles.

Seth Spiegal ponownie założył okulary.

– To doprawdy głupie pytanie – odparł spokojnie. – Oczywiście, że mam coś do ukrycia. Po pierwsze, chciałbym ukryć wersję mojej klientki przed *panem*. Powinienem sądzić, że oczekiwałby pan tego samego ode mnie. Żeby nie tłumaczyć fałszywie żadnych rozbieżności. Myślę, że ułatwi to panu Brinkmanowi ustalenie, kto tutaj kłamie.

Aston parsknął zarozumiale. – To na pewno nie będzie *mój* klient.

– Wobec tego nie powinien pan mieć żadnych obiekcji. – Spiegal nachylił się w stronę Brinkmana, konfidencjonalnie ścisząc głos. – Co więcej, sir, obawiam się, że tych dwoje, hm... więźniów może zacząć obrzucać się wzajemnie oskarżeniami, a w efekcie pogrążyć samych siebie.

– Na tym polega odpowiedzialność obrońców – podkreślił rozdrażniony Dillon. – A nie pana, panie Brinkman, czy policji.

– Wobec tego, poruczniku – oświadczył Spiegalał – mogę jedynie wnioskować, że zwołał pan to spotkanie, aby obejść konstytucyjne prawo, stanowiące, że podsądny nie może oskarżać samego siebie.

Dillon poczerwieniał. – Nie ja zwoływałem to spotkanie. Prawdę mówiąc, byłem mu przeciwny.

– *Ja je zwołałem* – zauważył Brinkman.

Spiegalał uśmiechnął się do niego i kiwnął dłonią. – W takim razie cofam to, co powiedziałem. – Z udaną rozpaczą potrząsnął głową. – Niestety, nie wierzę porucznikowi Dillonowi.

– Poruczniku Dillon – rzekł prokurator lodowatym tonem – przykro mi, że nie pochwała pan tego spotkania. – Tu jakby przepaszająco spojrział na Seta Spiegalała. – Jestem przeciwny pańskiej propozycji, panie Spiegalał. Oczywiście, nic pana nie zmusza, żeby pan dłużej w nim uczestniczył.

– Ależ oczywiście, że będziemy w nim uczestniczyć – odparł adwokat uprzejmie.

Zaczynając już trochę rozumieć jego taktykę, Gloria zdała sobie sprawę, do czego doprowadził jej obrońca. Brinkman, odmawiając Spiegalałowi, poniekąd stał się dłużnikiem tego niepozornego człowieczka. Równocześnie prokurator okręgowy zirytował się, że Dillon nie aprobeje jego metod.

– Nie marnujmy więcej czasu – zdecydował Brinkman i wziął do ręki plik papierów. – Otrzymałem to dziś rano od porucznika Dillona. – Machnął dokumentami w stronę siedzącego z tyłu Gregga Flandersa. – Czy potwierdza pan, że to podpisane przez pana zeznanie, panie Flanders?

Gregg spojrział na niego bez wyrazu. – Tak.

– Czy chciałby je pan przeczytać, panie Spiegalał?

– Nie chciałbym tego przedłużać, panie Brinkman. Zakładam, że pan albo ktoś inny – adwokat zerknął na Dillona – zechce teraz przedstawić mojej klientce konkretne zarzuty.

Brinkman przeciągnął dłonią po gęstej, siwej czuprynie. Wydawał się niewzruszony, gdy przeglądał dokument. – Spróbuję przedstawić państwu treść w skrócie. Według pana Flandersa, pani Worthington uknuła spisek na życie męża i namówiła Flandersa, żeby pomógł w dokonaniu

zabójstwa. – Podniósł wzrok. – Był to, rzecz jasna, pierwszy plan, który się nie powiódł.

– Obalimy ten zarzut – oświadczył Spiegat. – Dowody wskazują, że tylko Flanders był z Worthingtonem na łodzi. Znalezione tam krew. Lecz podejrzewam, że sam się do tego przyznaje.

– Owszem – potwierdził Brinkman.

– Wobec tego tylko jego słowa obciążają panią Worthington.

– Nie, jest coś więcej. – Brinkman zwrócił się do Dillona, który nieomal skoczył na równe nogi.

Porucznik pomachał jakąś kartką w powietrzu.

– List pani Worthington! – wykrzyknął. – Ten, który wysłała do Flandersa, do San Diego!

Gloria zerwała się z krzesła, aż zadźwięczały kajdanki. – Ty parszywy...!

Potężna policjantka chwyciła ją za ramiona i posadziła z powrotem. Gloria spiorunowała Gregga wzrokiem. Odpowiedział nieodgadzionym, nonszalanckim spojrzeniem.

Dillon wertował list, chciwie wyławiając co ciekawsze fragmenty.

– O, to ciekawe! „Kocham, kocham, kocham”... „Nawet jeśli nas podejrzewa, nie mam pojęcia, jak mógłby tego dowieść”... – Dillon powiódł wzrokiem po twarzach zebranych. – I tak dalej, i tak dalej, w tym samym stylu. Cała treść listu wskazuje na nią jako na inspiratorkę zamachu na życie Lloyda Worthingtona. – Przerwał i posłał Glorii złośliwy uśmiech. – Ten list był w kieszeni Flandersa, kiedy aresztowaliśmy go wczoraj wieczorem.

Glorię skręcało z wściekłości. Gdyby ubiegłej nocy powiodła się ich ucieczka, zamieniłaby jedynie zależność od Lloyda na zależność od Gregga. Spalił swoje oświadczenie, lecz zachował jedyną rzecz, która mogłaby na zawsze skłonić Glorię do milczenia – nawet gdyby ją porzucił, co bez wątpienia miał zamiar zrobić. Zerknęła na niego z ukosa. Uśmiechnął się zimno.

– Przestudiuję list później – rzekł spokojnie Spiegat. – Przejdźmy do sprawy pierwszego oświadczenia, tego, które Flanders napisał na łodzi Worthingtona. Czy pan je posiada?

– Nie ma takiej potrzeby – wtrącił się Tom Aston. – Zeznanie, które Flanders złożył na policji wczorajszej nocy – to, które ma pan Brinkman – zawiera wszystko, co trzeba...

– Nie rozwódźmy się nad tym dłużej – przerwał mu Spiegal. – Istniało oświadczenie, które Flanders napisał na łodzi. Zniszczył je. Ale nie zniszczył listu pani Worthington. Nie ulega wątpliwości, że zamierzał wykorzystać go w celu szantażowania mojej klientki i zmuszenia jej do milczenia. Czy może pan zaprzeczyć, że istniało pierwsze oświadczenie? Gdzie jest też pan Torrance? Czy posiada pan również jego zeznanie?

Teraz przemówił Abe Friendly:

– Nie chciałbym się wtrącać – rzekł – lecz uważam, że możemy całkowicie zgodzić się z panem Spiegalem. Teraz nie ma powodu ciągnąć tego dłużej. Przedłożone właśnie dowody dotyczą oskarżeń, które są mało znaczące w porównaniu z innymi, jakie zostaną przedstawione w sądzie. Może w tym momencie wystarczy poinformować pana Spiegala, że jego klientce grozi oskarżenie o udział w spisku w celu popełnienia zabójstwa i samego zabójstwa?

– Zgadzam się z panem – oświadczył Brinkman. – Nie uczestniczymy tutaj w procesie.

– Wobec tego w czym uczestniczymy? – zareagował wojowniczo Dillon.

Brinkman rzucił mu wyniosłe spojrzenie. – W wymianie poglądów, poruczniku. Jak również istotnych informacji. Podsądni mają prawo wiedzieć, o co są oskarżeni i jakie dowody świadczą przeciw nim. Jeśli którekolwiek z nich zechce zataić pewne informacje do czasu przesłuchania przed ławą przysięgłych, ma do tego pełne prawo. – Zerknął na Spiegala, oczekując aprobaty.

– Całkowicie podzielam pański punkt widzenia – przyświadczył Spiegal.

– Tu dochodzimy do głównego oskarżenia przeciwko pani Worthington – podkreślił Brinkman. – Zabójstwa.

– Chciałbym, aby porucznik Dillon przedstawił racjonalne uzasadnienie odnośnie tej kwestii – odparł mały adwokat.

Policjant zaczął podnosić się z miejsca, lecz zaraz usiadł.

– Uczynię to z łatwością. Wczorajszej nocy pani Worthington, uzbrojona w rewolwer, została, aby pilnować swojego męża, podczas gdy Flanders zmusił Torrance'a, żeby pojechał z nim po pieniądze. Lloyd Worthington próbował uciec. Ale był pijany – zdaniem Torrance'a, pijany w sztok. Jego żona zadała mu wtedy cios w głowę butelką whisky.



Worthington, padając, uderzył potylicą o krawędź stołu. To go zabiło. To morderstwo.

– A czemu go nie zastrzeliła? – wtrącił Spiegal.  
– Oczywiście Worthington wytrącił jej wcześniej broń z ręki.  
– Jeśli był tak pijany – nie ustępował Spiegal – mógłby się chyba przewrócić bez żadnej pomocy?

– A co wtedy z rozbitą butelką? – Dillon za wszelką cenę chciał zyskać przewagę.

– Przewrócił ją, kiedy uderzył w stół.

– Jest pan w błędzie, na kilku odłamkach szkła znaleziono ślady krwi.

– W porządku. Zatoczył się po pijanemu i rozwalił sobie głowę. Kiedy przyszedł do siebie, dotknął rany dłonią. A potem sięgnął po butelkę, żeby się napić. To całkiem naturalny odruch. Butelka wysliznęła mu się z ręki i upadła na podłogę. Logiczne?

– Owszem – parsknął Dillon. – Bardzo logiczne. Oprócz tego, że są dowody walki. Glorii Worthington rozdarło sukienkę i posiniaczono twarz. Proszę tylko spojrzeć. – Wszyscy zwrócili się w kierunku kobiety, obserwując jej opuchnięte oblicze. – Zaś koszula jej męża była poszarpana.

Gloria mimowolnie zareagowała na te słowa. – Próbowalam go ocucić. Rozdarłam koszulę, żeby sprawdzić, czy bije mu serce, i rozmasowałam mu bark.

Porucznik oblizwał wargi. – I przy tym rozdarła pani sukienkę? I posiniaczyła sobie twarz?

Gloria o mało nie zaślabła. – To... stało się później.

Spiegal zmienił temat. – Nie ma pan żadnych dowodów, że trzymała butelkę.

– Jestem wdzięczny, że raczył pan o tym wspomnieć – rzekł Dillon z ironicznym uśmiechem. – Na szkle są jej odciski palców. Dokładnie – na szyjce od butelki.

– Zapewne. Może chciała się napić.

– Ja wybiegłam po pomoc – krzyknęła rozpaczliwie Gloria. – Chciałam go ocalić!

– *Ocalić go!* – burknął z sarkazmem Tom Aston i zmierzył ją oskarżycielskim spojrzeniem. – Chciała pani *ocalić samą siebie!* Wszyscy wiemy, gdzie pobiegła. Prosto w ramiona kochanka. Gdy nakryła ją

policja, właśnie pieprz... o, przepraszam... kopulowała z Greggiem Flandersem na tylnym siedzeniu samochodu. A teraz próbuje nam wmówić, że chciała ratować męża!

– To właśnie *on* mnie tak urządził! *On* rozdarł mi sukienkę. *On* bił mnie po twarzy.

– Dość tego, myślę, że już wystarczy – zaoponował oburzony Spiegala.

– O, nie. To jeszcze nie wszystko! – syknął napastliwie Dillon, pochylając się w przód. – A więc on tak panią *urządził*... Przez kilka miesięcy zadawała się pani z Greggiem Flandersem. Potem myślała pani, że kochanek nie żyje. A później on nieoczekiwanie zmartwychwstał. Torrance może poświadczyć, że zwróciła się pani do niego z jasno sformułowanym planem kradzieży pieniędzy. Trzymała pani swojego męża na muszce rewolweru – tego samego, który, uciekając, zabrała pani ze sobą. A potem, kiedy pani mąż konał bądź już był martwy, wciąż nie mogła się pani doczekać, by rozłożyć nogi przed Greggiem Flandersem. Dziwne, lecz pani majtki *nie były* podarte. Kiedy oświetliłem was latarką na tylnym siedzeniu, zabawialiście się ze sobą w najlepsze!

– Nie! – wybuchnęła szaleńczo. – To nie było tak! Ja zmieniłam zdanie! Ja...

– Zmieniła pani zdanie? No cóż, pani *mąż* najwyraźniej sądził zupełnie inaczej. Widzi pani, on nie umarł od razu. Odzyskał przytomność co najmniej na kilka minut, a nawet próbował zatamować krew chustkami do nosa...

– Pani Worthington to zrobiła – wpadł mu w słowo Spiegala, choć bez dotychczasowego tupetu. – *Usiłowała* mu pomóc. Lecz jej mąż nigdy się o tym nie dowiedział.

– Możemy iść o zakład, że nie! – Dillon skoczył na równe nogi, jednocześnie wyciągając coś z manilowej teczki. – Lloyd Worthington wiedział, kim byli jego mordercy. – Wręczył fotografię Nelsonowi Brinkmanowi. – Swoją własną krwią wypisał ich imiona na zakurczonym blacie stołu. „Gloria! Gregg!” – i tyle!

Prokurator przyjrzał się fotografii stołu. Oddał ją z powrotem. Dillon prawie wyrwał mu zdjęcie z ręki i wcisnął je w dłoń Spiegala. Tom Aston wyciągnął szyję, żeby zajrzeć mu przez ramię, po czym zaraz poderwał się z miejsca.

– Mojego klienta nawet wtedy tam nie było! – krzyknął, a jego twarz z rumianej stała się purpurowa. – Był z Torrance. I Torrance może *to* poświadczyć!

– Zabójstwo miało też związek z kradzieżą – zauważył Friendly i zwrócił się do Brinkmana: – Sądzę, że w tym przypadku obydwójce są równie winni.

– Nie, sir! – zaproponował Aston. – Okradziono Torrance'a, nie Worthingtona. To, że pieniądze należały akurat do Worthingtona, niczego nie zmienia. Mój klient jest gotów przyznać się do kradzieży – ba, złożył już stosowne zeznania. Lecz do zabójstwa – *nigdy!* Nawet nie było go w pobliżu miejsca zbrodni. – Zmrużył oczy, gdy zatrzymał spojrzenie na prokuratorze okręgowym. – Już o tym rozmawialiśmy, panie Brinkman.

Gloria wiedziała już teraz, co się święci, podobnie jak Seth Spiegal, sądząc po jego cynicznym wyrazie twarzy Nie zamierzali wsadzić Gregga za morderstwo. Chcieli zachować to wyłącznie dla niej. Bądź co bądź, to na nią wskazywały wszystkie dowody. Czyż nie przedstawiało się to prosto, jasno i zwięźle – tak jak lubił Brinkman? Czyż nie to sugerował teraz Aston, mówiąc, że potraktują Gregga ulgowo, jeśli zgodzi się zeznawać przeciwko niej? I czy nie dlatego właśnie zaczął „śpiewać im jak ptaszek”?

– Kwestia równej winy jest co najmniej dyskusyjna – Brinkman zwrócił się do Friendly'ego. – Wobec braku dowodów, *bezpośrednio* wiążących Flandersa z zabójstwem – i wobec faktu, że pójdzie na współpracę – możemy założyć, że nie obejmie go oskarżenie o morderstwo.

Wszystko, dosłownie wszystko się potwierdza – pomyślała Gloria z goryczą.

– No cóż, układy! – rzucił Spiegal z niesmakiem. – Przybyliśmy tu w dobrej wierze, a okazuje się, że wszystko jest ustawione. – Wstał – liliput w świecie olbrzymów. – A więc zamierzacie się zmówić i postać Głorię Worthington do komory gazowej.

– To dowody ją tam posła, panie Spiegal. – Głos Dillona kipiał triumfem. – Dowody. Nic innego, tylko *dowody!*

Rozległo się donośne stukanie do drzwi i Brinkman zawołał nerwowo: – Proszę!

Jego podstarzała sekretarka wetknęła głowę do środka i oznajmiła: – Przybył niejaki sierżant Russo, sir. Mówi, że to niezwykle ważna sprawa i musi porozmawiać z porucznikiem Dillonem. *Natychmiast*, powiedział.

Na wzmiankę o Russo Dillon podniósł wzrok z pełnym satysfakcji wyczekiwaniem.

– Wyjdę na chwilę – oznajmił. – A ty obserwuj tego adwokata, Abe, za dobrze zna różne sztuczki. – Pewnym krokiem wyszedł z sali.

– Ogłaszam przerwę, aż do powrotu porucznika Dillona – oświadczył Brinkman. Dało się zauważyć cień szacunku, gdy wymawiał słowo: „porucznika”.

Seth podszedł do Glorii i nachylił się do jej ucha.

– Szmondaki! – wycedził. – To jawny szwindel!

– I co my teraz zrobimy? – jęknęła histerycznie kobieta. – Ja nie zaabiłam Lloyd'a. Nawet go nie dotknęłam – chyba że wtedy, gdy chciałam go ocucić.

– Być może. Ale zobacz tylko, co mają przeciwko tobie. Poczynając od tego, że każdy z nich jest w stanie pojąć, dlaczego Flanders chciał zabić Lloyd'a. Był splukany. Poderwał atrakcyjną babeczkę – czyli ciebie. Czemu nie pozbyć się bogatego męża? Ale jeśli chodzi o *żonę* Worthingtona – sprawa wygląda całkiem inaczej. Lloyd był ci oddany, hołubił cię przez wiele lat. Masz przeciw sobie całą lokalną społeczność, ot co. W głowie im się nie mieści, że mogłaby go zamordować własna *żona*. Chcieliby obdrzeć cię ze skóry, nawet nie mając dowodów. Sęk w tym, że je mają!

Na dźwięk otwieranych drzwi Spiegal wyprężył się jak struna. Uważnym, przeciągłym spojrzeniem zlustrował oblicze Dillona i w tej samej chwili wyraz jego twarzy się zmienił. Jakby z rezygnacją, skrzywił się lekko i powoli unióśł brwi. Postąpił naprzód, zawahał się i przystanął, pocierając z zakłopotaniem płatki ucha.

A potem zdecydowanie ruszył do biurka Brinkmana.

– Panie Brinkman – rzekł zwięźle. – Rozmawiałem z moją klientką. Teraz pragnie się przyznać, że jednak uderzyła męża tą butelką whisky.

– Co! – wrzasnęła Dillon od drzwi. Na jego bladej twarzy pojawiła się dezorientacja. – *Co pan powiedział?!*

– Powiedziałem, że przyznajemy się do winy. Ale w grę wchodzi okoliczności łagodzące. Działała w obronie własnej.

Policjantka próbowała usadzić na miejscu rozdygotaną Glorię, która zaskomlała niemal jak zwierzę:

– Ty parszywy...

– Basta, ani słowa więcej – srogo uciął Spiegala.

Z trudem przełykając ślinę, Gloria zamknęła usta. Jedyne, czego pragnęła, to doskoczyć i zadusić kurdupla gołymi rękami. A więc tak Seth Spiegala próbował pomścić śmierć swojego przyjaciela Lloyda! Ukartował to sobie od chwili, kiedy do niego zadzwoniła! Podniosła wzrok i napotkała spojrzenie Gregga. I dostrzegła mściwy błysk w jego oczach.

Brinkman i Aston wpatrywali się z konsternacją w małego adwokata.

– Na Boga... – westchnął prokurator. – Nawet nie została jeszcze postawiona w stan oskarżenia!

Friendly obserwował Spiegala z nieskrywanym zaciekawieniem, a potem obrócił się do Dillona. Teraz wszyscy patrzyli na porucznika. Zapadła głęboka cisza, gdy zebrani zdali sobie sprawę, że mają przed sobą człowieka kompletnie zdruzgotanego. Oczy Dillona były nieprzytomne, usta zwiotczały, zaś dłonie wykonywały jakieś nieokreślone ruchy w powietrzu.

– No tak, ale nie zabił go cios butelką – wykrztusił policjant, kapitulując. Jego nieobecny wzrok spoczął na trzymanej w dłoni karteczce. – Uderzenie w głowę nie miało z tym *nic* wspólnego.

## 25.

Jedynym dźwiękiem, jaki rozlegał się w sali, było tykanie małego, biurowego zegara. Wodząc po obecnych przerażonym wzrokiem, Gloria dostrzegła, że jedynie Seth Spiegala wydawał się niewzruszony.

– Nie wygląda pan na zaskoczonego, panie Spiegala – zauważył Abe Friendly.

Seth otworzył usta, zdjął okulary i zamrugał oczami.

– Osłupiałem raczej – oświadczył z najgłębszą powagą.

– Wobec tego przejdźmy do rzeczy – rzekł Brinkman, odzyskując władczy ton. – Co było przyczyną zgonu Worthingtona?

Dillon, blady z niedowierzania, postąpił naprzód i wręczył mu świstek papieru. – Russo otrzymał to od koronera. To fragment raportu z autopsji.

Wszyscy usiedli na miejscach, podczas gdy prokurator okręgowy studiował treść karteczki.

– Przyczyną śmierci był obrzęk mózgowy – oznajmił, podnosząc wzrok. – Nabrzmienie mózgu wskutek nadmiaru płynów. – Rozejrzał się, by mieć pewność, że wszyscy zrozumieli.

– Nadmiar *płynów*? – powtórzył Spiegal, przechylając się przez biurko. – Czy ich raport nie zawiera więcej szczegółów?

Brinkman wydawał się zbity z tropu. Jeszcze raz spojrzął na kartkę. – Owszem. Stwierdza, że połączenie alkoholu ze środkami uspokajającymi spowodowało śmiertelny w skutkach wstrząs w ośrodkowym układzie nerwowym, przy czym wysoki poziom alkoholu był tu głównym czynnikiem sprawczym.

Spiegal zachnął się niecierpliwie, jakby nie w pełni usatysfakcjonowany. – Czy wyraźnie nawiązuje do uderzenia w głowę?

– Tak, raport wyklucza uderzenie jako przyczynę śmierci. Był to uraz powierzchowny, który nie spowodował uszkodzeń wewnętrznych.

Zatroskany Brinkman zmarszczył czoło, co świadczyło, że nic nie było już tak jasne i oczywiste jak do tej pory.

Dillon dowlókł się do swojego fotela i ciężko usiadł.

– Chociaż dziś rano, w laboratorium, wydawało się, że mają pewność... – Słowa uwięzły mu w gardle.

Na pierwsze wspomnienie o alkoholu czerwona twarz Astona zaczęła blednąć. Wydawał się teraz prawie chory.

– A więc Worthington *sam* się tak załatwił – burknął, patrząc z nadzieją na prokuratora.

Abe Friendly wstał. – Panie Brinkman, chciałbym przez chwilę porozmawiać z porucznikiem Dillonem w cztery oczy. Wyjdziemy na zewnątrz.

– Dobrze. Proszę bardzo. Zaczekamy do panów powrotu.

W recepcji stanęli w pewnym oddaleniu od sekretarki Brinkmana.

– Rod, nie mam zamiaru robić ci żadnych wykładów na temat sprawiedliwości – rzekł Friendly. – Jednak pan Spiegal potrzebuje teraz wszystkich informacji, jakimi dysponujemy. Jeżeli będziemy z tym zwlekać, wyjdzie na to, że utrudniamy całą sprawę.

– Ten mały skurwiel... – rzucił Dillon z goryczą. – On wiedział o wszystkim od samego początku. Skądś wiedział o tym przez cały czas.

– Być może to podejrzewał. Ale nie był pewien aż do chwili, kiedy wszedłeś po tej rozmowie z Russo. W każdym razie musimy z nim współpracować. I tak wszystkiego się dowie.

– Chcesz powiedzieć, że musimy wziąć stronę tego małego sukiny-na?

– Tak, musimy wziąć jego stronę.

– To ty się tym zajmij, Abe. Ja splunąłbym mu w gębę.

Widząc, że Dillon lada chwila może wybuchnąć, kapitan uznał, że faktycznie będzie to najlepsze wyjście.

– Chętnie, Rod. Jakoś sobie poradzę. Teraz daj mi na chwilę tę teczkę. – Usiadł i szybko przebiegł wzrokiem kilka stron dokumentów, stawiając ołówkiem małe  $x$  w kilku miejscach. Wstał. – W porządku, możemy wejść.

Dillon powlókł się przed nim do biura, jak skazaniec idący na szafot.

Spiegal, stojący przy swoim fotelu, uśmiechnął się, gdy zauważył papiery w dłoni Friendly'ego.

– Kapitanie, powinno się panu pogratulować za to, że zaoszczędził pan sądowi wiele czasu. Jak się domyślam, ma pan tam również zeznanie pana Williama Torrance'a? Czy mógłbym je zobaczyć?

Friendly podał mu dokument. Białe zęby Spiegala zabłyśły w uśmiechu, gdy dostrzegł małe znaczki  $x$ . Odwrócił się i skinął głową do Glorii, której złość przerodziła się w osłupienie.

– Jest dokładnie tak, jak mi pani mówiła, pani Worthington. – Spojrzał na Brinkmana, a potem na trzymaną w dłoni kartkę. – Cytuję pana Torrance'a: „Flanders kazał Glorii Worthington przynieść whisky ze swojego samochodu. Uczyniła to, przynosząc dwie butelki bourbona.” – Spiegal przerwał na chwilę. – Ponownie cytuję pana Torrance'a: „Flanders, trzymając Lloyda na muszce, zażądał, żeby wypił whisky. To coś

potwornego. Lloyd Worthington był alkoholikiem. Wiedziałem o tym zarówno ja, jak i Flanders. Lloyd sam mi o tym powiedział. Zaprotestowałem, Gloria również, jednak Lloyd – och, myślę, że to wszystko było już ponad jego siły – Lloyd powiedział, że do diabła z tym i wypił drinka. Oczywiście, pierwszy drink był dla niego początkiem końca. Włał w siebie co najmniej butelkę, zanim wyszedłem. Czystego bourbona! Było jasne, że Flanders miał zamiar upić go z premedytacją, aby mieć pewność, że Lloyd nie będzie stanowił zagrożenia, gdy pojedziemy po pieniądze”. – Adwokat znów przerwał. – Jest tu więcej... – Gwałtownie odwrócił głowę, słysząc dochodzący z tyłu hałas.

Gregg szarpał się z trzymającym go w żelaznym uścisku potężnym policjantem.

– Ty parszywy łachudro! – darł się na całe gardło. – I wy, cała reszta! Nie zwalicie tego na mnie! Do diabła, nie mam z tym nic wspólnego!

Zwalisty Tom Aston potoczył się w jego kierunku.

– Daj spokój, Flanders! Dość! To nic nie da. Pozwól mi działać.

Policjantowi udało się posadzić Gregga na miejscu. Flanders strząsnął wielkie dłonie ze swoich ramion, wciąż miotając pod nosem przekleństwa.

– Wobec jakiegokolwiek dalszej niesubordynacji – oświadczył Brinkman – zakończymy nasze posiedzenie.

– Sugerowałbym, żebyśmy je zakończyli już teraz – mruknął Aston.

– Bo mamy coś do ukrycia? – zagadnął Spiegall z ironią. – Wszystko jest w policyjnych aktach. Równie dobrze może pan to usłyszeć już na tej sali. – Zerknął pytająco na Friendly'ego: – A teraz myślę...

– Jak się domyślam, chodzi panu o to – wpadł mu w słowo Friendly, podając kilka następnych kartek.

Dillon sprawiał wrażenie człowieka, którego dorobek życia właśnie wpadł w ręce hołoty.

Spiegall przebiegł wzrokiem pierwszą stronę, zerknął na drugą i zauważył małe  $x$ .

– To nie jest najważniejsze. Zwłaszcza kiedy raport koronera już uznał alkohol za główną przyczynę śmierci. Aczkolwiek kwestia odcisków palców jest co najmniej intrygująca. Pozwolę sobie zacytować:



„Odciski linii papilarnych znaleziono także na butelce środków uspokajających, stojącej nieopodal denata. Były na niej odciski palców zarówno denata, jak i Gregga Flandersa”. Koniec cytatu.

– To niczego nie dowodzi – rzucił Tom Aston. – Byłoby naturalne, że Flanders podniósł butelkę z lekarstwami, żeby się jej przyjrzeć. Twierdzi pan, że mój klient wrzucił je do drinków Worthingtona?

– Nic podobnego. Po prostu zwracam uwagę, że Flanders, *zanim* zmusił Worthingtona do wypicia alkoholu, wiedział o branych przez niego lekarstwach. I *doskonale zdawał sobie sprawę*, że Worthington był alkoholikiem. Może tylko Flanders nie pojmował, że nie należy mieszać tych dwóch składników, choć trudno w to uwierzyć. A może ława przysięgłych przyjmie, że Flanders celowo wrzucił pigułki do drinków Lloyda. Bóg mi świadkiem, że miał motyw – nie chciał, żeby Worthington zaczął gadać. Myślę, że dobry prokurator – a z pewnością do takich należy pan Brinkman – mógłby wytoczyć Flandersowi proces, oskarżając o świadome wrzucenie tych środków do whisky – i popełnienie morderstwa z *premedytacją*. Nie można obwiniać Worthingtona o własną śmierć. Skończył z piciem – mamy potwierdzające to zeznanie Torrance'a. To dlatego wspominał on o pigułkach uspokajających jako środka zastępczym. Niestety, został zmuszony przez Flandersa, pod groźbą broni, żeby odebrać sobie życie. W moim pojęciu to morderstwo z premedytacją.

– To pieprzone kłamstwo! – syknął Flanders głosem pełnym jadu.

– To wszystko jest w aktach – dokończył cicho Spiegal i zapadł się z powrotem w skórzanym fotelu.

– W aktach jest coś jeszcze – dodał skwapliwie Tom Aston. – Fotografia ostatnich słów Worthingtona. Napisał: „Gloria! Gregg!”. Niech pan zwróci uwagę – imię jego żony jest *pierwsze*.

– Zastanawiałem się już nad tą fotografią – odparł adwokat. – Czy mógłbym jeszcze raz rzucić na nią okiem?

Friendly podał mu zdjęcie.

– Na jakiej podstawie twierdzi też pan – ciągnął Aston – że to nie ona wrzuciła pigułki do drinków męża, a potem usunęła swoje odciski palców?

– Musiałyby przy tym usunąć również odciski palców Worthingtona i Flandersa. Poza tym, gdyby to *ona* wrzuciła pigułki, nie musiałyby, moim zdaniem, walić męża butelką w głowę. Wystarczyłoby trochę poczekać, aż zgubna mieszanka zacznie działać.

Glorię ponownie ogarnął gniew na myśl o uwiecznionym na zdjęciu kłamstwie. Lecz widocznie z jakiejś niezgłębionej przyczyny Seth Spiegal sądził, że rozmowa o tym jest konieczna, więc kobieta nie oponowała.

Spiegal podniósł wzrok znad fotografii.

– O czymś pan nie wspomniał, poruczniku. Są tu litery „ni” – przed słowem „Gloria”.

– Worthington przewrócił swojego drinka. – Oczy Dillona pały. – Trunek zmył początek tego słowa. Jasne, że było to słowo „oni”. „Oni Gloria! Gregg!” – tak z pewnością brzmiała pełna wiadomość.

– Czyżby? – rzucił Spiegal z powątpiewaniem. – No cóż, może jestem pedantem, lecz powiedziałbym, że znaczenie byłoby nieco bardziej zrozumiałe, gdyby zamiast wykrzyknika po słowie „Gloria” był przecinek albo „i”. – Wziął kawałek papieru z biurka Brinkmana i coś napisał. Następnie pokazał kartkę najpierw prokuratorowi okręgowemu, a potem wręczył ją Dillonowi. – Czyż teraz znaczenie nie jest oczywiste? „Oni Gloria, Gregg! Przecinek zastępuje tutaj spójnik „i”.

– Mój Boże! – Aston klepnął się dłonią w czoło. – Co to jest – seminarium gramatyczne?

– Nie, tylko czysta logika – rzekł Spiegal. Odczekał chwilę i dodał: – Jednak zakładam, że to wcale nie było słowo „oni”.

Friendly obdarzył małego prawnika niemal ojcowskim uśmiechem.

– Jak podejrzewam, ma pan jakąś inną propozycję – podchwycił.

– Tak. Myślę, że było to słowo „nie”.

– No, nie... – parsknął Aston, lecz wyglądał na przestraszonego.

– Spróbujmy to teraz odczytać – zaproponował Spiegal. – Z zachowaniem oryginalnej interpunkcji. – Podeszedł lekkim krokiem do Dillona, wyjął fotografię z jego bezwładnej dłoni i przekazał Brinkmanowi. – „Nie Gloria! Gregg!”. Teraz użycie obydwu wykrzykników jest uzasadnione. Bez cienia wątpliwości, nieprawdaż, panie Brinkman? Powinno to

zrobić wrażenie na ławie przysięgłych.

Brinkman z zakłopotaniem zagryzł wargę. – No tak... Cóż, oczywiście, myślę, że może ma pan rację.

– W związku z tym, co teraz wiemy o tej sprawie? – Spiegal podszedł i stanął przy biurku prokuratora okręgowego, po czym zwrócił się twarzą do pozostałych. – Mamy tu człowieka, który już kiedyś usiłował zabić Lloydę Worthingtona. Który dopiero co, ubiegłej nocy, pragnął ukraść mu prawie sto czterdzieści tysięcy dolarów. Który przed dokonaniem grabieży zmusił go do wypicia śmiertelnej dawki alkoholu. Którego odciski palców, nikogo innego, są na butelce pigułek, które przyczyniły się do zgonu Worthingtona. Który właściwie został wskazany jako zabójca przez zamordowanego w jego przedśmiertnym przekazie, oczyszczającym jednocześnie żonę denata. – Rzucił Brinkmanowi przenikliwe spojrzenie. – Wszystko to, zebrane razem – jasno i przejrzyście – będzie zrozumiałe dla ławy przysięgłych. Lecz, oczywiście, pan prowadzi tę sprawę, panie Brink...

Seth Spiegal urwał nieoczekiwanie. Gregg Flanders, bez słowa ostrzeżenia, przedarł się przez rząd foteli, wznosząc nad głową skute kajdankami ręce jak kowalski młot. Zanim eskortujący policjant zdążył temu zapobiec, Flanders rąbnął kajdankami w głowę Seta Spiegala. Mały człowieczek padł na podłogę jak ścięty.

– Skurwiel! Skurwiel! Skurwiel! – wykrzykiwał Gregg bez ustanku, podczas gdy policjant z pomocą Dillona odciągnął go z powrotem i usadził na krześle.

Seth Spiegal po omacku odszukał okulary na podłodze i usiłował się podnieść. Nie mógł. Brinkman, a za nim Friendly, podbiegli do leżącego adwokata. Wspólnie ułożyli go na długiej sofie przy ścianie, gdzie biedak, ciężko dysząc, wyciągnął się na plecach.

Brinkman wyprężył się władczo.

– Ogłaszam postępowanie za zakończone! – oznajmił.

– Nic z tego, ty zakłamany sukinsynu! – rozległ się zdławiony ryk Gregga. – Jasne, pierwsze zabójstwo – to nieudane – niech wam będzie. Ale...

– Straż! Wyprowadzić stąd tego człowieka!

– Proszę! – dobiegł z sofy pomruk Setha. – Niech mówi. *Musicie* mu na to zezwolić!

Gregg brnął dalej, zgodnie z życzeniem Spiegala.

– Tamto zaplanowałem co do najmniejszego, cholernego szczegółu. Musiałem. Ona była zbyt wielką kretynką, żeby to zrobić, poza tym za bardzo się bała. Musiałem zagrozić, że ją porzucę, zanim na to poszła. Ale ta druga sprawa...

– Pamiętajcie państwo! Wszyscy jesteście świadkami – wpadł mu w słowo Seth, unosząc zwiotczącą dłoń.

– ...Chryste, nawet przez chwilę nie przyszła mi do głowy myśl, żeby załatwić Lloyda Worthingtona. Nawet pozwoliłem mu zatrzymać akcje. Czy zrobiłbym to, gdybym zamierzał wyprawić go na tamten świat?

– To mi wystarczy – rzekł Spiegala, a jego głowa opadła z powrotem na sofę.

– Wszyscy chcecie mnie wrobić! – wrzasnął Gregg. – Nawet ten dumny gamoń, mój adwokat!

Brinkman uderzył dłonią w blat biurka. – *Wyprowadzić go!*

Policjant z eskorty wspólnie z Dillonem chwycili pod ręce i wywlekli z sali opierającego się Gregga, który wciąż wykrzykiwał obelgi.

Zapadła długa, niezręczna cisza. Następnie Brinkman zwrócił się do potężnej policjantki:

– Proszę odprowadzić panią Worthington do jej, hm... celi. – Zmierzył Astona niemal pogardliwym spojrzeniem. – Będę z tobą w kontakcie, Tom. A teraz myślę, że lepiej będzie, jeśli wszyscy panowie wyjdziecie.

Chcąc, jak pozostali, opuścić salę, Spiegala z wysiłkiem próbował usiąść.

– Z wyjątkiem pana – rzekł cicho Brinkman. – Myślę, że musimy omówić kilka spraw.

Zbolałą twarz Setha rozjaśnił uśmiech.

**T**rochę później, ostrożnie dotykając guza na głowie, Seth Spiegala tłumaczył:

– *Musiałem* tym ciebie obciążyć, Glorio. Trzeba było zostawić Brinkmanowi odskocznnię – żeby jakoś zachował twarz.

Adwokat dopiero co opuścił biuro Nelsona Brinkmana i siedział teraz na pryczy w celi, patrząc w oczy Glorii.

– Kompletnie nic z tego nie rozumiem – odparła, potrząsając głową.

– Posłuchaj. To było tak. Dziś rano doszedłem do wniosku, że prawdopodobieństwo śmierci Lloyda na skutek rozbicia głowy było znikome. W końcu takie rzeczy zdarzają się nagminnie i nie jest to nic wielkiego. Ale morze whisky, które w siebie wlał, a do tego środki uspokajające – to stwarzało pewne możliwości. Dlatego wstąpiłem do biblioteki i trochę poszperałem. Gdy ujrzałem wyraz twarzy wchodzącego Dillona, po rozmowie z Russo, już *wiedziałem* – wystarczył mi jeden rzut oka. Dlatego natychmiast zaryzykowałem twoje przyznanie się do winy, czyli uderzenia Lloyda butelką whisky.

– I to miało mieć jakiś sens? – Gloria była zirytowana i jednocześnie wdzięczna, że jej adwokat przechytrzył Gregga.

Spiegel wsparł głowę na dłoniach.

– Oczywiście, że miało sens. Wyobraź sobie, że wygląda to tak. Powiedziałaś mi – teraz udaję – że walnęłaś Lloyda butelką whisky, myśląc, że go zabiłaś. A więc czy, do diabła, przyznałabyś się do tego przed Brinkmanem, wiedząc, że istnieje jakieś *inne* wytłumaczenie? Odpowiedź brzmiałaby: nie. Brinkman jest zdumiony, lecz musi uwierzyć, że powiedziałaś mu prawdę, tym bardziej jeśli wyśpiewałaś wszystko, *zanim* ktokolwiek na sali dowiedział się o wyniku autopsji. Rezultat: jesteś wolna od oskarżenia o celowe mieszanie środków uspokajających z alkoholem, nie masz nic wspólnego z Greggiem, a zatem cała wina spada na niego.

Gloria popatrzyła z podziwem na schyloną, łysiejącą głowę adwokata. A potem jej usta skrzywiły się w niewesołym uśmiechu.

– Cóż za ironia losu – szepnęła. – Tym razem Gregg faktycznie nie chciał zabić Lloyda. A ja nawet nie tknęłam męża tą butelką. Naprawdę próbowałam mu pomóc. W rezultacie oboje nie jesteśmy winni stawianych nam zarzutów, ale i tak zostaniemy skazani. – Westchnęła. – Domyślałam się, że oskarżą mnie o *usiłowanie* zabójstwa.

– Jezu, złociutka, oddaj Brinkmanowi to, czego się domaga. Jeśli tego nie zrobisz, pożre cię żywcem. Straciłby posadę. Zginął uczciwy, zany obywatel i wielu ludzi zna fakty – na pierwszym miejscu Bill Torrance. Dlatego musimy pozwolić Brinkmanowi cię zamknąć za uderzenie

Lloyda butelką, mimo że tego nie zrobiłaś. Lecz nie będzie to nawet oskarżenie o usiłowanie zabójstwa.

– Nie? – kamień spadł jej z serca.

– Co najwyżej o napaść. Lecz nie zapominaj o oskarżeniu o kradzież. Na to nic nie możemy poradzić. Brinkman życzy sobie przeprowadzić dwa oddzielne procesy – twój i Flandersa. Jeśli chodzi o ciebie, oskarżenie o zabójstwo z premedytacją zostało już oddalone. To znaczy, że przyznajesz się do winy, jeżeli chodzi o kradzież i napaść. Prokurator nie chce wracać do związanej z tobą pierwszej porażki. Uważa, że to tylko zamąciłoby całą sprawę. Zresztą, po tym, co wyśpiewał Flanders w biurze, mówiąc, że uprzednio wszystko zaplanował, Brinkman sądzi, że przyłączyłaś się do Gregga, bo zależało ci na całkiem innym „spółkowaniu”. Bez urazy. Do licha, powinni cię wypuścić za jakieś trzy lata, o ile będziesz się dobrze zachowywać.

Gloria melancholijnie popatrzyła na okienko celi.

– Trzy lata... Jeszcze wciąż będę młoda.

– Tak, ale Flanders mocno posunie się w latach, zanim go wypuszczą. Och, sądzę, że jemu też raczej nie przedstawiają oskarżenia o zabójstwo z premedytacją. Raczej o morderstwo z przypadku. Lecz dodając wszystkie pozostałe zarzuty, czeka go co najmniej piętnaście lat odsiadki. Nawet jeśli będzie się dobrze zachowywał – w co wątpię.

Gloria uśmiechnęła się smutno. – To dziwne. Za to, że chciałam zabić i obrabować swojego męża, nikt mnie nie ukarze. A za to, że chciałam go uratować, idę do więzienia.

– No, cóż... Prawda wygląda tak, jak ludzie chcą, żeby wyglądała. Dzięki temu nadal mam pracę.

## 26.

**P**orucznik Dillon siedział rozparty na krześle w swoim biurze i patrzył na Abe'a Friendly'ego z niewesołym uśmiechem.

– No cóż, muszę małemu sukinsynowi oddać sprawiedliwość. Dzięki niemu prawie się z tego wywinęła.

– Trudno mi to ocenić – mruknął Friendly. – Sprawiedliwości stało się zadość, choć z całkiem innych przestank.

– Och, ta sprawiedliwość! – parsknął Dillon. – Czy zdajesz sobie sprawę, że Lloyd Worthington zginął prawie tak, jak sobie zaplanowali na samym początku? Zapił się na śmierć. – Skrzywił się z obrzydzeniem. – Bądź co bądź, ona wyszła na swoje.

Friendly spojrział na niego badawczo.

– Rzecz jasna, gdyby naprawdę zadała mu śmiertelny cios, nie mogłaby dziedziczyć po nim majątku – ciągnął porucznik. – A teraz... Sam wiesz, takie jest prawo. Teraz może. Co najmniej ćwierć miliona dolarów. Plus jego ubezpieczenie. Nawet ja coś na tym zyskałem. Brinkman zadzwonił do mnie i powiedział, że poprze moją kandydaturę na stanowisko komendanta.

– Moje gratulacje, Rod! – rzucił Friendly podekscytowany.

– Dzięki, Abe. Jednak ty i ja wiemy, *dla czego* to zrobił. Chciał po prostu zamknąć mi gębę, żebym nie zaczął roztrząsać sprawy zaniżonego wyroku Glorii Worthington...

Zadzwonił telefon, Dillon podniósł słuchawkę.

– Tak... Kto?... No, tak, dzień dobry pani... Co pani *widziała!*... Co?! – Nastąpiła co najmniej minuta ciszy, nie licząc brzęczenia na drugim końcu łącza. – W porządku. Dziękuję. Dobrze, że dała nam pani znać. – Dillon odłożył słuchawkę i wbił w kapitana zdumiony wzrok.. – A niech mnie... Wiesz, kto dzwonił? Szanowna Winifreda Colby.

Friendly w zdumieniu uniósł brwi.

– Kto? Pani Colby? A czego chciała?

– Nie zgadłbyś. Powiedziała, że widziała niedawno Lloyda Worthingtona, jak po kryjomu przekrada się do własnej willi, żeby spotkać się ze swoją żoną. Starsza pani wyznała, że nie od razu uwierzyła własnym oczom, więc pozwoliła sobie na małe szpiegowanie sąsiadów. Wyszła i następnej nocy obserwowała ich z tarasu. No i wyobraź sobie, że widziała, jak *uprawiali seks* na podłodze w salonie!

Friendly otworzył usta, jakby niezdolny wykrztusić słowa.

– Tę starszą panią – ciągnął Dillon – wyraźnie zbyt długo dręczyła samotność. Dlatego też nie była pewna, czy powinna nas o tym poinformować, czy nie – i stąd to opóźnienie. Człowieku, tej kobiecie naprawdę

*nic nie umknie!* Poczekajmy, aż przejrzy jutrzejsze gazety. Podejrzewam, że będzie bohaterką dnia.

– Zastanawiające... – zaczął Friendly, jednak Dillon przerwał mu w pół zdania:

– Zapewne, Abe. Jednak ja... wiesz, nad czym ja się zastanawiam...? Zastanawiam się nad tym, co by się stało, gdyby Lloyd Worthington odzyskał swój męski wigor. Ta jego żona – to nieźle napalona sztuka.

– Trochę to dziwne – rzekł Friendly, czerwieniejąc i ukradkiem spuszczać wzrok. – Bo ja właśnie o tym myślałem...

– Może wcale nie pragnęłaby jego śmierci – podsumował Dillon.